cena 15 PLN (w tym 8% VAT) www.panstwo.net indeks 211060 #238 11/2026

Piotr Lisiewicz
SIŁA-NOWICKI – BARWNA HISTORIA LEGENDY POLSKICH ADWOKATÓW

Hanna Shen
ŁUPY STALINA POD CHIŃSKĄ OPIEKĄ

Małgorzata Matuszak
NIE PORZUCIĆ CZŁOWIEKA. O GRANICY POMOCY U KRESU ŻYCIA

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA

NOWE PAŃSTWO



PLAGI TUSKA

ISSN 1895-4960

OKŁADKA: MARIUSZ TROLIŃSKI/AI

TEMAT NUMERU 4–16



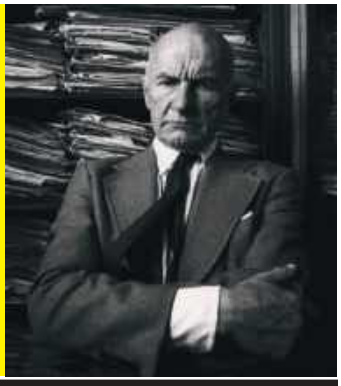
Białoruś w ruskim mirze ma swoje ważne zadania / 4

IDEE 18–27



Apolityczność / 18

HISTORIA 28–51



Miasteczko imienia Siły-Nowickiego. Barwna historia legendy... / 28

ŚWIAT 56–97



Łupy Stalina pod chińską opieką / 56

Spis treści

TEMAT NUMERU

Piotr Lisiewicz
Plagi Tuska 4

Piotr Grochmalski
Podpalanie Polski – zamach stanu Tuska 8

IDEE

Jakub Maciejewski
Apolityczność 18

Małgorzata Matuszak
Nie porzucić człowieka. O granicy pomocy u kresu życia 24

HISTORIA

Piotr Lisiewicz
Miasteczko imienia Siły-Nowickiego. Barwna historia legendy polskich adwokatów 28

Dariusz Jarosiński
As wywiadu, który padł ofiarą własnego sukcesu 34

Agnieszka Kowalczyk
W walce o narodową sprawę. 200 lat z „Gazetą Polską” (cz. 1) 40

Ewa Polak-Pałkiewicz
„Chata” i jej bywalcy, czyli o czym „Oleńka” i „Zagłoba” w listach pisali 46

ŚWIAT

Hanna Shen
Łupy Stalina pod chińską opieką 56

Antoni Rybczyński
Generał mróz atakuje z powietrza 62

Hanna Shen
Tak minął miesiąc w Azji 67

Z Bojanem Pancevskim rozmawia Michał Rachoń
Cały świat był w szoku. Tajemnica wysadzenia rosyjsko-niemieckiego gazociągu 70

oprac. Antoni Rybczyński
Irańska strategia cierpienia 86

Stefan Czerniecki
Zemsta krwi po albańsku 90

Stałe **rubryki**


Katarzyna Gójska
Naiwność równie szkodliwa jak strach
NA POCZĄTEK 3


Marek Kalinowski
Poza konkursem
DO GRAJĄCEJ SZAFY... 17


Małgorzata Matuszak
Czym jest... ślad
KATECHIZM INTELIGENTA 23


Marcin Wolski
Rok niespokojnego świata
PAPKULTURA 61


Rozmowa Krzysztofa Wołodźki
Ziemia odebrana. Żydzi, Polacy, Rzeczpospolita
DZIENNIK LEKTUR 52


Tomasz Sakiewicz
Kolejna próba kłamstwa
OSTATNIE SŁOWO 98

miesięcznik
WYDAWCA
SŁOWO NIEZALEŻNE Sp. z o.o.
REDAKCJA
02-056 Warszawa
ul. Filtrowa 63/43
e-mail: redakcja@niezalezna.pl
www.panstwo.net

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA NOWE PAŃSTWO

ZESPÓŁ
Stefan Czerniecki, Katarzyna Gójska (redaktor naczelny), Dariusz Jarosiński, Marek Kalinowski, Krzysztof Karnkowski, Agnieszka Kowalczyk, Piotr Lisiewicz, Ewa Polak-Pałkiewicz, Jakub Maciejewski, Małgorzata Matuszak, Tomasz Sakiewicz, Hanna Shen, Grzegorz Wierzchołowski, Marcin Wolski, Krzysztof Wołodźko

SEKRETARZ REDAKCJI
Martyna Hajdo-Trolińska

DYREKTOR WYDAWNICZY
Tomasz Sakiewicz

PROJEKT GRAFICZNY
Mariusz Troliński

DTP
Aleksander Razcwarkow

INFORMACJA O PRENUMERACIE
www.prenumerata.swsmedia.pl
prenumerata@swsmedia.pl
tel. 22 290 29 58 (wew.1)
NUMER KONTA DLA PRENUMERATORÓW
NIEZALEŻNE WYDAWNICTWO SP. Z O.O.
BANK PEKAO SA
82 1240 5963 1111 0010 3867 3017
(przelew z zagranicy SWIFT: PKOP PL PW)

DRUK **LOTOS POLIGRAFIA Sp. z o.o.**

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i redagowania tekstów.
ISSN 1895-4960



Katarzyna Gójska

Naiwność równie szkodliwa jak strach

Na naszych oczach toczy się walka o przyszłość Polski. Nie o wygrane wybory, utrzymanie władzy. Stawka jest znacznie poważniejsza i dlatego metody stosowane przez ekipę Donalda Tuska dalece wykraczają poza to, co widzieliśmy w historii III RP.

W ciągu niespełna roku poznamy odpowiedź na pytanie, które przed laty zadał premier Jan Olszewski: czyja będzie Polska? Czy zdołamy jako społeczeństwo utrzymać kontrolę nad własnym państwem? Czy też przejdzie ono w strefę zarządzania sił zewnętrznych? Skala bezprawia i przemocy wskazuje na wagę tej rozgrywki. Rządząca koalicja stosuje metody państwa policyjnego – zgodnie z zaleceniem Bachmanna – i otrzymuje pełne wsparcie z Unii Europejskiej. Jedyną siłą, która może ją powstrzymać na drodze niszczenia demokracji, jest opór społeczny. Polska opozycja, mimo powtarzanych co jakiś czas deklaracji wskazujących na rozumienie powagi zagrożenia, nie działa ręka w rękę. Nie ma w sobie determinacji do jednoznacznego stawienia oporu przemocowej władzy. Sytuację na pewno poprawnie diagnozują PiS i prezes Jarosław Kaczyński. Inne ugrupowania wyglądają tak, jakby bały się władzy Tuska albo na siłę szukały innych metod działania, by jak to tylko możliwe odróżnić się od lidera Prawa i Sprawiedliwości. Tylko co jest ich prawdziwym priorytetem: jednoznaczne podjęcie działań przeciw koalicji 13 grudnia czy pielęgnowanie pozorów autonomii? Jest jeszcze jedno zagrożenie – naiwność. Widać gołym okiem, że szef rządu skutecznie zorkiestrował przekaz swojego obozu. Wszyscy jego koalicjanci karnie głosują za każdą barbarią, popierają i usprawiedliwiają wszelkie użycie przemocy i złamanie prawa, a mimo to część opozycji – włącznie z ośrodkiem prezydenckim – zdaje się wierzyć, że wśród najbliższych współpracowników Tuska znajdują się ludzie, którzy w głębi serca są przeciw niemu, tylko potrzebują cierpliwości i czasu, by dojrzeć do stanu, w którym odważą się to zamanifestować. Otóż trzeba jasno powiedzieć: wiara w objawienie jakiegoś nowego Brutusa jest szkodliwą naiwnością, a jej jedynymi efektami będą wyciszenie emocji społecznych, zmanipulowanie świadomości opinii publicznej i na końcu niema akceptacja nielegalnego przejmowania instytucji państwa będącego siłową zmianą ustroju naszej ojczyzny. Tymczasem rządowi terroryści już snują kolejne plany. Niezależne od władzy media, przede wszystkim chodzi o Republikę, bo jest największą telewizją i ma realną siłę organizowania oporu społecznego, ci zamachowcy już biorą na cel. I gdy w zaciszach tego czy innego gabinetu będą toczyć się wielce nadęte rozmowy o resecie konstytucyjnym, którego nie będzie, z tym czy innym mapetem Tuska, siłowicy szefa rządu będą szykować kolejne napady. Będą mieli więcej swobody, bo obywatele zwiążą swe nadzieje i uwagę z tym naiwnym teatrem i stracą co najmniej część czujności wobec drapieżnych aktywności władzy. Jeśli chcemy jako obywatele powstrzymać antydemokratyczne i antypolskie zapędy Tuska, to wobec jego polityki i jego koalicyjnych giermków postawa może być tylko jedna: z przestępcami się nie negocjuje i prowadzi się stały i zdecydowany opór. Inaczej Polski nie obronimy. ■



Plagi Tuska



Piotr Lisiewicz



Józef Mackiewicz w swojej świetnej powieści „Droga donikąd" opisuje kraj świeżo zajęty przez Związek Sowiecki: „Bolszewizm uderza przede wszystkim w zewnętrzny obraz ziemi. Sprowadza szarzyznę, upadek zewnętrznej kultury, zaniedbanie. Kraj zajęty przez bolszewików staje się po prostu brzydki". Ponieważ w takim kraju nikt nie czuje się gospodarzem, ulice, budynki i całe miasteczka błyskawicznie pokrywają się brudem.

ILU. MARIUSZ TROLIŃSKI/AI

Po każdym objęciu władzy przez Donalda Tuska mamy to samo, o czym śpiewał za jego poprzednich rządów Jan Pietrzak: „Spadł samolot pod Smoleńskiem niespodzianie,/ Potem powódź spustoszyła biedny kraj,/ Gradobicia, nawałnice niesłychane,/ Alarmowy przekroczony kraju stan./ Obiecanych cudów brak,/ Za to moc egipskich plag,/ Zrujnują nam kraj jak za Ruska,/ Nasz faraon Tusekhamon,/ To pechowiec jakich mało,/ Plagi Tuska, plagi Tuska, plagi Tuska".

» Władza „mających Polskę w dupie"

Ktoś zapyta, co ma wspólnego pierwszy obrazek z drugim. Otóż jest mocna analogia: właśnie brak gospodarza. W przypadku Tuska nie wynika to z pecha, jak poetycko, ironicznie i w niedopowiedziany sposób opisuje Pietrzak. Wynika z demontażu państwa. Jeśli obsadza się polskie służby ludźmi, którzy pili z Rosjanami wódkę w Kadynach i innymi im podobnymi, może przydarzyć nam się dowolny krwawy zamach. Jeśli wracają do stołków postkomuniści Włodzimierz Czarzasty, Marek Siwiec i Ryszard Kalisz, to mowa jest u ludziach, o których śp. Józef Oleksy mówił: „Moja sitwa miała Polskę w dupie". Jeśli realizatorzy niemieckich interesów przejmują gospodarkę – bezrobocie i bieda są kwestią czasu. Ale i plagi zarówno wywołane przez różnych krwawych gangsterów, jak i te będące zbiegiem okoliczności mogą zrobić nam większą krzywdę, bo ludziom „mającym Polskę w dupie" ani nie chce się nas bronić, ani tego nie potrafią. Nawet ofiary śmiertelne nie pobudzają ich do działania. Kraj zajęty przez Tuska, mówiąc językiem Mackiewicza, „staje się po prostu brzydki".

» Brzydki kraj Tuska kopiuje brzydki kraj Jaruzelskiego

Brzydki kraj Tuska postanowił powtórzyć widoki rodem z brzydkiego świata Jaruzelskiego

pod Trybunałem Konstytucyjnym. Zamaskowane na czarno twarze policjantów, z odsłoniętymi tylko oczami, w białych kaskach, uzbrojonych po zęby, wwiezionych do Trybunału Konstytucyjnego nieoznakowanymi samochodami, od tyłu, w ciemności, w przeddzień Wszystkich Świętych. Metalowe barierki umocnione łańcuchami. Atak policji na ochronę prezydenta Karola Nawrockiego i szarpanie głowy państwa przez sędziów Tuska. Te sceny demonstracyjnego bezprawia będą już na zawsze kojarzyć się Polsce i światu.

„Związek przestępczy o charakterze zbrojnym" – tak polski sąd nazwał po latach twórców stanu wojennego. Tak samo historia oceni sprawców zbrojnego napadu na Trybunał Konstytucyjny. Sędzia Anna Korwin-Piotrowska w nielegalnej TVP mówiła: „Dzisiaj to ja wydałam zarządzenie o natychmiastowej przerwie w czynnościach służbowych pana Bogdana Święczkowskiego, sędziego pełniącego obowiązki prezesa Trybunału Konstytucyjnego. Takie samo zarządzenie wydałam w stosunku do pana sędziego Bartłomieja Sochańskiego, pełniącego obowiązki wiceprezesa Trybunału Konstytucyjnego". Rzecz jasna, „sędzia", która ogłosiła „decyzję", nie miała do tego żadnych uprawnień.

» Obraza nie tylko prawa, lecz także inteligencji

Słowa Anny Korwin-Piotrowskiej nie były tylko obrazą prawa. Były także obrazą inteligencji. Profesor Marcin Matczak, jeden ze sztandarowych wrogów PiS, napisał o decyzji „sędzi" Anny Korwin-Piotrowskiej: „Nie myślałem, że przyjdzie mi kiedyś bronić Święczkowskiego, ale ta podstawa prawna jest nieistniejąca z miliona powodów".

Analogia pomiędzy kwalifikacją prawną dotyczącą stanu wojennego i napadu na Trybunał bije po oczach. Według sądu, który w 2012 roku wydał orzeczenie w sprawie stanu wojennego, generałowie Wojciech Jaruzelski, Czesław Kiszczak, Florian Siwicki i Tadeusz Tuczapski stanowili związek przestępczy o charakterze zbrojnym, który przygotował i doprowadził do nielegalnego wprowadzenia stanu wojennego w 1981 roku. Sąd uznał, że wybrali taką formę, aby z zaskoczenia rozwiązać sytuację wynikłą w PRL po zalegalizowaniu NSZZ „Solidarność". Jak mówiła w uzasadnieniu orzeczenia sędzia Ewa Jethon, jakkolwiek dotąd w praktyce spotykano się z grupami przestępczymi o charakterze mafijnym, popełniającymi pospolite przestępstwa kryminalne, to Kodeks karny przewiduje sankcje dla każdego nielegalnego związku przestępczego – „niezależnie od tego, czy się jest zwykłym obywatelem, czy wysokim funkcjonariuszem państwa".

Zamach stanu, którego dokonał Donald Tusk, podlegać może różnym kwalifikacjom prawnym, niemniej najbardziej oczywiste jest tu zastosowanie art. 128 Kodeksu karnego, mówiącego o zamachu na konstytucyjny organ państwa, który stwierdza, że „Kto, w celu usunięcia przemocą konstytucyjnego organu Rzeczypospolitej Polskiej, podejmuje działalność zmierzającą bezpośrednio do urzeczywistnienia tego celu, podlega karze pozbawienia wolności od lat 3 do 20".

» Młode twarze przywracają Polsce piękno

„Nie możemy być takimi zwierzętami jak ci ludzie" – tymi słowami prezes Trybunału Konstytucyjnego powstrzymał tłum przed bitwą z policją na terenie trybunału. Wcześniej jednak jako administrator Trybunału nakazał zniszczenie bramy do niego, tak żeby mógł tam wejść. Policjantów ostrzegł: „To, że zasłaniacie twarze, nie oznacza, że nie zostaniecie

rozpoznani". Stwierdził, że napad to „zbrodnia kryminalna, zbrodnia na Rzeczypospolitej". Twarze policjantów, na początku kamienne, stawały się coraz mniej pewne siebie w czasie trwania protestu. „Z Popiełuszką też byś tak zrobił?!" – pytał dramatycznie jednego z nich ksiądz.

Po napaści policyjnych watah Tuska stało się to, czego jego obóz bał się najbardziej. To przez te obawy Tusk opóźnił o miesiąc napad na Trybunał. Nie pomogło. Memiczny atak policji i sędziów na prezydenta Karola Nawrockiego obudził młodzież, która popiera go w 73 proc. Pokolenie Solidarności, które zorganizowało miasteczko pod Trybunałem Konstytucyjnym, spotkało się z nastolatkami, takimi jak 17-letni Fryderyk, który zabrał kultowy łańcuch przecięty na polecenie prezesa Bogdana Święczkowskiego.

Przejęcie sądu przez zamaskowanych policjantów i atak na prezydenta Karola Nawrockiego zmieniły wszystko. Były tym punktem krytycznym. Bo po tym na manifestacjach pod Trybunałem pojawiła się młodzież, która zaczęła wręcz pchać się do mikrofonu Telewizji Republika, by mówić, że broni prezydenta, który został wybrany głównie głosami ludzi młodych. Jakub Maciejewski, który rozmawiał z tym młodymi ludźmi, opowiadał mi, że oni zaczęli dobijać się na jego Instragrama i prosić, żeby na kolejnych protestach też mogli zabrać głos. Córka zrelacjonowała mi, że na TikToku młodzi ludzie, po których w ogóle nie spodziewałaby się tego, zaczęli wrzucać filmiki i memy atakujące Tuska.

To, że młodzież się pojawi, przewidywałem dwa tygodnie wcześniej, pisząc: „Dziś przeciwnik Tuska, prezydent Karol Nawrocki, ma 73 proc. poparcia wśród ludzi młodych i dotyczy to zarówno grupy wiekowej 18–29, jak i 30–39. Szokuje jeszcze inna liczba: w grupie 18–29 »bardzo źle« ocenia prezydenta 0 proc. (!) młodych. W tej sytuacji otwarta pacyfikacja protestów byłaby igraniem z ogniem". Miałem rację.

» „Kierwiński, zjedz rosół z kur wielu, pomaga na kaca!"

Łącznikiem pomiędzy starymi i nowymi czasy stały się happeningi w miasteczku. „ZOMO wita braci w białych kaskach. To my, wasi starsi koledzy, na których się wzorujecie" – tak przywitaliśmy policjantów pod Trybunałem Konstytucyjnym jako zomowcy w oryginalnych strojach z lat 80. Ministrowi Kierwińskiemu zadedykowaliśmy bardzo życzliwe hasło: „Kierwiński, zjedz rosół z kur wielu, pomaga na kaca!". ZOMO rozkręciło śpiewy w miasteczku. Padały hasła: „To Donalda dowcip świński, był Dzierżyński, jest Kierwiński", „Białe kaski, białe kaski, to zomowskie wynalazki". Pozdrowiliśmy też kibiców piłkarskich hasłem: „Jazda z Tuskami, kibice jesteśmy z Wami".

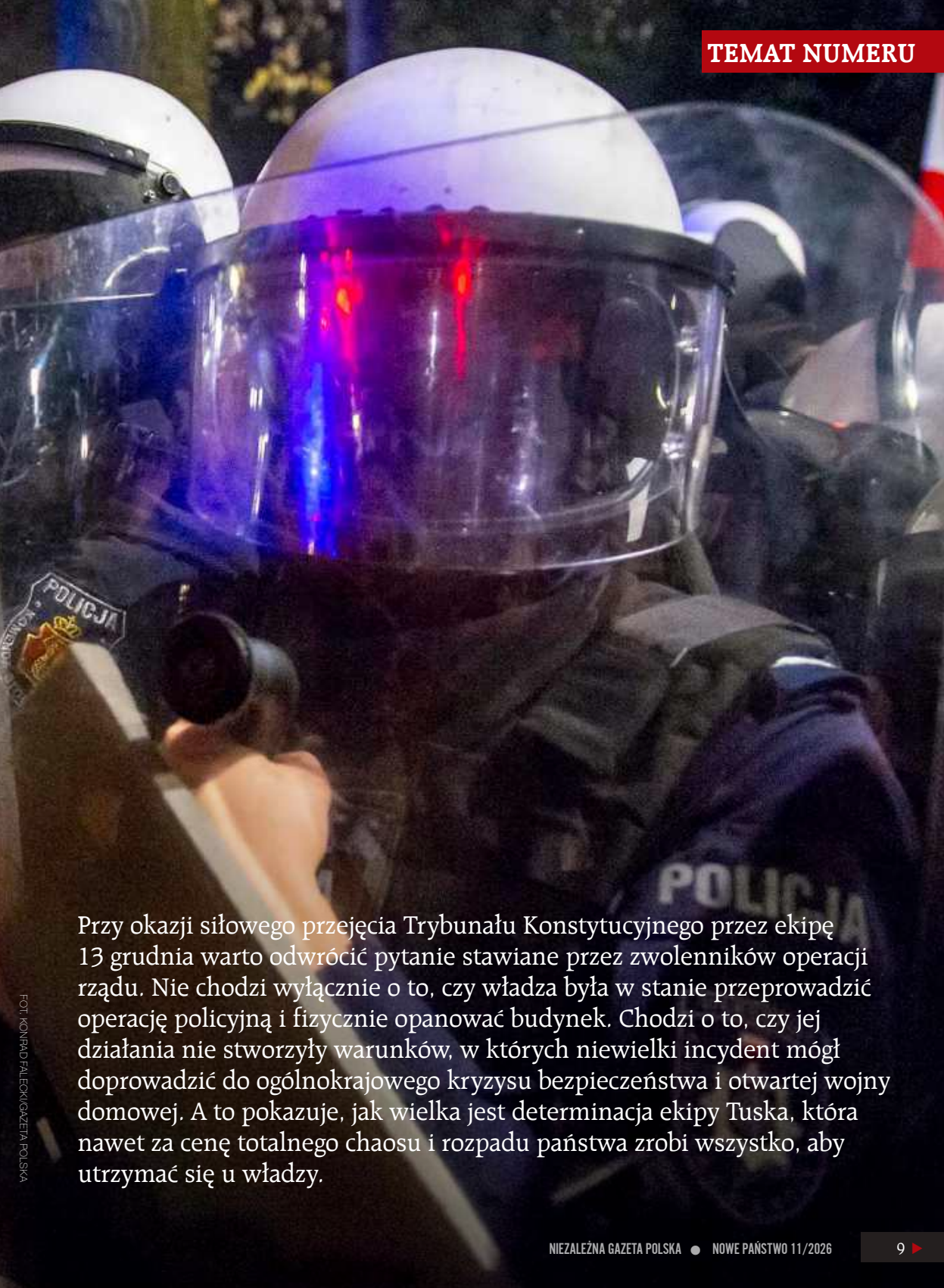
To spotkanie pokoleń ma pewnie jeszcze większe znaczenie, niż władza się obawia. Bo z tą młodzieżą spotkali się najciekawsi ludzie najstarszego pokolenia. Ci, od których zaczęła się rewolucja, która spowodowała, że oni nie żyją dziś w nadwiślańskiej Korei Północnej. Miasteczko zakładał Adam Borowski, który w latach 80. dostał wyrok 6 lat więzienia za odbicie w przebraniu pielęgniarza postrzelonego przez milicję – więźnia Jana Narożniaka. „Teraz nie ma partii. Teraz jest obóz patriotyczny i obóz zdrajców. Sytuacja zero-jedynkowa. Donald Tusk jest wrogiem Polski" – mówił przed Trybunałem.

Historia pokazuje, że gdy najciekawsi ludzie starszego pokolenia spotykają się z najodważniejszymi z młodego, może wydarzyć się niejedno. W tym powrót pięknej Polski, o której starsi wiedzą, jaka powinna być, a młodzi mają energię, by ją wywalczyć. ■

PODPALANIE POLSKI – zamach stanu Tuska

Piotr Grochmalski





Przy okazji siłowego przejęcia Trybunału Konstytucyjnego przez ekipę 13 grudnia warto odwrócić pytanie stawiane przez zwolenników operacji rządu. Nie chodzi wyłącznie o to, czy władza była w stanie przeprowadzić operację policyjną i fizycznie opanować budynek. Chodzi o to, czy jej działania nie stworzyły warunków, w których niewielki incydent mógł doprowadzić do ogólnokrajowego kryzysu bezpieczeństwa i otwartej wojny domowej. A to pokazuje, jak wielka jest determinacja ekipy Tuska, która nawet za cenę totalnego chaosu i rozpadu państwa zrobi wszystko, aby utrzymać się u władzy.

FOT. KONRAD FALEK/GAZETA POLSKA

Masakra w Krakowie wstrząsnęła społeczeństwem. Po raz pierwszy przekroczona została dramatyczna linia. Sieć zalała lawina komentarzy i materiałów ilustrujących przebieg wydarzeń. I główne pytania: czy były ofiary? i kto stał za tym szokującym atakiem? Czy to eskalacyjny, krwawy element „zimnej" wojny FR z Polską? Ludzie oczekiwali wiarygodnych informacji.

» Znaczenie pierwszego komunikatu

Pierwsza konferencja prasowa przedstawicieli rządu 13 grudnia była relacjonowana przez niemal wszystkie media. W tym kluczowym momencie, gdy każda informacja głęboko zapada w pamięci telewidzów, minister Marcin Kierwiński świadomie użył socjotechnicznej metody w sprawie sprawcy, 24-letniego Michała O., twierdząc, że „wstępna analiza wskazuje na możliwe ultranacjonalistyczne poglądy mężczyzny", dodając po chwili, że „ten wątek wymaga dalszej weryfikacji". Potem, pogłębiając taką narrację, minister Kierwiński, zachował się prowokacyjnie i agresywnie wobec dziennikarza TV Republika, który prosił o skomentowanie wpisu posła Witolda Zembaczyńskiego z Koalicji Obywatelskiej, który na portalu X napisał: „Niedopuszczalny atak terroru niech da do myślenia prawicowym zwolennikom powszechnego dostępu do broni. Solidaryzuję się z rodzinami ofiar", co było oczywistą próbą powiązania zamachu z prawicowymi zwolennikami dostępu do broni. Kierwiński zareagował bardzo agresywnie. Przerwał dziennikarzowi, odmawiając komentowania bieżących przepychanek politycznych w social mediach w obliczu tragedii. Szef MSWiA zarzucił stacji oraz pytającemu próbę polityzowania nieszczęścia i wprowadzania chaosu informacyjnego, w momencie gdy policjanci walczą o życie w szpitalu. Dokonał podwójnej manipulacji, wykorzystując w tym celu insynuację. Zarówno Kierwiński, jak i Kosiniak-Kamysz, a potem Donald Tusk apelowali, aby nie rozpowszechniać fałszywych informacji, ale nikt z nich nie sprostował nieprawdy przekazanej w kluczowym momencie przez Kierwińskiego.

Szybkie rzucenie przez ministra Marcina Kierwińskiego niezweryfikowanej narracji o „fascynacji ideologiami skrajnie prawicowymi" bezpośrednio po krwawym zamachu w Krakowie, przy jednoczesnym agresywnym tłumieniu pytań dziennikarzy o analogiczne wpisy posła Zembaczyńskiego, może być w ramach obiektywnej analizy politologicznej postrzegane jako podręcznikowy element socjotechniki władzy. W psychologii politycznej kluczowe znaczenie ma to, jaki komunikat jako pierwszy dotrze do zszokowanej opinii publicznej. W warunkach nagłego kryzysu i wysokich emocji (masowa strzelanina w sercu Krakowa), ludzki mózg domaga się natychmiastowego wyjaśnienia: „kto to zrobił i dlaczego?". Rzucenie hasła o „skrajnej prawicy" działa jak kotwica poznawcza. Nawet jeśli minister dodał asekuracyjne zdanie, że „będzie to weryfikowane", w pamięci masowej oraz w nagłówkach mediów krajowych i zagranicznych zostaje utrwalone pierwsze jednoznaczne skojarzenie. Technika ta służy stygmatyzacji opozycji. Przypisanie sprawcy łatki ideologicznej ma na celu automatyczne rozciągnięcie odpowiedzialności moralnej na całe środowisko polityczne, które posługuje się podobną symboliką lub retoryką (na przykład konserwatywną czy narodową). W ten sposób zbrodnia jednostki, która mogła mieć podłoże psychotyczne lub kryminalne, zostaje przekuta w „dowód" na niebezpieczną naturę całej opozycji. Cel jest jasny: zdeprecjonować przeciwnika politycznego w oczach umiarkowanych wyborców i zachodnich sojuszników,

przedstawiając go jako zaplecze dla ekstremizmu.

Reakcja ministra Kierwińskiego na pytanie o wpis posła Zembaczyńskiego (który powiązał zamach z prawicowymi zwolennikami broni) również realizuje konkretną technikę władzy – asymetrię dopuszczalnego przekazu. Analiza ekipy 13 grudnia (choćby oparta na „wstępnych analizach") jest przedstawiana jako oficjalny, rzetelny komunikat państwowy dla obywateli. A pytania o nadużycia własnego obozu są natychmiast stygmatyzowane jako „polityczne granie tragedią", „szerzenie chaosu" i „atak na służby" w trudnym momencie. Przerwanie pytania i zaatakowanie dziennikarza to klasyczny zabieg odwrócenia uwagi – zamiast tłumaczyć się ze skandalicznego wpisu posła własnej partii, minister stawia się w roli obrońcy powagi państwa przed „wścibskimi mediami". Z perspektywy koncepcji Edwarda Luttwaka o zamachu stanu stosowanie takich technik przez urzędującego szefa resortu odpowiedzialnego za policję i służby służy wykorzystaniu sytuacji do pogłębienia agresji przeciw opozycji. Kiedy władza wykonawcza zaczyna używać aparatu bezpieczeństwa do natychmiastowego dekretowania winy ideologicznej, zaciera się granica między niezależnym śledztwem a politycznym zamówieniem. Zachowanie Kierwińskiego w Krakowie jest więc logiczną kontynuacją działań pod gmachami sądów czy Trybunału Konstytucyjnego: to systemowe używanie autorytetu państwa i podległych mu sił do tworzenia faktów dokonanych oraz emocjonalnego formatowania społeczeństwa przeciwko opozycji.

» Domykanie systemu autorytarnego

Dokładnie dzień przed zamachem w Krakowie Senat przyjął bez poprawek tzw. ustawę praworządnościową, która uderza w status tysięcy sędziów powołanych w latach 2018–2026. Nie ma w historii współczesnej UE bezpośredniego, identycznego odpowiednika sytuacji, w której jedno demokratycznie wybrane ugrupowanie polityczne próbuje „odkręcić" systemowe powołania sędziowskie dokonane w czasie rządów poprzedników z mocy samej ustawy. To kolejny element dopinania zamachu stanu. Edward Luttwak stwierdza w swojej książce „Zamach stanu. Podręcznik", że „sedno zamachu stanu pozostawało niezmienne: jest to wyjątkowa forma działania politycznego, w której do wspierania siły przekonania niezbędne są karabiny". Siły podległe Kierwińskiemu stały się elementem owego scenariusza. Przy czym Luttwak w przedmowie do wydania z 2016 roku stwierdza, iż aby zmniejszyć ryzyko zamachów stanu, wprowadzono pewne rozwiązania. Jak zaznacza: „Zdecydowanie najważniejszym z tych działań jest utrzymywanie odrębnych, a w zasadzie kompletnie od siebie niezależnych rodzajów sił zbrojnych, ugrupowań paramilitarnych i innych służb bezpieczeństwa, żeby nikt nie miał monopolu na użycie siły". Rząd Tuska wykorzystał monopol użycia siły do przejęcia kontroli nad Trybunałem Konstytucyjnym.

Niezależnie od deklarowanych intencji „przywracania praworządności" (którymi historycznie posługiwały się reżimy autorytarne), kluczowe znaczenie ma fakt materialny. Faktem tym było fizyczne użycie policji i SOP do zablokowania dostępu do gmachów państwowych lub wprowadzenia tam nowych osób bez ostatecznych, niepodważalnych orzeczeń sądowych i umocowań konstytucyjnych. Sytuacja, w której funkcjonariusze SOP podlegli MSWiA jednocześnie ochraniają prezydenta i wykonują polecenia rządu ułatwiające przejmowanie TK, jest w tej ocenie realizacją najgroźniejszego scenariusza opisanego przez Luttwaka. Brak jednoznacznego

ustąpienia pola prezydentowi przez policję pod TK jest interpretowany jako dowód na to, że rząd Donalda Tuska wprowadził doktrynę pierwszeństwa decyzji politycznych premiera nad normami konstytucyjnymi. Rodzi to realną obawę o możliwość siłowego sparaliżowania urzędu głowy państwa w przyszłości.

» Zdumiewająca zbieżność w czasie

Zdumiewająca zbieżność w czasie zamachu stanu z operacją „Kordon", której sztab mieścił się w Komendzie Głównej Policji w związku z sygnałami o możliwych działaniach dywersyjnych Rosji na granicy z obwodem królewieckim, stawia jedno z najpoważniejszych pytań dotyczących bezpieczeństwa państwa: dlaczego w sytuacji podwyższonego zagrożenia zewnętrznego polskie władze dokonały zbrojnego zamachu stanu? Ta radykalna prowokacja mogła skończyć się rozlewem krwi i wybuchem wojny domowej. Dlaczego ekipa Tuska zdemolowała kruchą architekturę bezpieczeństwa, spiskując za plecami prezydenta i podważając elementarne zasady ochrony ciągłości funkcjonowania instytucji państwowych? Zestawienie przygotowań do operacji „Kordon" z siłowym przejęciem kontroli nad Trybunałem Konstytucyjnym 30 października 2026 roku tworzy obraz szczególnie niepokojący. Nie chodzi już wyłącznie o zamach stanu na konstytucyjny ustrój państwa. Chodzi także o stworzenie warunków sprzyjających działaniom obcych służb specjalnych. Operacja „Kordon" i szturm na Trybunał Konstytucyjny to narażanie państwa na głęboką destabilizację, to strategiczny prezent dla Rosji. Tusk wykreował sytuację, w której wewnętrzna walka polityczna, której celem jest zbudowanie autorytarnych mechanizmów władzy, zaczyna bezpośrednio oddziaływać na bezpieczeństwo państwa, spójność służb, odporność instytucji konstytucyjnych i zdolność Polski do przeciwstawienia się rosyjskiej wojnie hybrydowej.

Z punktu widzenia strategii bezpieczeństwa jest to sytuacja szczególnie niebezpieczna: państwo znajdujące się pod presją zewnętrznego przeciwnika samo generuje wewnętrzny kryzys, który może zostać wykorzystany przez Rosję bez konieczności angażowania znaczących sił i środków. Operacja „Kordon", przygotowywana w związku z ostrzeżeniami o możliwych działaniach dywersyjnych przy granicy z obwodem królewieckim, powinna być analizowana łącznie z operacją siłowego przejęcia kontroli nad Trybunałem. Przypomnijmy kolejność: w piątek 30 października uzbrojone po zęby formacje policji i Służba Ochrony Państwa wkraczają do budynku Trybunału Konstytucyjnego z terenu Kancelarii Prezesa Rady Ministrów. Okupują teren, wyprowadzają Straż TK. Dochodzi do gwałtownej eskalacji napięcia. W nocy, w miejscu zamachu stanu, pojawia się prezydent Karol Nawrocki. W sobotę policja nadal nie odstępuje od okupacji terenu, a rząd eskaluje napięcie. W poniedziałek 2 listopada obowiązuje już podwyższona gotowość policyjna, a Komenda Główna Policji organizuje sztab operacji „Kordon". Według „Rzeczpospolitej" zastępca komendanta głównego policji Tomasz Michułka wydał polecenie utrzymywania sił oddziałów prewencji w gotowości do natychmiastowego wyjazdu w dniach 2–8 listopada. Policja tłumaczyła to zagrożeniem dywersją i sabotażem.

» Bezmyślność czy prowokacja

Nagle, po południu, o godzinie 15:13 na stronie Sztabu Generalnego Wojska Polskiego pojawia się wpis dotyczący tzw. astroturfingu, czyli sztucznego kreowania protestów społecznych, które mają sprawiać wrażenie spontanicznych, oddolnych wystąpień. Gdy narasta opór społeczny, SG kreuje szokującą narrację. Ostrzega, że obce służby mogą wykorzystywać podziały społeczne, wzmacniać napięcia za pośrednictwem internetu i doprowadzić do destabilizacji

państwa. Wpis wskazywał również, że operacje wpływu mogą prowadzić do zamieszek, a uczestnicy demonstracji mogą nie być świadomi, że uczestniczą w zaplanowanej akcji. To szokująca próba wskazująca, iż przygotowywana jest jakaś operacja dezinformacyjna, mająca dyskredytować opór społeczny przeciw zamachowi stanu. Sztab Generalny nie wskazał, o jakie demonstracje chodzi. Jednak zestawienie publikacji z fotografią protestu przed Trybunałem oraz jej moment publikacji powodowały, że odbiorcy mogli odczytać ten komunikat jako odnoszący się właśnie do wydarzeń wokół TK. Wpis został szybko usunięty. Rzecznik Sztabu Generalnego Marek Pietrzak opublikował następnie wyjaśnienie, w którym przypomniał: „Prawo do pokojowych zgromadzeń jest konstytucyjnym prawem obywateli". Dodał również: „Sam udział w demonstracji nie jest przesłanką do uznania jej za element operacji wpływu". Pozostają jednak pytania o to, dlaczego pierwotny komunikat opublikowano właśnie w tym momencie i dlaczego zdecydowano się go usunąć. Nie znamy na nie odpowiedzi. Nie ma również publicznego potwierdzenia, że wpis został opublikowany na polecenie kierownictwa politycznego.

Widać jednak wyraźną ciągłość narracyjną: 2 listopada Sztab Generalny publikuje ostrzeżenie o możliwości wykorzystywania demonstracji przez obce służby, a następnego dnia, 3 listopada, Donald Tusk występuje z komunikatem, że bezpieczeństwo Polski nie może być przedmiotem politycznej gry. Łączy w nim informacje o możliwej rosyjskiej prowokacji na granicy z wydarzeniami wokół Trybunału. Premier stwierdza: „Prowokacje wymierzone w Polskę nie zawsze pochodzą z zagranicy. W ten kontekst wpisują się również wydarzenia, które w ostatnich dniach dzieją się wokół Trybunału Konstytucyjnego". Rządowy komunikat mówi następnie o poddawaniu się rosyjskiej narracji o „zamachu stanu" i „zamachu na Trybunał" jako o realizowaniu polityki Rosji. A więc to sam Donald Tusk połączył obie narracje i nadał szczególnej wiarygodności scenariuszowi, iż operacja „Kordon" była pomyślana jako przygotowanie i skoncentrowanie sił i środków na wypadek eskalacji konfliktu wywołanego siłową okupacją Trybunału Konstytucyjnego.

W tej sprawie pojawił się dodatkowo głos, którego nie wolno lekceważyć: apel 26 byłych wysokich rangą oficerów wojskowych i cywilnych służb specjalnych, w tym byłych szefów i dowódców. Jego autorzy zwrócili się bezpośrednio do premiera i członków rządu, domagając się zaprzestania działań noszących znamiona zamachu na konstytucyjny organ państwa. W dokumencie napisali: „Bezprawna i nieuzasadniona dyskredytacja Trybunału Konstytucyjnego, mającego stać na straży konstytucyjnego ładu w państwie, oraz nieodpowiedzialne zachowania Premiera Rządu RP budzą nasz stanowczy sprzeciw, głęboki niepokój i obawy co do celowo podejmowanej eskalacji nastrojów społecznych, na czym zależy przede wszystkim naszym zewnętrznym wrogom". To nie jest zwykły głos kolejnego środowiska politycznego. Sygnatariusze powołują się na wieloletnie doświadczenie w kierowaniu strukturami odpowiedzialnymi za bezpieczeństwo Polski. Ich ostrzeżenie dotyczy zatem nie tylko legalności działań wobec Trybunału, lecz także ich konsekwencji dla bezpieczeństwa narodowego. Szczególnie mocno brzmi stwierdzenie, że instrumentalne wykorzystanie „zwartych, uzbrojonych oddziałów policji" do działań wymierzonych w organ konstytucyjny może prowadzić do dyskredytacji państwa na arenie międzynarodowej oraz podważenia zaufania sojuszników z NATO i Unii Europejskiej.

» Najgroźniejszy scenariusz: rosyjska prowokacja i rozlew krwi pod TK

Warto zwrócić uwagę na istotę tego ostrzeżenia: zewnętrzny przeciwnik nie musi sam

wywoływać kryzysu, jeżeli państwo dostarcza mu warunków do jego pogłębiania. Rosyjskie służby od lat wykorzystują konflikty społeczne, napięcia polityczne, dezinformację i operacje prowokacyjne do osłabiania państw zachodnich. W Polsce, będącej kluczowym państwem wschodniej flanki NATO, destabilizacja wewnętrzna ma szczególne znaczenie strategiczne. Dla Moskwy to wymarzony scenariusz, który wykreował Donald Tusk: rosyjska prowokacja mogła doprowadzić do rozlewu krwi przed Trybunałem.

Generał sir Richard Shirreff w swojej głośnej książce „2017. Wojna z Rosją", opisującej możliwy scenariusz agresji FR na NATO-owskie państwo, pokazuje, jak zabicie dwóch Łotyszy w Rydze, dokonane skrytobójczo przez rosyjskie FSB, będzie wykorzystane do rozpętania wewnętrznego konfliktu, który Putin wykorzysta do agresji na Łotwę. W analizie bezpieczeństwa trzeba rozpatrzyć scenariusz, który powinien być jednym z podstawowych przedmiotów zainteresowania polskich służb kontrwywiadowczych. Co stałoby się, gdyby ekipa Tuska podczas zbrojnej operacji przejęcia Trybunału doprowadziła do rozlewu krwi? Gdyby wśród zgromadzonych przed budynkiem ludzi znalazł się rosyjski prowokator, którego zadaniem byłoby wywołanie starcia, sprowokowanie policjantów do użycia broni albo doprowadzenie do śmierci funkcjonariusza, demonstranta czy przedstawiciela władz. Czy w warunkach tak głębokiego konfliktu politycznego można wykluczyć, że obce służby będą spróbowały wykorzystać taką okazję? Nie można oczywiście twierdzić, że rosyjski prowokator rzeczywiście uczestniczył w wydarzeniach pod TK.

Nie ma przedstawionych dowodów na taką obecność. Nie wolno jednak pomijać tego scenariusza w analizie ryzyka. Jest on bowiem jednym z klasycznych wariantów działania służb prowadzących operacje destabilizacyjne: wykorzystać istniejący konflikt, wprowadzić do niego dodatkowy czynnik przemocy, a następnie sterować jego politycznymi i społecznymi konsekwencjami. Wystarczy wyobrazić sobie następujący ciąg zdarzeń. W czasie operacji policyjnej dochodzi do sprowokowanego starcia. Padają strzały. Ginie człowiek. W ciągu kilkunastu minut media społecznościowe zostają zalane sprzecznymi informacjami, nagraniami i oskarżeniami. Pojawiają się wezwania do mobilizacji, demonstracje przeradzają się w zamieszki, a część funkcjonariuszy zostaje postawiona wobec konieczności wykonywania rozkazów w warunkach skrajnego napięcia społecznego. Rosyjskie służby otrzymują wówczas sytuację, której nie musiały samodzielnie stworzyć. Wystarczy odpowiednio ją wykorzystać: rozpowszechniać fałszywe informacje, podsycać nienawiść, wzmacniać przekaz o rozpadającym się państwie, o skali śmiertelnych ofiar, wywołać fale nienawiści do policji, która obejmie też armię, jeśli do prowokacji zostaną użyci przebrani w polskie mundury prowokatorzy. W dalszej kolejności można podejmować próby wywołania kolejnych incydentów, ataków na infrastrukturę, prowokacji granicznych i działań wymierzonych w funkcjonariuszy. To nie jest scenariusz fantastyczny. Jest to model zagrożenia, który powinien być uwzględniany przy planowaniu zamachu stanu operacji w państwie narażonym na rosyjską wojnę hybrydową. Właśnie dlatego wykorzystanie uzbrojonych oddziałów policji do operacji przeciwko instytucji konstytucyjnej, w sytuacji gdy służby ostrzegają przed możliwością dywersji rosyjskiej, jest działaniem obarczonym wyjątkowo wysokim ryzykiem.

» Strategiczne szaleństwo ekipy 13 grudnia

To jest strategiczne szaleństwo ekipy Tuska. W normalnie funkcjonującym systemie

bezpieczeństwa powinno się dążyć do ograniczania liczby potencjalnych punktów zapalnych, a nie do ich mnożenia. Warto przy tym odwrócić pytanie stawiane przez zwolenników operacji rządu. Nie chodzi wyłącznie o to, czy władza była w stanie przeprowadzić operację policyjną i fizycznie opanować budynek. Chodzi o to, czy jej działania nie stworzyły warunków, w których niewielki incydent mógł doprowadzić do ogólnokrajowego kryzysu bezpieczeństwa i otwartej wojny domowej. A to pokazuje, jak wielka jest determinacja ekipy Tuska, która nawet za cenę totalnego chaosu i rozpadu państwa zrobi wszystko, aby utrzymać się u władzy. W tym sensie rozbrojenie i odsunięcie Straży TK nabiera dodatkowego znaczenia. Jeżeli jedyna wyspecjalizowana formacja odpowiedzialna za bezpieczeństwo terenu TK została pozbawiona możliwości wykonywania swoich zadań, to należałoby ustalić, czy w trakcie operacji zachowano pełną ciągłość ochrony obiektu, kontrolę dostępu, procedury reagowania kryzysowego i zabezpieczenia infrastruktury. Nie chodzi tylko o bezpieczeństwo sędziów. Chodzi również o możliwość przeciwdziałania prowokacji, infiltracji i działaniom sabotażowym. Policja, wykorzystana do okupacji budynku stała się elementem chaosu. A brak łączności między dowodzącym tą operacją a funkcjonariuszami SOP chroniącymi prezydenta stworzył ogromne zagrożenie bezpieczeństwa głowy państwa. Formacje okupujące teren TK zachowywały się, jakby były ponad prawem, jak okupanci, a nie formacje porządkowe. W sytuacji podwyższonego zagrożenia zewnętrznego każda operacja angażująca policję w politycznie konfrontacyjne działania powinna być poprzedzona analizą kontrwywiadowczą. Trzeba uwzględnić możliwość obecności prowokatorów, prób wywołania paniki, ataków na funkcjonariuszy, zakłócenia łączności i wykorzystania chaosu informacyjnego. Nie wystarczy dysponować przewagą liczebną i uzbrojeniem. Trzeba mieć kontrolę nad sytuacją i umieć rozpoznać, kto może próbować nią manipulować. Ale w sytuacji, gdy celem był pokaz siły tworzącego się autorytarnego państwa, bezpieczeństwo prezydenta, obywateli i państwa w ogóle nie były brane pod uwagę.

» Bratkiewicz i koncepcja polskiej wojny domowej

W tym kontekście szczególnie niepokojąca jest książka Jarosława Bratkiewicza „Wojny domowe. Dwie i pół". Jej autor nie jest przypadkowym obserwatorem polskiej polityki zagranicznej. W pierwszym rządzie Donalda Tuska był jednym z głównych kreatorów resetu z Rosją. Jego spojrzenie na konflikt wewnętrzny w Polsce zasługuje zatem na uwagę również z punktu widzenia środowiska politycznego, z którego wywodzi się obecny model sprawowania władzy. Na stronie 424 swej książki Bratkiewicz pisze: „Polska wojna domowa pozostaje w stadium schłodzenia. Kulminowała ona w wyborach powszechnych 2023 roku, ale werdykt wyborców na rzecz opozycji antypisowskiej jeszcze nie przesądza o ostatecznym zwycięstwie w tej wojnie. Dokona się ono, kiedy praworządność polska zdelegalizuje PiS". Dalej autor stwierdza: „Wygranej bitwy nie utożsamiamy jednak ze zwycięstwem w wojnie. Koalicja partii obywatelskich musi przełamać i spacyfikować w zawłaszczonej przez PiS po 2015 roku architektonice Rzeczypospolitej cały szereg redut i pułapek: pisowskiego prezydenta RP, »przyłębskiego« Trybunału Konstytucyjnego i »glapińskie« czarnoksięstwo w banku centralnym". Te fragmenty są niezwykle istotne, ponieważ pokazują sposób myślenia, w którym zmiana władzy w wyborach nie jest traktowana jako zakończenie demokratycznej rywalizacji, ale jako początek dalszej walki o likwidację opozycji i instytucjonalnych

zabezpieczeń demokracji. Jeżeli prezydent wybrany w powszechnych wyborach zostaje przedstawiony jako „reduta" przeciwnika, Trybunał jako przeszkoda do spacyfikowania, a Narodowy Bank Polski jako kolejny element architektury wymagający przełamania, to mamy do czynienia z logiką władzy autorytarnej. W demokracji zwycięstwo wyborcze daje prawo do sprawowania władzy w granicach prawa, nie zaś do likwidowania instytucjonalnych ograniczeń tej władzy.

» Operacja „Kordon" a zamach stanu

Jeżeli operacja przeciwko TK rzeczywiście była przygotowywana przez wiele tygodni i miało o niej wiedzieć zaledwie kilka najważniejszych osób w państwie, a równocześnie służby informowały o możliwych działaniach rosyjskich, trzeba ustalić, czy rosyjskie służby miały dostęp do informacji dotyczących obu przedsięwzięć. Stanisław Żaryn zwracał uwagę na niepokojącą koincydencję czasową, wskazując, że ewentualna wiedza Rosjan o planach rządu oznaczałaby poważny problem infiltracji struktur władzy. Jeżeli operacja była rzeczywiście tak ściśle tajna, jak przedstawiają to jej organizatorzy, a Rosjanie posiadali wiedzę pozwalającą powiązać ją z równoległymi wydarzeniami na granicy, byłby to sygnał alarmowy dla całego systemu ochrony informacji niejawnych. Szczególnie niebezpieczne jest również niszczenie zaufania obywateli do policji. W warunkach wojny hybrydowej zaufanie do służb mundurowych jest jednym z podstawowych zasobów odporności państwa. Policjant powinien być postrzegany jako funkcjonariusz stojący na straży prawa, a nie uczestnik politycznej operacji przeciwko organowi konstytucyjnemu. Jeżeli społeczeństwo zaczyna postrzegać policję jako narzędzie do dokonywania zamachu stanu i agresji wobec opozycji, to niszczy jej wiarygodność, a tym samym jej zdolność do skutecznego działania w sytuacji rzeczywistego zagrożenia. W przypadku rosyjskiej dywersji może to mieć konsekwencje znacznie wykraczające poza aktualny konflikt polityczny.

W tym świetle szczególnie ważna staje się rola prezydenta jako najwyższego przedstawiciela państwa i organu uczestniczącego w systemie bezpieczeństwa narodowego. Jego zagraniczna podróż nie powinna stanowić pretekstu do działań ograniczających zdolność konstytucyjnych organów do wykonywania swoich funkcji. Tymczasem powrót prezydenta z nieodbytej podróży i jego późniejsze pojawienie się pod Trybunałem unaoczniły skalę kryzysu. Sam fakt, że głowa państwa musiała osobiście przedzierać się przez policyjne kordony, aby wejść do siedziby organu konstytucyjnego, jest obrazem głębokiej dysfunkcji systemu instytucjonalnego i realnego zagrożenia, jakie stwarza ekipa 13 grudnia dla systemu bezpieczeństwa państwa. Najbardziej niebezpiecznym skutkiem całej sytuacji jest stworzenie precedensu, w którym aparat przymusu państwowego zostaje wykorzystany do fizycznego podporządkowywania niezależnych instytucji konstytucyjnych. Państwo, które w warunkach rosyjskiej wojny hybrydowej powinno wzmacniać własną odporność, nie może równocześnie demontować mechanizmów chroniących jego instytucjonalną stabilność. Dlatego najważniejsze pytanie dotyczące operacji „Kordon" nie brzmi wyłącznie: czy Rosjanie rzeczywiście przygotowywali dywersję na granicy z Polską? Brzmi ono znacznie poważniej: czy ekipa 13 grudnia, wiedząc o możliwym zagrożeniu rosyjskim, dokonała zamachu stanu, co radykalnie zwiększyło zagrożenie dla bezpieczeństwa Polski? W takiej sytuacji pacyfikacja Trybunału Konstytucyjnego stworzyła Rosji strategicznie korzystne warunki do głębokiej destabilizacji kraju. ■



Marek Kalinowski

Poza konkursem

W czasie trwającego Konkursu Wieniawskiego ukazuje się album Aleny Baevy, jego dawnej laureatki, a dziś jurorki etapu preselekcji. Skrzypaczka sięga po dwa mniej znane koncerty: wczesne dzieło Richarda Straussa i odrzucony za życia kompozytora I Koncert skrzypcowy Béli Bartóka. Pokazuje, że poza żelaznym repertuarem wciąż kryją się utwory warte odkrycia.

Kiedy po raz pierwszy słucham nowych nagrań Aleny Baevy, Konkurs Wieniawskiego dopiero się rozpoczyna. Pochodząca z Kirgistanu skrzypaczka ma już jednak poznański sukces dawno za sobą. W 2001 roku, mając zaledwie 16 lat, zdobyła pierwszą tak ważną nagrodę w karierze. W tegorocznej edycji wróciła do Poznania w zupełnie innej roli – jako jurorka etapu preselekcji kandydatów.

Zwycięstwo, a niekiedy sam udział w konkursie otwiera drogę do wielkiej kariery. Rozpoznawalność daje też artystom szansę na sięganie po repertuar mniej oczywisty, wykraczający poza kanon najczęściej wykonywanych utworów. Korzystają na tym również słuchacze, którzy mogą odkrywać muzykę w najlepszych interpretacjach.



Alena Baeva, STRAUSS & BARTÓK: VIOLIN CONCERTOS, Alpha Classics/Outhere Music France

Album Aleny Beavy jest tego dobrym przykładem. Otwiera go wczesny i rzadziej wykonywany Koncert skrzypcowy Richarda Straussa. Warto zestawić go z niedawnym nagraniem Renauda Capuçona i dostrzec wyjątkowy charakter oraz wrażliwość interpretacji Baevy, brzmienie historycznych skrzypiec Guarneri i perfekcyjne porozumienie z The Deutsche Kammerphilharmonie Bremen pod batutą Paavo Järviego.

Druga część albumu okazuje się jeszcze ciekawsza. I Koncert skrzypcowy Béli Bartóka zrodził się z miłosnego zauroczenia kompozytora skrzypaczką Stefi Geyer. Ostatecznie okazał się jednak świadectwem miłości nieszczęśliwej. Młodsza o kilka lat wybranka Bartóka nigdy bowiem nie wykonała napisanego dla niej utworu, zerwała z kompozytorem, zanim ten zdołał doprowadzić swoje dzieło do końca. Ukończony w 1908 roku koncert trafił więc do szuflady i czekał na swoją premierę aż 50 lat, gdy już ani kompozytora, ani jego miłości nie było na świecie.

Przypomniany przez Baevę utwór rozpoczyna melodia, która będzie jeszcze powracać, zataczając kolejne pasaże z delikatnym tłem orkiestry. Zagrana jest nie tylko z pasją i wnikliwością, lecz także z rozdzierającym smutkiem. Trudno nie pomyśleć, że ta miłosna historia Bartóka nie mogła się skończyć inaczej. Jeśli jednak miała wpływ na narrację utworu, to być może zawdzięczamy jej zwrot akcji w drugiej części koncertu. Wybudza nas z gładkiego sentymentalizmu, nieoczywistym, chropowatym i pełnym emocjonalnych zwrotów dialogiem solistki z orkiestrą, który zarówno Baeva, jak i bremeńscy kameraliści prowadzą fantastycznie. ■

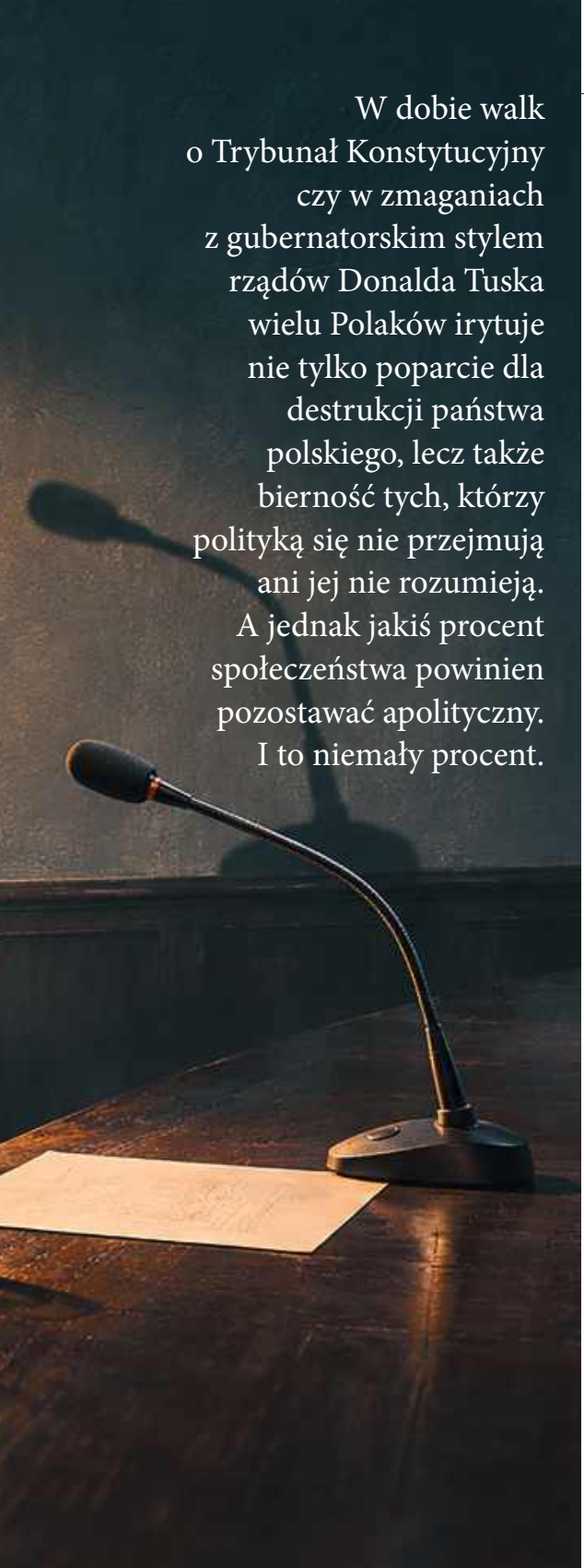
FOT. MAT. PRAS.

Jakub Maciejewski



Apolityczność

W dobie walk o Trybunał Konstytucyjny czy w zmaganiach z gubernatorskim stylem rządów Donalda Tuska wielu Polaków irytuje nie tylko poparcie dla destrukcji państwa polskiego, lecz także bierność tych, którzy polityką się nie przejmują ani jej nie rozumieją. A jednak jakiś procent społeczeństwa powinien pozostawać apolityczny. I to niemały procent.



ILUSTRACJA: MARIUSZ TRCLIŃSKI/AI

Arystoteles nieco się pospieszył, gdy całą wspólnotę ludzką próbował wtłoczyć w działanie demokracji. „Człowiek jest z natury zwierzęciem politycznym. Ten, kto z natury (a nie przez przypadek) żyje poza państwem, jest albo nikczemnikiem, albo kimś ponadludzkim – jak ten, kogo Homer potępia jako »bez rodu, bez prawa, bez ogniska« [...] Kto nie jest zdolny do życia we wspólnocie albo nie potrzebuje jej, bo jest samowystarczalny, ten jest albo zwierzęciem, albo bogiem". Stronienie od polityki, a więc dobra wspólnego, od naszej polis – miasta-państwa – i przestrzeni, która należy do nas jedynie częściowo, wydawało się filozofowi czymś nieludzkim.

» Spokój za dwa kosze gumy

Platon wykazywał większą wyrozumiałość dla tych, którzy polityki nie lubią, którzy nie chcą rządzić, bo oni bywają właśnie szlachetni, mniej egoistyczni. Wielki Grek sformułował taki oto paradoks: „Państwo, w którym ci, którzy mają rządzić, są najmniej chętni do rządzenia, będzie najlepiej i najspokojniej rządzone". Mamy jednak pomiędzy ludźmi o sprecyzowanej wizji swojej ojczyzny jakiś obszar społeczny, bardzo różnie nazywany, ale zawsze oznaczający pewną miałkość, bylejakość zaangażowania, powierzchowność oceny sytuacji. W rewolucji francuskiej tych, którzy siedzieli pomiędzy zwolennikami Republiki a zwolennikami monarchii, nazywano „bagnem", zarzucano im tchórzostwo i koniunkturalizm. Apolityczność ma więc różne wyrazy, skoro w jednym kontekście drażni, a w innym zdaje się być cnotą. Giovanni Sartori, autor monumentalnej „Teorii demokracji", wręcz ostrzegał nie przed

samymi apolitycznymi, lecz przed ich właśnie większym zaangażowaniem. „Niewielu czyni lepiej i więcej znaczy niż wielu biernych, inertnych, apatycznych i nieuczestniczących" – zapewniał.

Wcześniej rzecznikami pożytków z pewnej społecznej apatii byli inni autorzy. Bernard Berelson, Paul Lazarsfeld i William McPhee w pracy „Głosowanie" z 1954 roku ostrzegali: „Jak mogłaby funkcjonować demokracja masowa, gdyby wszyscy ludzie byli głęboko zaangażowani w politykę? Brak zainteresowania ze strony części ludzi nie jest pozbawiony korzyści". W tym samym roku W.H. Morris-Jones w książce „W obronie apatii" (1954) przekonywał: „Apatia odnosi się do nieuczestniczenia obywatela w głosowaniu [...]. Obrona apatii opiera się na tym, że prawo do głosowania nie jest obowiązkiem głosowania, a tolerowanie apatii podkreśla liberalizm danej demokracji". Autor ostrzegał, że totalne zaangażowanie będzie prowadziło nie do dojrzałej demokracji, lecz do totalitaryzmu – po drugiej stronie globu tak właśnie wyglądała rzeczywistość.

Polityka okazuje się zbyt skomplikowana, zbyt wielopoziomowa, by się za nią zabierała przypadkowa osoba, która niewiele rozumiejąc, zacznie ingerować we wspólną przestrzeń i więcej narobi szkód, niż przyniesie korzyści, a w dodatku obniży poziom debaty publicznej. Ale i to nie jest takie jednoznaczne, bo zbyt wielka apatia pozwala rządzić autorytarystom i ten autorytaryzm karmi, oddając zbyt wiele spraw w ręce samozwańczej władzy. Roger Casement opisywał na przykład kongijskie plemiona w Afryce, które tak niewiele rozumiały ze skali zbrodni, jakiej dokonywali na niej Belgowie, że nie spierali się co do natury ich okaleczania, gwałtów na kobietach, obcinaniu genitaliów czy rąk, a chcieli jedynie zmniejszyć kontyngenty gumy, którą mieli dostarczać białym kolonizatorom. Patrzyli więc na swoją rzeczywistość dość apolitycznie – niech sobie ten Europejczyk obcina ręce, ale niech będzie można się z tego wykupić dwoma koszami gumy.

Łagodność centrowych deputatów Zgromadzenia Narodowego rewolucji francuskiej, którzy nie dość mocno oponowali przeciwko zbrodniom nowego reżimu, okazała się zgubna, choć budziła sympatie właśnie tych apolitycznych, łagodnych ludzi pragnących jedynie spokoju i tego, by państwo zostawiło ich w spokoju – nie wymagało ani obrony króla, ani donosów dla jakobinów. Czasem jednak opłaca się być bardziej radykalnym.

» Przypadek homososa

Tymczasem w Związku Sowieckim wymyślono swój rodzaj apolityczności, ubrany w szaty... polityczności właśnie. Komuniści chcieli stworzyć wszelkie, doprawdy wszelkie pozory demokracji, które wytworzą iluzję społecznego zaangażowania. Czerwoni uwielbiali wydarzenia masowe, a ich parady, defilady i marsze, na przykład pierwszomajowe, czyny społeczne, wzajemne sadzenie drzew, zbieranie ziemniaków czy wykonywanie innych prac, do których brakowało rąk, stały się jednym z fundamentów propagandy, ale i tożsamości. Fikcyjne związki zawodowee zrzeszały setki tysięcy ludzi, fikcyjne partie zrzeszały miliony członków, rzekomo socjalistyczne organizacje młodzieżowe wpisywały na swoje listy uczniów i studentów, jak tylko popadło. Przed okiem kamery te efekty wyglądały imponująco, również uczestnicy mieli poczucie tej masowości, co obrodziło w liczne wiece partyjne i zawodowe na placach, ulicach czy w miejscach pracy.

Takie jednak siłowe zagonienie ludzi do „polityki" (czyli do jej fasady) nie uczyniło wspólnoty lepszą, a obniżyło poziom jakościowego życia w życiu publicznym.

Udawanie polityczności, gdzie przecież uczestnicy masowych wydarzeń nie mieli żadnego wpływu na dobro wspólne, a jedynie wbrew ich woli umacniali pozycję nielicznych rządzących, wytworzyło nowy rodzaj postawy społecznej, opisany, półżartem, półserio, przez Aleksandra Zinowiewa jako „homo sovieticus" (1982) lub, bardziej po sowiecku, „homososa". „Dusza homososa leży w jego uczestnictwie w życiu kolektywnym" – właśnie w tych wszystkich masowych przedsięwzięciach. Zamiast demokratycznego człowieka, który w zamian za swoje zaangażowanie wzmacniał swoje oczekiwania i wobec władzy, i dla wspólnoty, wytworzyła się zupełnie odwrotna natura. „Homosos przyzwyczajony jest do marnego życia, ciągle oczekuje czegoś gorszego od losu i z pokorą przyjmuje wszelkie decyzje władzy. Wiele doświadczeń homososa zdobytych w warunkach społeczeństwa totalitarnego jest bardzo przydatnych w jego życiu na Zachodzie". Fikcyjna aktywność wytworzyła prawdziwą bierność, fasadowe uczestnictwo wytworzyło polityczny fatalizm, zgodę na odgórność dóbr, nagród, kar i obciążeń.

W swoich pracach na temat komunizmu amerykański sowietolog Richard Pipes szeroko rozpisywał się na temat braku świadomości politycznej wśród mieszkańców krajów komunistycznych, bo skoro żyli w kraju marksistowskim, a prawie nikt nie czytał tam Marksa, to znaczy, że upolitycznianie na siłę skończyło się osobliwą apolitycznością. Zinowiew nie używał danych i badań socjologicznych jak Pipes, ale pisał z wprawą pisarza, filozofa i uczestnika wydarzeń, tak definiując lud sowiecki: „Cechami sowieckiego społeczeństwa są: nieokreśloność, płynność, zmienność, wieloznaczność we wszystkim. Składa się ono z galaretowatych jednostek i samo przypomina galaretę. Jest to społeczeństwo kameleonów, będące w całości gigantycznym kameleonem".

» „Nie ma złych narodów, są tylko źli ludzie"

Nic więc dziwnego, że rozpad Związku Sowieckiego w 1991 roku pozwolił lokalnym satrapom uczynić ze swoich krajów to, co im się zachciało. W Turkmenistanie miała być prezydentura w stylu monarchicznym? Bardzo proszę, prezydent Saparmyrat Nyyazow taką uczynił. Ukraina miała stać się republiką oligarchów? Leonid Krawczuk przehandlował wszystkie takie rozwiązania przy poważnej apatii społecznej. A może jednak dyktatura postsowiecka? Łukaszenka szybko taką zbudował. Wstrzyknięcie w społeczeństwo apolityczności upozorowanej na polityczność uczyniło narody postsowieckie ofiarami cywilizacyjnej stagnacji.

Ale już doprawdy dramatycznie wygląda to w krajach postsowieckich, na obszarach graniczących z Rosją, gdzie istnieje silny sentyment nie tyle za ZSRS, ile nawet za współczesną Federacją Rosyjską. Tam apolityczność i apatia przybrały rozmiary niewyobrażalne, gotowe nie reagować ratowaniem życia nawet w czasie wojny. Tak w książce „Wojna. Reportaż z Ukrainy" wspomina się tzw. ždunów, ludność Donbasu, która została tam nawet, gdy przez jej miasta przetaczała się wojna. Nie, nie ma tu metafory – czołgi rosyjskie szturmują miasto tuż po kilkudniowym ostrzale artyleryjskim, na przykład takiego Siewierska, a miejscowa ludność nie korzysta z darmowej ewakuacji i darmowego pobytu z wyżywieniem w bezpiecznym miejscu, bo jest jej wszystko jedno, czy zginie tutaj, czy będzie żyć gdzieś indziej. I w takich warunkach trzyma się też dzieci, które po nocach spędzanych w piwnicach, wychodzą na gruzy

zniszczonych właśnie domów, gdzie leżą jeszcze ciepłe trupy.

„Z wolontariuszami w Donabsie rozmawiało się o tyle inaczej, że... nie było ich wcale. Wioski i miasta spały. Ludzie zajmowali się sobą i tylko sobą, pielęgnowali swoje bóle, swoją złość, narzekali na wszystko. W miejscu, gdzie kocioł wojny był najgorętszy, największe były też bierność i zobojętnienie» – czytamy w reportażu.

Jednocześnie rozmowy ze ździunami na wschodniej Ukrainie, we wschodniej Mołdawii czy we wschodniej Estonii pokazują, że wraz z apolitycznością i unikaniem odpowiedzialności za wybory polityczne (Rosja czy Europa? demokracja czy dyktatura?) wyzwalają całkiem sporo politycznych przekonań, nadal niezestawionych naukowo, ale powszechnie powtarzanych na tych terenach. „Nie ma złych narodów, są tylko źli ludzie", „Ludzie chcą żyć w pokoju, politycy chcą inaczej", „Każdy pokój jest lepszy niż najgorsza wojna". Te hasła mają w sobie coś z humanizmu i humanitaryzmu, szlachetny pacyfizm i wola życia w kontekście rosyjskim przynoszą jednak ciekawe pułapki. Każde z tych zdań bowiem uzasadnia przekonanie, że lepiej oddać Rosji kolejne terytoria – bo inaczej będą wojna, źli ludzie i polityczne intrygi. Rosja nie popełnia zbrodni wojennych, to po prostu źli ludzie, którzy zdarzają się w każdym narodzie. Apolityczność staje się de facto usprawiedliwiająca dla rosyjskich agresji i rosyjskich zbrodni, rozmywając ją w ogólnoludzkich, hipermoralnych hasłach.

» Klątwa także naszych czasów

Warto zatem przyjrzeć się apolityczności również w Polsce. Liczba niegłosujących w naszym kraju waha się – w zależności od rodzaju wyborów – od 25 do 50 proc. Wysoka frekwencja owocuje jednak ostrzeżeniem Sartoriego i obrońców apatii, że zbyt duże zaangażowanie ludzi nierozumiejących polityki może skończyć się obniżaniem standardów demokratycznych – sceny z wrocławskiego Jagodna wydają się tutaj przemawiać najwyraźniej. Nie ma tutaj tego rodzaju apatii co w społeczeństwie sowieckim ani wykluczenia jak u arystotelejskich antywspólnotowcach, są za to nieznośna labilność i zmienność wyborów. Przekonani o własnej poczciwości i uczciwości okazują się najłatwiejszym w użyciu politycznym narzędziem. Nikt takich ludzi nie opisał lepiej niż literacki noblista z Polski Władysław Stanisław Reymont: „Człowiek poczciwy to najniebezpieczniejszy z tyranów! [...] Poczciwy człowiek nie przeciwi się niczemu przez poczciwość: bowiem warcholstwo uważa za tężyznę; przemoc i zbrodnię wytłumaczy krewkością; nikczemność – swobodą przekonań; oczywistą zdradę – rozumem in statu. Wszystko taki wyrozumie akuratnie i wszystkiemu poczciwie pobłaży, byle jeno dali mu zażywać spokoju i nie tykali jego przywilejów! Panu Bogu świeczkę a diabłu ogarek – to jego święte przykazanie [...] Uważałeś go przyjacielem, lecz poczciwość wyda cię wrogowi, a jeszcze się zgniewa na ciebie, gdy mu wypomnisz, boć on pragnął najlepiej! Człowiek poczciwy czuwa nad wszystkim, troska się, boleje, rzewnie płacze, lecz niczemu nie zapobieży, bowiem poczciwość wzbrania mu uczynić przykrość choćby oczywistemu zdrajcy! Przekonałeś go do sprawy, zaprzysięgnął postąpić wedle sumienia i powinności – cóż, kiedy w pół godziny potem to samo przyobieca twojemu adwersarzowi. Na wołowej skórze nie spisałby uczynków człowieka poczciwego». Taka poczciwa powierzchowna polityczność okazuje się być klątwą także naszych czasów. ■

Małgorzata Matuszak

Czym jest... ślad

Początkowo słowo „ślad" oznaczało fizyczną zmianę powierzchni, pozostałość ruchu, który się już dokonał. Z czasem nabrało znaczeń wykraczający poza materialny odcisk – mówimy wszak o śladach przeszłości, śladach czyjejś obecności czy śladach, jakie człowiek pozostawia w życiu innych.

Ślad należy do teraźniejszości, ale odsyła nas ku temu, co minione – jest znakiem czyjejś obecności, która przeminęła. Nie przywraca jednak minionego zdarzenia ani nie pozwala nam odzyskać czasu, który upłynął. Przypomina raczej, że przemijanie nie jest tym samym, co znikanie, a koniec czyjejś obecności nie musi oznaczać końca jej oddziaływania.

Nie wszystkie ślady są od razu widoczne. Niektóre można odnaleźć w rzeczach, inne w pamięci, sposobie myślenia czy postępowania. Bywa, że dopiero po latach uświadamiamy sobie, jak bardzo ukształtowało nas spotkanie z drugim człowiekiem, wypowiedziane przez niego słowo albo jego gest, których znaczenia wówczas nie rozumieliśmy. Ktoś, kogo od dawna nie ma w naszym życiu, może nadal wpływać na nasze wybory, nieobecność nie przekreśla bowiem historii obecności, a upływ czasu nie sprawia, że wszystko, co minęło, staje się nieistotne.

Ślad nie jest jednak tym samym co pamięć. Ta należy do kogoś, kto pamięta, i zależy od jego zdolności przywoływania przeszłości, ślad zaś może istnieć także wtedy, gdy nikt już nie potrafi go rozpoznać ani wyjaśnić jego pochodzenia. Nie zawsze potrafimy odtworzyć świat, z którego pochodzi. Świadczy on jedynie o tym, że coś się wydarzyło, ale niekoniecznie pozwala nam zrozumieć, do czego właściwie doszło.

Myśląc o śladach, które pozostają po człowieku, zazwyczaj kierujemy uwagę ku temu, co chcielibyśmy po sobie pozostawić. Nie zawsze jednak zastanawiamy się nad tym, że ślady zostawiamy także wtedy, gdy wcale nie zamierzamy tego robić. Że mogą być one świadectwem zarówno dobra, jak i krzywdy. W tym sensie ślad wiąże się z odpowiedzialnością. Chociaż więc nie możemy przewidzieć wszystkich następstw własnego postępowania ani rozstrzygnąć, jak zostanie ono zapamiętane, wiedząc jednak, że nasze działania mogą oddziaływać dłużej, niż sami będziemy mogli je obserwować, winno nas to skłaniać do namysłu nad tym, co robimy i jak odnosimy się do innych.

Ślad zatem ani nie unieważnia przemijania, ani nie daje pewności, że to, co ważne, zostanie ocalone od zapomnienia. Nie jest też obietnicą nieśmiertelności. Przypomina raczej, że kres naszej obecności nie oznacza automatycznie końca wszystkich jej następstw. Człowiek odchodzi, ale nie może po prostu wycofać się z historii, w której uczestniczył. Pozostaje w niej poprzez swoje czyny, słowa i relacje, choć nie ma już wpływu na to, jak zostaną one odczytane. Być może zatem ważniejsza od pytania, co po nas pozostanie, staje się kwestia, co pozostawimy w życiu innych, zanim jeszcze sami staniemy się wspomnieniem. I choć nie jesteśmy w stanie rozstrzygnąć, które z pozostawionych przez nas śladów przetrwają, możemy jednak wziąć odpowiedzialność za te, które pozostawimy. ■

Nie porzucić człowieka. O granicy pomocy u kresu życia

Małgorzata Matuszak



Współczesna medycyna potrafi coraz więcej. Może ratować życie w sytuacjach, które jeszcze niedawno wydawały się beznadziejne, podtrzymywać funkcje organizmu i przedłużać życie ludzi ciężko chorych. Nie potrafi jednak usunąć śmierci z ludzkiego doświadczenia. Prędzej czy później pojawia się więc pytanie, co zrobić, kiedy możliwości leczenia się wyczerpują, a przedłużanie życia nie zawsze oznacza zmniejszanie cierpienia. Gdzie przebiega granica między pomocą a uporczywym podtrzymywaniem umierania? I co jesteśmy winni człowiekowi, którego nie możemy już wyleczyć?

Jednym z paradoksów współczesnej medycyny jest to, że jej sukcesy zmuszają nas do stawiania pytań, które wcześniej rozstrzygały się niekiedy poza zasięgiem ludzkich decyzji. Skoro potrafimy coraz skuteczniej podtrzymywać życie, musimy również zastanowić się, czy każda procedura powinna zostać zastosowana. Sama możliwość wykonania określonej interwencji nie przesądza jeszcze o jej zasadności.

» Granice ratowania życia

Czym innym jest leczenie, które daje choremu szansę na poprawę, odzyskanie sił lub choćby przedłużenie życia w stanie, który pozwala mu zachować ważne dla niego relacje i aktywności, czym innym zaś działanie, które nie przynosi już spodziewanej korzyści, a jedynie przedłuża proces umierania. Nie zawsze łatwo rozstrzygnąć, z którą z sytuacji w danym przypadku mamy do czynienia. Wymaga to wiedzy medycznej, oceny rokowania, uwzględnienia obciążeń terapii oraz rozmowy z pacjentem i jego bliskimi. Nie można jednak przyjąć, że im więcej procedur zastosujemy, tym lepiej wypełnimy obowiązek ratowania życia.

W etyce medycznej mówi się w tym kontekście o terapii daremnej, a także o uporczywej terapii. Pojęcia te nie oznaczają po prostu leczenia, które nie prowadzi do całkowitego wyleczenia, lecz sytuacje, w których określone działania nie mogą osiągnąć zamierzonego celu medycznego albo ich obciążenia stają się niewspółmierne do możliwych korzyści. Rezygnacja z takiej intencji nie musi oznaczać rezygnacji z chorego, można wszak odstąpić od kolejnego zabiegu czy procedury, nie zaprzestając łagodzenia bólu, lęku i innych objawów.

Warto się nad tym zatrzymać, ponieważ język, którym opisujemy chorobę i śmierć, nie jest obojętny. Mówimy o walce o życie, jakby każda kolejna interwencja była przejawem odwagi, a jej zaniechanie oznaczało kapitulację. Tymczasem nie każdą granicę można przekroczyć determinacją i nie każde działanie służy temu, komu ma pomóc. Czasami odpowiedzialność wymaga uznania, że dalsze leczenie nie przyniesie już oczekiwanych rezultatów. Nie oznacza to jednak, że życie człowieka w określonym stanie traci wartość – ona przecież nie zależy ani od sprawności, ani od stopnia samodzielności, ani od rokowania. To nie życie chorego staje się mniej warte, lecz określona metoda leczenia może przestać być uzasadniona. Rozróżnienie to jest zasadnicze, chroni bowiem zarówno przed bezrefleksyjnym przedłużaniem umierania, jak i przed uznaniem, że życie człowieka chorego jest mniej ważne niż życie człowieka zdrowego. Granica możliwości leczenia nie jest wszak granicą obowiązku pomocy.

ILUSTRACJA MARIUSZ TROLIŃSKI/AI

» Obowiązek pomocy

Jeżeli nie można już wyleczyć człowieka, nie oznacza to, że medycyna nie ma mu niczego do zaoferowania. Zmienia się wtedy cel działania: zamiast dążyć do usunięcia przyczyny choroby, można skupić się na łagodzeniu jej objawów i zapewnieniu choremu możliwie najlepszych warunków życia. Temu służy opieka paliatywna, która nie powinna być traktowana jako ostatnia deska ratunku, po którą sięga się dopiero wtedy, gdy inne możliwości zawiodły. Może ona towarzyszyć leczeniu przyczynowemu, a kiedy wyleczenie staje się niemożliwe, nabiera szczególnego znaczenia.

Nie zawsze możliwe jest całkowite usunięcie cierpienia. Można jednak próbować je ograniczać, łagodzić lęk, zapewnić wsparcie psychologiczne i pomóc choremu zachować możliwie dużo samodzielności. Ważne jest również wsparcie jego bliskich, którzy często sami znajdują się w sytuacji granicznej. Miłość i oddanie nie sprawiają przecież, że człowiek jest odporny na zmęczenie, bezradność czy strach.

Właśnie dlatego troski o człowieka u kresu życia nie można pozostawić wyłącznie jego najbliższym. Jest ona także sprawdzianem odpowiedzialności instytucji i całego społeczeństwa. Co bowiem oznacza prawo do leczenia, jeśli skuteczna terapia pozostaje poza zasięgiem chorego? Co oznacza deklarowana troska o życie, jeśli brakuje dostępu do łagodzenia bólu, opieki paliatywnej czy pomocy, która pozwoliłaby choremu pozostać w domu? Niekiedy istnieją możliwości, by nie tylko przedłużyć życie, lecz także znacząco poprawić jego jakość, ale przeszkodą okazują się koszty, brak odpowiednich świadczeń albo niewystarczająca organizacja opieki.

Nie wszystkie takie sytuacje da się rozwiązać, a zasoby systemu ochrony zdrowia nie są nieograniczone. Nie wolno jednak utożsamiać braku możliwości z brakiem woli ani uznawać za nieuniknione tego, co wynika z zaniedbania. Czym innym jest odstąpienie od terapii, która nie może już przynieść korzyści, czym innym zaś sytuacja, w której pomoc mogłaby przynieść ulgę, ale nie zostaje mu udzielona.

Ta różnica nabiera szczególnego znaczenia w dyskusji na temat eutanazji. Cierpienie człowieka domaga się odpowiedzi, nawet jeśli nie potrafimy go całkowicie usunąć. Dlatego powinniśmy pytać, czy zapewniliśmy choremu możliwą pomoc, ulgę w bólu, opiekę i obecność, których potrzebuje. Nie oznacza to, że każde cierpienie można przezwyciężyć i że właściwa opieka zawsze przynosi oczekiwaną ulgę, bezradność medycyny nigdy jednak nie zwalnia nas z odpowiedzialności za cierpiącego człowieka. Jeśli nie potrafimy już przywrócić mu zdrowia ani uwolnić go od cierpienia, nie znaczy to, że pozostaje nam jedynie bezsilność, ani – tym bardziej – że śmierć może stać się formą pomocy.

» Cierpienie i śmierć

Eutanazja jest jednym z najtrudniejszych problemów współczesnej etyki, w których cierpienie człowieka zderza się z pytaniem o granice dopuszczalnej pomocy. Nie sposób rozważać jej odpowiedzialnie, nie dostrzegając dramatu ludzi, którzy o nią proszą. Za taką prośbą mogą stać: ból, lęk przed dalszym pogarszaniem się stanu zdrowia, utrata samodzielności, poczucie osamotnienia lub obawa, że stanie się ciężarem dla innych. Nie należy tych doświadczeń bagatelizować ani odpowiadać na nie moralnym potępieniem.

Trzeba jednak odróżnić pragnienie, by cierpienie się skończyło, od przekonania, że jedynym sposobem jego zakończenia jest

śmierć. Nie są to pojęcia tożsame, choć w doświadczeniu chorego mogą się ze sobą łączyć. Człowiek, który mówi, że nie chce żyć w taki sposób, niekoniecznie przekazuje, że ma dość życia. Może nie widzieć możliwości dalszego życia bez bólu, upokorzenia, osamotnienia czy całkowitej zależności od innych, jego słowa wymagają zatem wysłuchania i próby zrozumienia, a nie pochopnej interpretacji.

Uznanie powagi cierpienia nie przesądza jednak o moralnej słuszności każdej odpowiedzi na nie. W perspektywie etyki, która uznaje życie człowieka za wartość niezależną od jego sprawności, samodzielności czy społecznej użyteczności, zakończenie życia nie może być traktowane jako zwyczajna metoda usuwania cierpienia. Obowiązek pomocy nie oznacza bowiem, że należy spełnić każdą prośbę chorego, lecz że trzeba szukać sposobów odpowiedzi na jego potrzeby, nie tracąc z oczu dobra osoby, której ta pomoc dotyczy. Świadoma decyzja człowieka nie jest jedynym kryterium oceny każdego działania, podobnie jak troska o jego dobro nie uprawnia do pomijania jego głosu. Właśnie w tym napięciu między wolnością, odpowiedzialnością i ochroną życia ujawnia się trudność etycznego rozstrzygnięcia.

Szczególnie wyraźnie widać ją w przypadku dzieci. Ich cierpienie jest równie realne i dotkliwe jak cierpienie dorosłych, ale dla nich samych bywa trudniejsze do zrozumienia, nie zawsze bowiem wiedzą, co się z nimi dzieje i dlaczego muszą doświadczać bólu. Jeszcze trudniej przyjąć je najbliższym i całemu otoczeniu, dziecko jest przecież kimś, kogo chcielibyśmy chronić przed cierpieniem, oszczędzić mu bólu i wszystkiego, co zagraża jego bezpieczeństwu. Kiedy jednak choroba okazuje się silniejsza niż nasze możliwości, ta naturalna potrzeba ochrony zderza się z bezradnością, której trudno nadać jakikolwiek sens.

Dopuszczenie eutanazji osób niepełnoletnich w systemach prawnych państw, które ją zalegalizowały, pokazuje, jak daleko może sięgać współczesny spór o granice medycznej pomocy. Nigdy nie powinno się wykorzystywać cierpienia dzieci jako argumentu czysto emocjonalnego, wystarczy bowiem postawić pytanie zasadnicze: czy odpowiedzią na cierpienie człowieka, który jest szczególnie zależny od innych, może stać się świadome zakończenie życia?

» Odpowiedzialność, która pozostaje

Śmierć jest nieodłączną częścią ludzkiego życia, choć współczesna kultura często próbuje odsunąć ją poza obszar codziennego doświadczenia. Kiedy jednak staje się bliska, pytanie o to, co można jeszcze uczynić, ustępuje miejsca innemu: co należy uczynić? Granice medycznych możliwości nie wyznaczają bowiem same przez się granic naszej odpowiedzialności. Śmierć staje się wówczas sprawdzianem naszych wyobrażeń o człowieku, jego godności i zobowiązaniach, jakie mamy wobec siebie nawzajem. Nie zawsze możemy uratować życie. Nie zawsze potrafimy usunąć cierpienie czy zapewnić człowiekowi spokojne odchodzenie. Zawsze jednak możemy łagodzić ból, towarzyszyć, wspierać bliskich i nie pozwalać, by brak środków, sprawności czy samodzielności odbierał człowiekowi należną mu troskę.

Być może właśnie u kresu życia najpełniej widać, że pomoc nie polega wyłącznie na tym, by za wszelką cenę przedłużać biologiczne istnienie. Polega również na tym, by nie pozostawić człowieka samego w obliczu tego, czego nie potrafimy już zmienić. Granice medycznych możliwości nie wyznaczają przecież granic ludzkiej odpowiedzialności. ■



Piotr Lisiewicz

Miasteczko imienia Siły-Nowickiego. Barwna historia legendy polskich adwokatów

Przed sądem stają w roli świadków trzy młode dziewczyny. Na ławie oskarżonych zasiada długowłosy chłopak, Adam Borowski, w ostatnich dniach twórca miasteczka pod Trybunałem Konstytucyjnym. Wszystkie trzy łączniczki Borowskiego ze stanu wojennego, w tym młoda mężatka, oświadczają, że zgodnie z prawem mogą odmówić zeznań, bo z oskarżonym wiążą je namiętne więzi uczuciowe. Sala płacze ze śmiechu, ale zgodnie z prawem sąd nie może zmusić owych „narzeczonych" do zeznań. Dodajmy, że na sali siedzi także… żona Borowskiego. Wreszcie wstaje mecenas Władysław Siła-Nowicki i oświadcza, że w świetle tych zeznań nie jest możliwe, by Borowski prowadził działalność konspiracyjną, którą niesłusznie przypisuje mu prokurator, bo mając trzy narzeczone, nie miałby na nią czasu.



FOT. MUZEUM POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

Mecenas Siła-Nowicki, w latach stalinowskich skazany na czterokrotną karę śmierci, zachował na resztę życia niesamowite poczucie humoru. Represje podejmowane wobec niego w końcówce PRL, gdy był słynnym obrońcą w procesach politycznych, traktował z ironią: „Zdarzyło się parę nocy spędzonych w areszcie, a kiedy jakiś starszy już sierżant dziwował się, »że też się panu chce na stare lata włóczyć po kryminałach«, odpowiedziałem »po czterech kaesach i 9 latach za czasów ojca narodów – co to jest 24 czy 48 godzin? Z czym do gościa!«. Kilka rewizji, dwa lata zawieszenia w czynnościach adwokackich też się jakoś przeżyło. Podpalenie drzwi – głupstwo, anonimy i telefony – drobiazg, nieświeże jajka w sądzie radomskim – wprost bagatela; przecież jeść ich nie trzeba było".

» Siła-Nowicki, czyli nazwisko, które często pada w miasteczku

Nazwisko mecenasa Siły-Nowickiego padało w ostatnich tygodniach, w roku 2026, w miasteczku pod Trybunałem Konstytucyjnym wiele razy. Sędzia Piotr Łukasz Andrzejewski, zastępca prezesa Trybunału Stanu, który w czasach komunizmu miał osiem spraw dyscyplinarnych, mówił o swoim nauczycielu: „Mój patron, przyjaciel, razem działający, zadawał pytanie, które wydawało nam się śmieszne, wydawało się jakimś żartem z rzeczywistości. Bo on, sondując system prawa, mówił: Kochani, a powiedzcie mi, jakie przestępstwo, ba, zbrodnię można popełnić tylko przez usiłowanie? Bo jak się je już popełni, to już nie tylko się nie odpowiada, ale dostaje się wszystkie nagrody i profity z tego tytułu. To jest ten artykuł 127 i 128: kto przemocą usiłuje obalić obowiązujący stan funkcjonowania państwa". I odnosił się do zamachu stanu Donalda Tuska: „Dotąd było to usiłowanie. Teraz nastąpiło pierwsze zrealizowanie tego… Wy stoicie za legalną władzą. A dookoła mamy nielegałów totalitarnego systemu".

W miasteczku pojawił się też adwokat Marek Markiewicz, w początkach III RP popularna postać – autor programów telewizyjnych, poseł, a nawet przewodniczący KRRiT. Markiewicz latach 80. przez 7 lat pracował jako taksówkarz, bo uniemożliwiono mu wykonywanie zawodu. W „Wywiadzie z chuliganem" w Telewizji Republika opowiadał, jak bronił go mecenas Siła-Nowicki: „Ja pamiętam, jak zostałem wyrzucony i uznano mnie za człowieka, który nie daje rękojmi wykonywania zawodu prawnika w PRL. Odwoływałem się do Sądu Najwyższego i wtedy był szlachetny człowiek, wielki adwokat, mecenas Siła-Nowicki, który będąc starszym człowiekiem, przyszedł na rozprawę, gdzie się skarżyliśmy na decyzję, że nie wolno nam być aplikantami adwokackimi. Siła-Nowicki zasypiał majestatycznie przed składem, a skład w tych czapkach mówi tak: »Gdyby Okręgowa Rada wiedziała, co robi kandydat Markiewicz, nigdy by nie podjęła decyzji o przyjęciu«. W tym momencie mecenas Siła-Nowicki obudził się (śmiech) i powiedział tak: »Niebywaaałe!á. Po czym ci sędziowie, w tych kapeluszach, stanęli jak oniemiali zupełnie. I byli kompletnymi błaznami".

» Ułan Siła-Nowicki

„Jego życiorys czyta się jak ekscytujący scenariusz filmu, w którym nie brakuje scen bitewnych, okrucieństwa stalinowskich więzień, grozy wyroku śmierci, cudownego ocalenia ani też płomiennych adwokackich przemówień w sądzie, współudziału w tworzeniu historii Polski niepodległej i kontrowersyjnych dla jemu współczesnych decyzji" – takie wspomnienie na temat Władysława Siły-Nowickiego ukazało się na stronie adwokatura.pl.

Urodził się 13 czerwca 1913 roku w Warszawie. Pochodził z rodziny prawniczej. „Ojciec był

sędzią, człowiekiem wielkiej wiedzy i szlachetności. Przekazał synowi patriotyzm najwyższej próby, osadzony w prawdziwie chrześcijańskim stosunku do każdego człowieka niezależnie od jego narodowości, religii czy przekonań" – pisał adwokat Przemysław Pluta.

„Jego dziadkowie, zarówno ze strony ojca, jak i matki, byli związani z Kresami Wschodnimi. Dwóch stryjów Władysława – Emanuel i Wiktor – służyło w armii rosyjskiej. Emanuel doczekał się szarży generalskiej, w okresie rządów Aleksandra Kiereńskiego, po rewolucji lutowej w Rosji, pełnił nawet funkcję komendanta wojennego Moskwy. Dziadek ze strony matki, Władysław Wyrzykowski, walczył w powstaniu styczniowym" – pisał o nim Artur Kubaj, historyk IPN.

Jako uczeń był członkiem Polskiej Macierzy Szkolnej. Uczył się w Gimnazjum im. Jana Śniadeckiego w Kielcach, które ukończył w 1931 roku. Studiował na Wydziale Prawa Uniwersytetu Warszawskiego, który ukończył w 1935 roku. Potem służył w wojsku – od 20 września 1935 do 15 lipca 1936 roku szkolił się w Szkole Podchorążych Rezerwy Kawalerii w Grudziądzu, a następnie odbył dwumiesięczne ćwiczenia w 22. Pułku Ułanów w Brodach. W latach 1936–1939 odbył aplikację adwokacką, pracując jednocześnie w Ministerstwie Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego.

Latem 1939 roku został, będąc podporucznikiem kawalerii, dowódcą plutonu w 6. pułku strzelców konnych im. hetmana wielkiego koronnego Stanisława Żółkiewskiego. Wchodził on w skład Kresowej Brygady Kawalerii.

» Ranny w lewe ramię wziął ślub

Tam zastała go wojna. W czasie kampanii wrześniowej 1939 walczył jako dowódca plutonu łączności 6. Pułku Strzelców Konnych. Po rozbiciu jego pułku 11 września postanowił wycofać się do Warszawy. 19 września został ciężko ranny w lewe przedramię. Ostatecznie udało mu się przedostać do Warszawy, a potem udał się do Beresteczka na terenie okupacji sowieckiej, gdzie 21 października… wziął zaplanowany wcześniej ślub, po czym powrócił do Warszawy. Tutaj został żołnierzem Służby Zwycięstwu Polski, później ZWZ-AK. Działał w tym czasie w podziemnym Stronnictwie Pracy. W latach 1943–1944 dowodził drużyną Kedywu AK. Walczył w Powstaniu Warszawskim.

„Już w pierwszych dniach sierpnia został ranny w udo podczas walk o Urząd Pracy na placu Małachowskiego. Kolejna niemal śmiertelna rana, w płuco, ostatecznie zakończyła udział Siła-Nowickiego w walkach. Za udział w powstaniu został odznaczony Krzyżem Walecznych i awansowany do stopnia porucznika" – pisał Artur Kubaj.

» Podlegały mu oddziały „Zapory"

Po II wojnie światowej walczył z kolei z czerwonym reżimem. Podlegały mu oddziały absolutnej dziś legendy Żołnierzy Wyklętych – Hieronima Dekutowskiego „Zapory". „Około dwustu-dwustu pięćdziesięciu ludzi o wysokim poziomie ideowym, dobrze uzbrojonych i wyszkolonych, utrzymywanych w dyscyplinie, trzęsło połową województwa. Stan ten przypominał pewne okresy powstania styczniowego, gdy władza państwowa ustabilizowana była jedynie w dużych ośrodkach, zaś w terenie istniała tylko iluzorycznie. Oczywiście partyzantka opierała się na pomocy miejscowej ludności ogromnej większości wsi, udzielającej ofiarnie poparcia, kwater i informacji" – cytował relacje na temat zaporczyków Siła-Nowicki, cytowany przez Tadeusza Płużańskiego w artykule „Jeden z Wyklętych: Władysław Siła-Nowicki" opublikowanym na stronie Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich.

Jak czytamy, Siła-Nowicki i Dekutowski oraz sześciu ich podkomendnych podjęli kolejną próbę przedostania się na Zachód. Na punkcie przerzutowym w Nysie na Opolszczyźnie trafili w ręce katowickiego UB. „Wszyscy zostali wydani przez kapusia. Dopiero po 1989 r. okazało się, że był nim ktoś inny, niż przez lata uważano. Podstępnie schwytanych Zaporczyków przewieziono na Rakowiecką i poddano brutalnemu śledztwu" – pisał Płużański.

3 listopada 1948 roku, na niejawnej rozprawie przed Wojskowym Sądem Rejonowym w Warszawie, kpt. Stanisław Łukasik ps. Ryś, por. Jerzy Miatkowski ps. Zawada – adiutant, por. Roman Groński ps. Żbik, por. Edmund Tudruj ps. Mundek, por. Tadeusz Pelak ps. Junak, por. Arkadiusz Wasilewski ps. Biały usłyszeli wyroki śmierci. „Major Hieronim Dekutowski został skazany na tę karę siedmiokrotnie, a Władysław Siła-Nowicki – czterokrotnie. Na przełomie stycznia i lutego 1949 r. uwięzieni zaporczycy podjęli próbę ucieczki. Została ona udaremniona, ponieważ wydał ich jeden z więźniów kryminalnych, licząc na złagodzenie wyroku" – pisał Artur Kubaj.

„Słyszymy stukot drewniaków – prowadzą więźniów. Widzę Władka. Pyta od razu: co z moimi? Odpowiadam – nie wiem, zrobiłyśmy wszystko, co było można" – tak wizytę na Rakowieckiej wspominała Irena Nowicka. „Tego właśnie dnia, 7-go marca 1949 roku, rozstrzelano na Mokotowie siedmiu wspaniałych ludzi, towarzyszy broni Władka. A on słyszał te strzały, żegnał się z przyjaciółmi" – opisywała.

» Ratunek od rodziny Dzierżyńskich

Siła-Nowicki był jedynym, który uniknął śmierci. Bo wstawiło się za nim niezwykle silne lobby, czyli rodzina Feliksa Dzierżyńskiego, Polaka, jednego z najgorszych sowieckich ludobójców. Dzierżyński od ponad 20 lat już nie żył, ale jego nazwisko nadal budziło postrach i nie mógł nie wziąć tego pod uwagę nawet Bolesław Bierut. A rodzina Krwawego Feliksa wiele zawdzięczała Sile-Nowickiemu, gdy groziła jej śmierć ze strony Niemców.

„Wiele mu, Władysławowi, zawdzięczamy. Może nie przetrwalibyśmy okupacji, gdyby nie on. Kochany jest przez nas, a szczególnie przez moją żonę Stanisławę, która odegrała dużą rolę w życiu Feliksa. Jej staraniom Feliks zawdzięcza stosunkowo łagodne wyroki carskie" – napisał do Bieruta brat Feliksa, Ignacy Dzierżyński.

„Znam go od dziecka i zawsze ceniłam w nim wielką szlachetność, samozaparcie, wielkoduszność i ogromne umiłowanie nauki, przy wyjątkowych zdolnościach. Kocham go jak własnego syna, a więc przez pamięć niezapomnianego brata mego, Feliksa Dzierżyńskiego, błagam Obywatela Prezydenta o łaskę darowania życia Władysławowi Nowickiemu. Nie wątpię, że czas i obecna słuszna rzeczywistość przekonają go o błędnej dotychczas drodze, by stać się użytecznym obywatelem naszej ukochanej Ojczyzny" – napisała siostra Dzierżyńskiego, Aldona z Dzierżyńskich Kojałłowiczowa.

Uratowana przez niego Barbara Łaczyńska pisała: „Zabierał mnie do swego domu jako zupełną nędzarkę, obdartą, wygłodzoną, wzbudzającą jedynie lęk wśród otoczenia. Opieka bowiem nad Żydami groziła śmiercią. Przebywając w jego domu kilka lat, i będąc traktowaną jako człowiek bliski, poznałam go z najlepszej strony. Odznaczał się wielką dobrocią i łagodnością, pomagał biednym i nieszczęśliwym. Często sama byłam świadkiem, jak dzielił się ostatnim groszem i ostatnim kawałkiem chleba, pomimo ciężkich warunków materialnych… jestem wstrząśnięta jego losem i gorącym moim pragnieniem jest przyczynić się do jego ratowania. Toteż błagam Pana Prezydenta o łaskę dla niego". Bierut przyciśnięty przez bolszewicki ród Dzierżyńskich, wykazał się niezwykłą łaskawością. Zamienił karę śmierci

na dożywocie. Przez kilka lat przenoszono Siłę-Nowickiego z Warszawy do Rawicza, Wronek i Strzelców Opolskich. Wreszcie w 1956 roku wyszedł na wolność.

» „Ciąży na mnie obowiązek walki o sprawiedliwość"

Swoją decyzję o tym, by zostać obrońcą w procesach politycznych, uzasadniał: „Uznałem, że skoro sąd potrafił z taką odwagą naprawić w stosunku do mnie zbrodnicze błędy stalinowskich czasów, to moim obowiązkiem wobec społeczeństwa i państwa jest podjąć się obrony w sprawach politycznych w każdym wypadku, gdy się ode mnie takiej obrony zażąda. Uważałem, że ciąży na mnie obowiązek walki o sprawiedliwość dla innych ludzi i że jestem do tego jako prawnik moralnie zobowiązany".

To zobowiązanie wypełniał przez lata. Od 1965 roku działał w Klubie Inteligencji Katolickiej w Warszawie. Należał do zespołu informacyjnego przy prymasie Polski kard. Stefanie Wyszyńskim. W 1969 roku został – na jego prośbę – doradcą prawnym Episkopatu Polski. W grudniu 1975 roku podpisał „List 59". „Obok Jana Olszewskiego, Stanisława Szczuki, Andrzeja Grabińskiego, Witolda Lisa-Olszewskiego należał do niedużego grona adwokatów występujących w obronie szykanowanych wówczas robotników. Podobnie jak inni prawnicy broniący robotników w procesach radomskich sam też był szykanowany" – napisał Kubaj.

» Upomniał się o księży zamordowanych przed Okrągłym Stołem

Był obrońcą w procesach KOR-u, KPN-u i Solidarności, pełnomocnikiem matki zamordowanego przez milicję Grzegorza Przemyka. „Wystąpienia w procesach politycznych przydały mu opinię bezkompromisowego obrońcy, odważnego i pełnego poświęcenia oraz osobistego zaangażowania" – pisał Kubaj. Od 1981 roku był członkiem Prymasowskiej Rady Społecznej, a w 1983 roku, na prośbę ks. Jerzego Popiełuszki, wygłaszał prelekcje w Kościele św. Stanisława Kostki. Był też współautorem statutu Solidarności.

W 1983 roku, gdy skończył 70 lat, został zmuszony do przejścia na emeryturę. W lutym 1984 roku w liście otwartym do Wojciecha Jaruzelskiego protestował przeciw bezprawiu Służb Bezpieczeństwa. Dwa lata później podjął niespodziewaną decyzję – przystąpił do Rady Konsultacyjnej przy przewodniczącym Rady Państwa. W Radzie pytał o prawdę o sowieckiej zbrodni w Katyniu. W 1988 roku został doradcą strajkujących w Stoczni Gdańskiej.

Lech Wałęsa próbował zablokować jego udział w obradach Okrągłego Stołu. „Mimo oczywistych zasług mecenasa, jego doświadczenia i kompetencji oraz dużego zaangażowania w sprawę porozumienia, Lech Wałęsa, związany wówczas z doradcami z kręgów lewicy laickiej, nie zaproponował mu udziału w obradach, a szczeciński MKO na krótko przed rozpoczęciem obrad także wycofał swoją rekomendację" – pisał Artur Kubaj.

W czasie tych obrad zasłynął tym, że naruszył największe tabu: zawnioskował o uczczenie minutą ciszy zamordowanych tuż przez Okrągłym Stołem księży Stefana Niedzielaka i Stanisława Suchowolca. TVP, która relacjonowała obrady, zdołała wyciąć jego wypowiedź.

W lutym 1989 roku reaktywował Stronnictwo Pracy, w którym działał przed jego delegalizacją w latach stalinowskich. W czasie wyborów kontraktowych kandydował, nie zgadzając się na okrągłostołową dyscyplinę, rywalizując z mającym poparcie Komitetu Obywatelskiego Jackiem Kuroniem. Mimo że bez poparcia Solidarności był na przegranej pozycji, zdobył 21 proc. poparcia. W latach 1992–1994 był sędzią Trybunału Stanu. Zmarł 25 lutego 1994 roku w Warszawie, w wieku 81 lat. ■



As wywiadu, który padł ofiarą własnego sukcesu

Dariusz Jarosiński



Życiorys rotmistrza Jerzego Sosnowskiego to jedna z najbardziej fascynujących historii, a zarazem najbardziej tragicznych w dziejach polskiego wywiadu. Jako szef berlińskiej placówki wywiadowczej „In.3" w latach 1926–1934 wniknął w najwyższe kręgi niemieckiej elity i zdobył kluczowe plany wojskowe Niemiec, po czym po powrocie do Polski został niesłusznie oskarżony o zdradę i skazany przez własne państwo. Z wybitnego, najbardziej skutecznego oficera polskiego wywiadu jego przełożeni z Oddziału II zrobili bezpodstawnie zdrajcę, niemieckiego agenta.

Rotmistrz zdobył m.in. niezbite dowody na tajną współpracę wojskową między Niemcami a Sowietami już od 1921 roku, co stanowiło jawne złamanie traktatu wersalskiego, pozyskał też niemieckie plany operacyjne i mobilizacyjne na wypadek konfliktu z Polską.

Padł ofiarą własnego sukcesu, biurokratycznej zawiści, intrygi oraz błędnej, dogmatycznej analizy jego przełożonych z „Dwójki", którzy nie potrafili uwierzyć, że jeden oficer był w stanie samodzielnie podejść pod sam szczyt niemieckiej machiny wojennej.

Ponieważ dowództwo uznało Sosnowskiego za zdrajcę, całą zdobytą przez niego z dużym wysiłkiem, za duże pieniądze dokumentację zakwalifikowano jako niemiecką dezinformację i odłożono do szafy. Polscy stratedzy zignorowali realne dane o skali niemieckich zbrojeń i kierunkach planowanego uderzenia, co fatalnie wpłynęło na polskie przygotowania obronne do wojny. Sprawa rotmistrza obnażyła głębokie wady w strukturach polskiego kontrwywiadu, który bardziej skupiał się na wewnętrznych intrygach i szukaniu rzekomych spisków niż na rzetelnej weryfikacji faktów. Zamiast chronić asa wywiadu, aparat państwowy go zniszczył. I to wszystko w przeddzień wybuchu wojny.

» Wdrożenie w wojsko

Jerzy Sosnowski pochodził ze Lwowa z zamożnej rodziny ziemiańskiej herbu Nałęcz, od najmłodszych lat uczył się jazdy konnej, brał też udział w ćwiczeniach „Strzelca". Po wybuchu wojny w 1914 roku, i miesiąc po zdaniu egzaminu maturalnego, wstąpił do 1. Pułku Piechoty Legionów Józefa Piłsudskiego, gdzie trafił do szwadronu kawalerii Władysława Beliny-Prażmowskiego. W I Brygadzie Legionów Polskich przeszedł szlak od Kielc do Szczucina. Po wcieleniu legionistów do armii austriacko-węgierskiej walczył na froncie rosyjskim, odbył też szkolenie w szkole oficerów kawalerii oraz kurs dowódców broni maszynowej, uzyskując stopień porucznika, zdobył także kwalifikacje pilota i latał w kompanii lotniczej na froncie rosyjskim i albańskim.

Po zakończeniu I wojny światowej i odzyskaniu przez Polskę niepodległości wstąpił do 8. Pułku Ułanów Księcia Józefa Poniatowskiego w Krakowie. Z 8. pułkiem wziął udział w wojnie polsko-bolszewickiej, pełniąc przez pewien czas w zastępstwie funkcję dowódcy pułku. Za zasługi w boju został czterokrotnie odznaczony Krzyżem Walecznych, otrzymał też pochwałę od dowódcy grupy Rydza-Śmigłego i awans do stopnia rotmistrza. Za brawurową szarżę ze swoim szwadronem na oddział Budionnego, zadanie dużych strat wrogowi i zdobycie miasta Beresteczko odznaczony został Orderem Virtuti Militari.

Po wojnie z bolszewikami pełnił ważne funkcje w różnych jednostkach Wojska Polskiego. Do współpracy z wywiadem pozyskał go kpt. Marian Chodacki „Maracz", oficer, analityk Oddziału II Sztabu Generalnego w Warszawie. W 1924 roku rotmistrz został na własną prośbę przeniesiony w stan nieczynny i prawdopodobnie już w ramach budowania legendy wyjechał na rok ze swymi końmi do Berlina, a później do Francji, uczestniczył w zawodach hippicznych i życiu towarzyskim ludzi z wyższych sfer. Wyposażony w nową tożsamość, przeszkolony przez najlepszych polskich specjalistów wywiadu, w marcu 1926 roku Sosnowski wyjechał do Berlina, gdzie rozpoczął jedną z najbardziej spektakularnych operacji w historii przedwojennego polskiego wywiadu. 29-letni kawalerzysta zabrał ze sobą do Berlina sześć wierzchowców, by startować w wyścigach konnych.

FOT. WIKIMEDIA

» Salon w dzielnicy Tiergarten

Zamieszkał przy ulicy Lützowufer 36, w luksusowym mieszkaniu w eleganckiej dzielnicy Tiergarten. Jako szef placówki wywiadowczej „In.3", oficjalnie podawał się za zamożnego polskiego barona Ritter von Nalecz, i miłośnika wyścigów konnych. Odnowił dawne kontakty, nawiązane między innymi podczas zawodów hippicznych.

Rotmistrz był przystojnym, szarmanckim, pełnym uroku mężczyzną. Rozkochiwał w sobie kobiety pracujące w ważnych urzędach, a intymna relacja stawała się zarzewiem do późniejszej współpracy wywiadowczej. Oferował swoim współpracowniczkom duże sumy pieniędzy, które pozwalały im spłacać długi i żyć na luksusowym poziomie, a pamiętajmy, że był to czas kryzysu ekonomicznego w Niemczech. Często grał rolę „przyjaciela w potrzebie" lub przekonywał swoje ofiary, że przekazywane mu dokumenty nie służą celom militarnym, lecz są potrzebne na przykład do prywatnych transakcji biznesowych lub giełdowych.

Sosnowski werbował do współpracy kobiety, które z uwagi na pochodzenie i wykonywaną pracę miały dostęp do najgłębszych sekretów Reichswehry (niemieckiej armii). Do jego najważniejszych współpracowników szpiegowskiej siatki należały trzy agentki: Benita von Falkenhayn – wpływowa arystokratka, żona oficera Reichswehry, krewna szefa sztabu niemieckiej armii Ericha von Falkenhayna, która stała się jego prawą ręką i główną pomocnicą w werbunku innych; Renate von Natzmer – pracownica sekcji operacyjnej Oddziału T-1 Sztabu Generalnego Reichswehry; Irene von Jena – córka generała, pracownica działu budżetowego Ministerstwa Reichswehry, dostarczała niezwykle cenne informacje o tajnych wydatkach na zbrojenia.

Byli też mężczyźni, na przykład Günther Rudloff – oficer berlińskiej placówki Abwehry. Sosnowski poznał Rudloffa na berlińskich wyścigach konnych, obaj byli pasjonatami hippiki i oficerami kawalerii. Niemiecki oficer prowadził bardzo wystawny i hulaszczy tryb życia, przez co popadł w ogromne karciane długi. Sosnowski pomógł mu je spłacić, a w zamian zażądał współpracy. Dla siatki szpiegowskiej rotmistrza Jerzego Sosnowskiego stał się kluczową postacią – pełnił rolę „tarczy ochronnej", która przez lata paraliżowała działania niemieckiego kontrwywiadu wymierzone w Polaków. Jako oficer berlińskiej placówki Abwehry Rudloff miał bezpośredni wgląd w operacje kontrwywiadowcze i wykorzystał to do genialnego fortelu, a mianowicie zarejestrował Sosnowskiego jako agenta Abwehry. Aby nikt w niemieckich służbach nie nabrał podejrzeń dotyczących luksusowego stylu życia Sosnowskiego oraz jego bliskich kontaktów z pracownicami Ministerstwa Reichswehry, Rudloff formalnie wciągnął rotmistrza na listę swoich niemieckich współpracowników i ogłosił się jego oficerem prowadzącym. Neutralizował też wszelkie donosy i podejrzenia.

Sosnowski odniósł spektakularne sukcesy wywiadowcze. Latem 1929 roku zdobył dokument pod nazwą „Organisation-Kriegsspiel" – był to ściśle tajny plan gry wojennej oraz niemieckich założeń operacyjnych na wypadek wojny z Polską. Pozyskał kluczowe dokumenty obnażające łamanie przez Niemcy postanowień traktatu wersalskiego, w tym dowody na tajną współpracę wojskową Niemiec z Rosją sowiecką. Niemcy w zamian za surowce testowali na poligonach w Sowietach czołgi i samoloty, których posiadania zakazywał im traktat wersalski. Zdobył dokumentację finansową i produkcyjną dowodzącą, że Niemcy potajemnie przeznaczają gigantyczne pieniądze na zakazane w traktacie wersalskim zbrojenia ofensywne. Pozyskał znaczną część niemieckiego planu mobilizacyjnego, dyslokację jednostek oraz

dokumentację nowoczesnych systemów uzbrojenia, w tym szczegóły dotyczące rozwoju broni pancernej i lotnictwa.

Dokumenty świadczyły o tym, że Republika Weimarska rozpoczęła wojskową współpracę z Sowietami już w 1921 roku. Centrala polskiego wywiadu odebrała to, i słusznie, jako zagrożenie ataku z dwóch stron, ponownej perspektywy rozbioru Polski.

Z pozyskanych dokumentów jasno wynikało, że od co najmniej 1929 roku Republika Weimarska przygotowywała się do wojny z Polską, „państwem sezonowym", jak ją nazywali Niemcy, tak więc to nie Hitler pierwszy planował agresję na Polskę. W świetle pozyskanych dokumentów bardziej zrozumiałe są przygotowania marszałka Józefa Piłsudskiego do wojny prewencyjnej z Niemcami w 1932 roku, jednak Francja odmówiła wówczas Polsce współpracy.

Informacje, które zdobył rotmistrz, miały olbrzymie znaczenie z punktu widzenia nadchodzącej wojny. Pozwalały polskiemu Sztabowi Głównemu na precyzyjne śledzenie odradzającej się potęgi militarnej Niemiec.

» Pożegnalny bal

Jesienią 1933 roku kpt. Richard Protze z Abwehry (kontrwywiad) wpadł na trop polskiej siatki szpiegowskiej działającej w kręgach berlińskiej elity. Do ostatecznego zdemaskowania i aresztowania Sosnowskiego Protze wykorzystał m.in. tancerkę i kochankę Sosnowskiego, Marię Kruse (znaną jako Lea Niako), która była chorobliwie zazdrosna o inne kobiety, którymi Sosnowski się otaczał zarówno prywatnie, jak i zawodowo, m.in. o Benitę von Falkenhayn i Renate von Natzmer.

Na początku 1934 roku Sosnowski otrzymał ostrzeżenie, że grozi mu niebezpieczeństwo. Zaplanował ewakuację z Niemiec, ale jeszcze na pożegnanie 27 lutego zorganizował wielkie przyjęcie. Pierwsza część odbyła się w sali Bacha opery berlińskiej, po czym około osiemdziesięcioro wybranych gości – elita towarzyska Berlina, dyplomaci, artyści, a także zakamuflowani agenci Abwehry – przeniosło się do jego luksusowego mieszkania przy Lützowufer 36. W mieszkaniu piętro wyżej wcześniej ukryła się specjalna grupa sześćdziesięciu funkcjonariuszy policji i Gestapo pod dowództwem komisarza kryminalnego Kubitzky'ego. W kulminacyjnym momencie imprezy niemieckie służby wkroczyły do apartamentu Sosnowskiego i zablokowały wszystkie wyjścia. Gestapo aresztowało kilkadziesiąt osób, w tym rotmistrza i jego agentki.

Po trwających rok przesłuchaniach16 lutego 1935 roku niemiecki Trybunał Ludowy skazał dwie agentki – Benitę von Falkenhayn oraz Renate von Natzmer – na karę śmierci za zdradę stanu. Irene von Jena usłyszała wyrok dożywotniego ciężkiego więzienia. Rotmistrz Sosnowski otrzymał wyrok dożywotniego więzienia. Stracenie kobiet miało wyjątkowo okrutny przebieg – wyrok wykonano za pomocą kata i tradycyjnego topora katowskiego na dziedzińcu więzienia Plötzensee w Berlinie. Aby maksymalnie pognębić polskiego asa wywiadu, władze III Rzeszy zmusiły Sosnowskiego do osobistego oglądania egzekucji obu kobiet. Warto dodać, że Sosnowski do samego końca próbował ratować swoje agentki. W śledztwie brał całą winę na siebie, umniejszając ich rolę. Po ogłoszeniu wyroku, za pośrednictwem polskiego ambasadora Józefa Lipskiego złożył nawet oficjalną prośbę o zgodę na ślub z Benitą von Falkenhayn. Gdyby została jego żoną, otrzymałaby polskie obywatelstwo, co mogłoby uchronić ją przed katowskim toporem. Adolf Hitler osobiście odrzucił tę prośbę.

» Powrót do Polski

Po dwóch latach odsiadywania wyroku dożywocia w Niemczech przez Sosnowskiego

polskie władze postanowiły odzyskać swojego asa wywiadu. Niemcy zgodzili się oddać rotmistrza oraz kilku innych polskich agentów w zamian za wypuszczenie grupy uwięzionych w Polsce szpiegów Abwehry (źródła podają wymianę w stosunku dwunastu Polaków za dziewięciu Niemców lub siedmiu agentów niemieckich za samego rotmistrza). Do wymiany doszło 23 kwietnia 1936 roku na stacji granicznej w Zbąszyniu. Sosnowski był przekonany, że wraca do kraju jako triumfator. Rzeczywistość okazała się jednak brutalna – na granicy nie czekali na niego z kwiatami. Dalsze jego losy potoczyły się w sposób bardziej dramatyczny niż berlińska misja. Zamiast zasłużonej chwały bohatera w ojczyźnie czekały na niego oskarżenie i cela więzienna.

Został natychmiast przejęty przez oficerów Oddziału II Sztabu Głównego i przewieziony do tajnego miejsca odosobnienia, gdzie został uwięziony bez nakazu prokuratora, bez podstawy prawnej, całkowicie odcięty od świata zewnętrznego.

Głównym motorem napędowym nagonki na mjr. Sosnowskiego był płk Stefan Mayer, szef wywiadu i kontrwywiadu wojskowego, nazywany szarą eminencją polskiego wywiadu. To on był głównym architektem oskarżenia, który z góry założył winę Sosnowskiego i konsekwentnie dążył do jego skazania, ignorując dowody świadczące o niewinności majora. Najprawdopodobniej rozbicie odnoszącej gigantyczne sukcesy siatki Sosnowskiego obciążało konto centrali w Warszawie, na której czele stał Mayer. Gdyby uznano, że Sosnowski był genialnym agentem, którego centrala nie potrafiła odpowiednio zabezpieczyć i ewakuować, Mayer musiałby odpowiedzieć za zaniedbania. Przyjęcie wygodnej tezy, że „Sosnowski od początku grał na dwa fronty i dał się podejść Niemcom", zdejmowało odpowiedzialność z kierownictwa wywiadu. Mayer osobiście nadzorował śledztwo i powołał komisję, która miała udowodnić winę oficera. Początkowo oskarżał go jedynie o niesubordynację, luksusowy styl życia w Berlinie i marnowanie funduszy państwowych. Dopiero gdy to nie wystarczyło, sformułował zarzut zdrady głównej i współpracy z niemieckim kontrwywiadem.

Po powrocie Sosnowskiego do Polski w Oddziale II doszło do ostrego podziału. Część oficerów była przekonana o jego geniuszu, jednak kierownictwo, w tym szef „dwójki" płk Tadeusz Pełczyński (późniejszy generał) oraz mjr Stefan Mayer, uznało Sosnowskiego za podwójnego agenta, który dał się przewerbować Abwehrze.

Spór powstały wokół sprawy mjr. Jerzego Sosnowskiego wywołał głęboki kryzys w polskim wywiadzie wojskowym, który w przededniu wybuchu II wojny światowej doprowadził do paraliżu jego kluczowych struktur. Każdy, kto bronił Sosnowskiego lub uważał dostarczane przez niego dokumenty za prawdziwe, stawał się podejrzany. Przez blisko trzy lata przed wojną zamiast rozpracowywać Niemców, najlepsi polscy analitycy i oficerowie kontrwywiadu tracili czas i zasoby na badanie rzekomej zdrady asa berlińskiej placówki.

» Tragiczny finał

Przesłuchania nadzorowane przez Mayera były tak wyniszczające, że mjr Sosnowski w maju 1936 roku podjął próbę samobójczą, a w 1937 roku rozpoczął wielomiesięczny, wycieńczający strajk głodowy w proteście przeciwko szkalowaniu go.

Abwehra i Gestapo, aby zneutralizować szkody wyrządzone przez Sosnowskiego, celowo podrzucały Polakom sfabrykowane poszlaki sugerujące, że rotmistrz przeszedł na

ich stronę. Polskie służby dały się wciągnąć w tę grę.

9 października 1937 roku płk Stefan Mayer wraz z mjr. Stefanem Mareschem i kpt. Adamem Świtkowskim podpisali i skierowali do Wojskowej Prokuratury Okręgowej oficjalne zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa przez Sosnowskiego. Zarzucili mu w nim, że w latach 1929–1934 współpracował z Abwehrą i przekazywał polskiej centrali materiały celowo spreparowane przez Niemców.

Mayer, jako autorytet w dziedzinie wywiadu, przedstawił sprawę Sosnowskiego szefowi Sztabu Głównego płk. Wacławowi Stachiewiczowi oraz marszałkowi Rydzowi-Śmigłemu jako sukces w oczyszczaniu polskich szeregów z „niemieckiego dywersanta". Na podstawie analiz i raportów Mayera Wojskowy Sąd Okręgowy w Warszawie 27 czerwca 1939 roku, na kilkanaście tygodni przed wybuchem wojny, skazał majora na 15 lat więzienia, niebotyczną kwotę 200 tys. złotych grzywny, całkowity przepadek mienia i utratę praw obywatelskich. Była to w istocie „zbrodnia sądowa" dokonana przez polskie służby na własnym oficerze.

Pułkownik Stefan Mayer z powodu swoich uprzedzeń, ambicji i chęci ochrony własnej pozycji zamienił największy sukces przedwojennego polskiego wywiadu w rzekomą niemiecką prowokację. Nawet po wojnie, przebywając na emigracji w Wielkiej Brytanii, Mayer uparcie twierdził, że Sosnowski był zdrajcą, choć odtajnione po latach niemieckie i brytyjskie archiwa jednoznacznie udowodniły, że polski major był całkowicie lojalny wobec Rzeczypospolitej.

Dramatyczny proces majora, zwieńczony skazaniem go za zdradę, wysłał wstrząsający sygnał do całej struktury wywiadowczej. Oficerowie operacyjni zaczęli bać się podejmowania ryzyka. Przejęła ich obawa, że jeśli dostarczą zbyt dobre lub alarmujące materiały z terenu Niemiec, zostaną – wzorem Sosnowskiego – oskarżeni o uleganie dezinformacji lub współpracę z wrogiem. Nastąpiły spadek aktywności wywiadowczej na kierunku zachodnim i kryzys decyzyjny, ponieważ strach przed prowokacją paraliżował weryfikację napływających z placówek doniesień.

We wrześniu 1939 roku, podczas ewakuacji więzienia na wschód, polskie służby podjęły nieudaną próbę zabicia mjr. Sosnowskiego. Ranny, postrzelony, 2 listopada został aresztowany przez Sowietów w Stanisławowie i przewieziony do centralnego więzienia NKWD w Moskwie na Łubiance.

Nie znamy ani okoliczności i daty śmierci, ani miejsca pochówku bohaterskiego oficera, kawalerzysty Jerzego Sosnowskiego. Zmarł najprawdopodobniej w którymś z sowieckich więzień.

***

Gdy 6 września 1939 roku Sztab Główny i kierownictwo wywiadu ewakuowały się z Warszawy do Rumunii, w warszawskim Forcie Legionów pozostały tony ściśle tajnych dokumentów, w tym teczki personalne agentów, opisy placówek oraz materiały operacyjne, m.in. akta Ekspozytury nr 3 w Bydgoszczy odpowiedzialnej za kierunek niemiecki. Z powodu chaosu, dezorganizacji nie wykonano rozkazu spalenia akt. Nienaruszone archiwum przejęli Niemcy – kilkadziesiąt wagonów akt przewieziono do Gdańska i Berlina. Na podstawie przejętych dokumentów Gestapo i Abwehra przeprowadziły masowe aresztowania. Podczas gdy polscy kryptolodzy z Biura Szyfrów wzorowo ewakuowali się, niszcząc ślady prac nad Enigmą, to pozostawienie archiwum w Forcie Legionów stało się tragicznym symbolem porażki organizacyjnej polskiego dowództwa wojskowego w 1939 roku. ■



Agnieszka Kowalczyk

W WALCE O NARODOWĄ SPRAWĘ. 200 LAT Z „GAZETĄ POLSKĄ” (CZ. 1)

200 lat temu, w 1826 roku, w warszawskim środowisku polskich patriotów powołana została do życia „Gazeta Polska”, która w czasach narodowej niewoli zawsze stała na straży polskości. Swoją misję pełniła wbrew represyjnej cenzurze i prześladowaniom ze strony władz zaborczych. Zwrot w stronę ojczystej historii i tradycji uczynił ją żywą księgą polskości współtworzoną przez tych, którzy mogliby powtórzyć za Wyspiańskim, że „Polska to jest wielka rzecz”.

Po wybuchu powstania listopadowego zagrzewała rodaków do walki o niepodległość, a gdy tylko było to możliwe, stawała po stronie Polaków walczących o prawa narodowe i obywatelskie, budziła patriotyczne nastroje, wzywała do jedności. Tak działo się w czasie powstań narodowych, a także w czasie rewolucji 1905 roku skierowanej przeciwko carskiemu despotyzmowi.

» Trybuna patriotów

Po nagłej śmierci cara Aleksandra I władzę nad Imperium Rosyjskim i Królestwem Polskim objął jego młodszy brat Mikołaj. Wkrótce Warszawę obiegła wieść o wstrząsających wypadkach, do których doszło 26 grudnia 1825 roku w Petersburgu. Wówczas to na Placu Senackim krwawo stłumiono bunt dekabrystów, którzy odmówili posłuszeństwa carowi Mikołajowi I, domagając się praw konstytucyjnych. Przywódców powstania – Pestela, Murawiowa-Apostoła, Bestużewa-Riumina, Rylejewa i Kachowskiego – skazano na karę śmierci przez poćwiartowanie, choć car w swoim „niezmierzonym miłosierdziu" zamienił ją na szubienicę.

Nad polskimi działaczami konspiracyjnymi zawisła groźba aresztowań i represji. W konsekwencji działań senatora Nowosilcowa, który usiłował wykryć związki między Towarzystwem Patriotycznym a petersburskimi dekabrystami, schwytano księcia Antoniego Jabłonowskiego, Gustawa Olizara, Piotra Moszyńskiego, Aleksandra Chodkiewicza i powieziono do Petersburga. 20 lutego trafił do więzienia na Lesznie ppłk Ignacy Prądzyński, współzałożyciel Towarzystwa Patriotycznego. Wreszcie aresztowano też jego prezesa – starego, schorowanego Stanisława Sołtyka. Taki sam los spotkał wielu innych Polaków oskarżonych o zdradę stanu, spisek przeciwko carowi czy jakieś wielkie sprzysiężenie. Na całą Warszawę padł blady strach.

Podczas gdy w 1826 roku kolejna fala terroru ogarniała tonące w mrokach niewoli Królestwo Polskie, w kręgu polskich patriotów dojrzewała myśl o powołaniu do życia takiego organu prasowego, który broniłby polskości i ideałów wolnościowych. I tak 1 grudnia 1826 roku zrodziła się „Gazeta Polska", która już od chwili swego powstania była główną platformą ideologiczną służącą manifestowaniu polskiego ducha we wszelkich jego przejawach. Na jej czele stanęli: dziennikarz i wydawca pisma Tomasz Gębka, znany publicysta Ksawery Bronikowski i szermierz idei romantycznych Maurycy Mochnacki. Dwaj ostatni działali w tajnych organizacjach niepodległościowych, a potem przystąpili do Sprzysiężenia Piotra Wysockiego i wzięli czynny udział w powstaniu listopadowym. To oni podjęli wyzwanie stworzenia „codziennej gazety politycznej i literackiej" w czasach bezwzględnego tłumienia wolności.

» „Gazeta Polska" głosem powstańców listopadowych

Godzina czynu wybiła w nocy z 29 na 30 listopada 1830 roku. W napięciu oczekiwano chwili, gdy rozbłyśnie ogień na warszawskim Solcu jako znak, że oto pora uderzyć na wroga. Sprzysiężeni podchorążowie, na których czele stanął ppor. Piotr Wysocki, zamierzali otoczyć rosyjskie pułki kirasjerów, ułanów i huzarów, zmuszając ich do złożenia broni. Jednocześnie postanowiono ruszyć na Belweder – siedzibę wielkiego księcia Konstantego. Na przeciwległym, północnym krańcu Warszawy Piotr Urbański ze swoimi ludźmi szykował się do rozbrojenia pułku gwardii litewskiej w Koszarach Aleksandryjskich, opanowania mostu na Wiśle i zajęcia Pragi. W Śródmieściu grupa

FOT. ARCH.

Józefa Zaliwskiego przygotowywała się do zdobycia Arsenału…

O tym, co działo się w noc listopadową, dowiadujemy się m.in. z relacji Piotra Wysockiego opublikowanej w „Gazecie Polskiej" 12 i 13 grudnia 1830 roku: „W chwili kiedy oddział, przeznaczony do Belwederu, wyruszył z lasku Łazienkowskiego, pospieszyłem do koszar podchorążych […]. Wbiegłszy do Sali, zawołałem na dzielną młodzież: »Polacy! Wybiła godzina zemsty. Dziś umrzeć lub zwyciężyć potrzeba! Idźmy, a piersi wasze niech będą Termopilami dla wrogów«. Na tę mowę i z dala grzmiący odgłos: do broni! do broni! młodzież porwała karabiny, nabiła je i pędem błyskawicy poskoczyła za dowódcą. Było nas stu sześćdziesięciu kilku! Zmierzamy uliczką prowadzącą do koszar trzech pułków jazdy rosyjskiej. […] Dajemy ognia […] silnym w skoku napadem, z okrzykiem wojennym hurra! rozbijamy kolumnę Rosjan, którzy zasławszy plac trupem, na wszystkie rozsypali się strony".

Przez cały okres powstania listopadowego „Gazeta Polska" wywierała nieustanną presję na elity rządzące, domagając się radykalnych kroków i upatrując zwycięstwa powstania w sukcesach militarnych. Docierała nawet na front, by pośród świstu kul prowadzić powstańców do boju.

» W ogniu walki

W nocy z 5 na 6 lutego 1831 roku nieprzyjacielskie wojska pod dowództwem feldmarszałka Iwana Dybicza, w sile 79 tys. bagnetów i szabel przekroczyły granice Królestwa Polskiego. Imperium rosyjskie dysponowało potężną armią – 400 tys. żołnierzy i przeszło 1000 dział! Polacy nie tracili jednak bojowego ducha, a „Gazeta Polska" zagrzewała ich do walki pod Stoczkiem, Dobrem, Wawrem, Białołęką, Grochowem, dając im poczucie, że są bohaterami narodowej sprawy. 25 lutego pod Olszynką Grochowską rozegrać się miała jedna z najkrwawszych bitew powstania listopadowego. Przeciwko 12 polskim batalionom wystąpiło 27 rosyjskich. „Teraz okropna walka zamienia się w bój morderczy – pisała „Gazeta Polska". – Pod generałem Chłopickim padły dwa konie od kartaczów, sam był kulą karabinową w nogę raniony; nareszcie […] granat zabija pod Chłopickim trzeciego konia i z nim ranionego w obydwie nogi na ziemię obala". Rosjanie postępują wciąż naprzód, próbują złamać polską linię, lecz dowodzona przez generałów Szembeka i Skrzyneckiego piechota oraz kawaleria pod wodzą Klickiego i Skarżyńskiego „uderzają dzielnie z przodu i z boków na nieprzyjacielską jazdę, która najsroższej doznaje klęski i w zupełnym rozprzężeniu ustępuje".

Podczas bitwy pod Olszynką Grochowską – jak przekonuje historyk Stefan Przewalski – „duch ofensywny Rosjan został złamany. Armia carska przeszła na szeroko rozłożone leża zimowe, co w rezultacie dało Polakom możność przeprowadzenia ofensywy wiosennej". Uświetniona zwycięstwami pod Wawrem, Dębem Wielkiem i Iganiami znakomicie podniosła morale polskiego żołnierza. Jednak z powodu opieszałości i wahań naczelnego wodza Jana Skrzyneckiego wróg, którego zamierzał w pył rozbić Ignacy Prądzyński, zaczął się wymykać z potrzasku. 26 maja Polacy zmuszeni zostali do stoczenia krwawej bitwy pod Ostrołęką, tracąc tysiące żołnierzy. Skrzynecki „uwiadomił Rząd Narodowy, że na głowę pobity, stracił armię, niedobitki jej uprowadza".

» „Moskale idą!"

W lipcu 1831 roku Iwan Paskiewicz, dowodzący armią rosyjską po śmierci Dybicza, ruszył na Warszawę. Z początkiem września na

łamach „Gazety Polskiej" padły słowa oddające nastroje Polaków: „Już nie taimy przed sobą, że stoimy nad brzegiem przepaści […] – Bóg, honor i rozpacz mogą nam jeszcze zapalić zwycięstwo, bylebyśmy […] szczerą jednością się połączyli" („GP" 1831, nr 229). Warszawa miała być „drugą Saragossą", jak obiecywał nowy dyktator powstania gen. Jan Krukowiecki. W rzeczywistości miastu brakowało fortyfikacji i uzbrojenia, a przeciwko 360 działom nieprzyjaciela można było wystawić tylko 200.

6 września wróg skierował główne uderzenie na Wolę, bronioną przez dwa bataliony piechoty i 12 dział, podczas gdy Paskiewicz rzucił do ataku 11 batalionów i 76 dział. Polakami dowodził gen. Józef Sowiński, niezłomny jednonogi weteran wojen napoleońskich, który wobec miażdżącej przewagi Rosjan nie miał szans na wygraną.

„Moskale idą!" – zewsząd dobiegały okrzyki ludu. Stolica kapitulowała, fale uchodźców zdążały na północ. Święty Ilion Polaków dostał się w ręce wroga, a oni stali się na powrót niewolnikami. „Gazeta Polska" prawie do samej kapitulacji Warszawy wypełniała swoją misję trybuny narodu. Ostatni jej numer, pod redakcją Jana Nepomucena Janowskiego, ukazał się 5 września 1831 roku.

Upadek powstania listopadowego zapoczątkował gwałtowną falę represji w Królestwie Polskim. Car Mikołaj zniósł konstytucję z 1815 roku, a Królestwo uczynił nierozdzielną częścią Imperium Rosyjskiego. Dziesięciu przywódców narodowego zrywu, w tym księcia Adama Jerzego Czartoryskiego i Joachima Lelewela, skazano zaocznie na karę śmierci przez ścięcie toporem. Dwustu kilkudziesięciu polskich patriotów powieszono, a kilkadziesiąt tysięcy zesłano na Syberię. Władzę nad „ziemią buntowników" objął w lutym 1832 roku Iwan Paskiewicz, który rozpoczął swe rządy od wzniesienia Cytadeli.

W tej dramatycznej sytuacji represje spaść musiały i na prasę. „Gazecie Polskiej", burzycielce politycznego status quo w oczach caratu, udało się przetrwać. Ukazywała się nadal, choć pod zmienionym tytułem jako „Gazeta Codzienna", bo słowo „Polska" stało się zakazane. Historyk literatury Alina Kowalczykowa pisze, że „walka o patriotyczne słowo trwała na łamach »Gazety Codziennej« nieustannie".

» Wobec narodowej sprawy 1863 roku

Pamiętnego roku 1861, który obfitował w dramatyczne wydarzenia, „Gazeta Polska" znajdowała się w rękach znanego przedsiębiorcy Leopolda Kronenberga oraz wybitnego pisarza Józefa Ignacego Kraszewskiego, którym zawdzięczała przywrócenie swego pierwotnego tytułu. 27 lutego w Kościele Karmelitów na Lesznie odbyło się nabożeństwo żałobne za duszę Artura Zawiszy, partyzanta z oddziałów Józefa Zaliwskiego, który stracony został w listopadzie 1833 roku na placu kaźni w Warszawie. Akt upamiętnienia bohaterskiego powstańca zrodził wielką manifestację patriotyczną, podczas której Rosjanie otworzyli ogień do Polaków. Padło 55 strzałów. Pięć okazało się śmiertelnych. Wzburzenie mieszkańców stolicy sięgnęło wtedy zenitu i wywołało paniczny strach u carskiego namiestnika Gorczakowa. Drżał o to, by gniew narodu nie stał się zarzewiem powstania. W tej sytuacji Kraszewski i Kronenberg postanowili działać. W gmachu Resursy Kupieckiej zebrało się ponad 500 osób – lekarzy, adwokatów, kupców, urzędników, dziennikarzy i literatów. Spośród nich wybrano Delegację Miejską, w skład której weszli też sternicy „Gazety Polskiej". Następnie reprezentanci Delegacji udali się do Gorczakowa, żądając ukarania winnych śmierci demonstrantów i zgody na ich uroczysty pogrzeb. Ten zaś w obawie rozruchów przystał na wszystko, co więcej, powierzył Delegacji

tymczasową władzę nad wzburzonym miastem. Tym samym 28 lutego rozpoczęły się w stolicy „rządy polskie".

„Gazeta Polska" przenosiła swych czytelników do Kościoła Świętego Krzyża, gdzie wystawiono ciała ofiar lutowej manifestacji w czarnych trumnach. „Całe miasto w szatach żałobnych […] pochód zgodny całej ludności miejskiej, wszystkich wyznań i stanów, pierwszy może raz u nas zgromadzeni pod jedną ideą ofiary […]. Pięć trumien okrytych palmami i cierniowymi koronami niesiono na ramionach […]. Było to coś strasznego i pięknego jak sen, wielkiego jak Dantowskie obrazy […], było to zwycięstwo potęgi ducha" („GP" 1861, nr 58–59).

Gdy dwa lata później wybuchło powstanie styczniowe, „Gazetę Polską" firmował swoim nazwiskiem Kronenberg, a funkcję redaktora naczelnego pełnił Karol Ruprecht, choć w sposób niejawny. Był bowiem spiskowcem skazanym na śmierć za działalność niepodległościową w roku 1846, ułaskawionym dopiero pod szubienicą i skazanym na katorgę w syberyjskich kopalniach. W 1863 roku Kronenberg i Ruprecht zaangażowali się w pomoc powstańcom styczniowym. Warszawski bankier i właściciel „Gazety Polskiej" finansował zakup broni i przerzuty z zagranicy. Ruprecht natomiast wszedł do Rządu Narodowego, obejmując w nim nadzór nad skarbem. Był pośrednikiem między władzami powstania a warszawską finansjerą wspierającą narodowy zryw.

» Spragnieni wolności powstają

Gdy na czele „Gazety Polskiej" stawał Jan Gadomski – „czujny szermierz idei narodowej" – kończył się wiek XIX, a polityczny ucisk ze strony zaborcy nie ustawał. Dopiero rok 1905, w którym Rosja poniosła druzgocącą klęskę w wojnie z Japonią, a społeczeństwo zostało ogarnięte rewolucyjnym wrzeniem, przyniósł Polakom nadzieję na tak długo oczekiwane zmiany. Jeszcze w styczniu rozpoczął się strajk powszechny w Warszawie. Stanęły wszystkie fabryki, gazownie, piekarnie, warsztaty rzemieślnicze, przestała ukazywać się prasa. Krzyczano: „Niech żyje rewolucja! Niech żyje Polska! Precz z caratem!". Na ulice wychodziło wojsko, bijąc szablami przechodniów. W maju krwawe wypadki wstrząsnęły już całym Królestwem Polskim. Podczas pierwszomajowej manifestacji w Warszawie od kul zginęło 30 manifestantów, a 50 raniono. „Gazeta Polska" podawała nazwiska ofiar tej masakry, informując też o demonstracjach, które odbyły się m.in. w Kaliszu, Łomży, Suwałkach i Łodzi, gdzie wojsko odpowiedziało strzałami w stronę protestujących.

Dla „Gazety Polskiej" dniem przełomowym okazał się 30 października 1905 roku, kiedy to car Mikołaj II, obawiając się rozszerzenia rewolucji, ogłosił manifest konstytucyjny przyznający „ludności niewzruszone zasady wolności obywatelskiej, wolności sumienia, słowa, zgromadzeń i związków". W pierwszych dniach listopada, gdy prasa uwolniona została z pęt cenzury, „Gazeta Polska" obwieszczała, że „pękły żelazne okowy", a Polacy, „upojeni przyznaniem swobody słowa i przekonań", wyszli na ulice, by wreszcie otwarcie objawić tak długo tłumione uczucia i nadzieje. Podczas jednej z manifestacji zaczęto domagać się uwolnienia więźniów politycznych, lecz gdy okazało się, że nie wypuszczono wszystkich, zgromadzeni postanowili czekać całą noc na pozostałych. „Tłoczono się przed bramą Ratusza, wykrzykiwano i śpiewano. Naraz od ulicy Senatorskiej zjawia się oddział kozaków […], wydobyli szable, tratowali i siekli tłum. Ludzie rozpierzchli się z jękami i krzykami na wszystkie strony, dusząc się i tratując wzajemnie" („GP" 1905, nr 285). Zabito wtedy

ponad 40 osób, a 170 raniono, w tym wiele kobiet i dzieci.

„Gazeta Polska" potępiła te akty bestialstwa, domagając się „zniesienia stanu wojennego, jako głównej przyczyny dzikich mordów, dokonanych na ulicach Warszawy". Domagała się przeprowadzenia śledztwa w tej sprawie i ukarania winnych. Mimo krwawych aktów terroru ze strony wojska manifestacje patriotyczne nie ustawały. Największa z nich odbyła się 5 listopada. Dziennik pisał, że 200-tysięczny pochód zbliżał się do Katedry Świętego Jana, by po modłach dziękczynnych zamanifestować swą jedność pod Pomnikiem Adama Mickiewicza. Wtedy też „Gazeta Polska", występując w imieniu narodu, żądała uznania jego praw – nadania Królestwu całkowitej autonomii, wprowadzenia języka ojczystego w szkołach, sądach i urzędach, faktycznego reprezentowania polskich interesów przez samorządy miejskie i ziemskie oraz przez sejm krajowy w Warszawie („GP" 1905, nr 289).

Nadszedł rok 1906. Fala strajków nie ustawała ani na moment, a terror ze strony policji i wojska wzmagał się z każdym dniem. Łamy dziennika zapełniały doniesienia o wciąż nowych procesach politycznych, o wyrokach więzienia, zesłania, ciężkich robót, kary śmierci przez powieszenie. W tej sytuacji szczególnej wymowy nabrał „Larik" – dramat autorstwa redaktora „Gazety Polskiej" Jana Gadomskiego (1886). Wyrastający z ducha tradycji romantycznej zwracał się w stronę narodu, który spragniony wolności zdobywał się na heroiczne akty odwagi, cierpiał, upadał i podnosił się, dając dowód, że żyje i wewnętrznego życia nie pozwoli sobie odebrać.

» „Naród polski żyje!"

1 grudnia 1906 roku na czele „Gazety Polskiej" stanął Roman Dmowski – działacz niepodległościowy, przywódca Narodowej Demokracji, który z łamów dziennika wzywał rodaków do walki o prawa narodowe i autonomię Królestwa Polskiego. Sam zamierzał stoczyć ją jako poseł Koła Polskiego w Dumie Państwowej, czyli w parlamencie rosyjskim, w skład którego weszli przedstawiciele narodu polskiego wyłonieni w demokratycznych wyborach.

Okazało się jednak, że walka o sprawę polską drogą parlamentarną nie przyniosła oczekiwanych rezultatów. W tym czasie w „Gazecie Polskiej" ukazał się artykuł, najprawdopodobniej samego Dmowskiego, pt. „Zginęła na zawsze…" („GP" 1907, nr 173–174), w którym ostrze krytyki wymierzone zostało w antypolską politykę caratu. Przytoczono też słowa jednego z członków gabinetu premiera Stołypina: „Polacy muszą się pożegnać z marzeniami politycznymi… Polska zginęła na zawsze". Na przekór jednak intencjom zaborcy, jak z całą mocą stwierdził publicysta „Gazety Polskiej", brutalna rusyfikacja nie przyniosła spodziewanych efektów, bo Polacy nie dadzą się wynarodowić, mają bowiem „wrosłą głęboko w duszę wielką ideę narodową". Po publikacji tego artykułu „Gazeta Polska" nagle przestała się ukazywać, najprawdopodobniej zawieszona przez władze carskie jako bezkompromisowa bojowniczka o polską sprawę. Reaktywacji doczekała się w 1929 roku, w odrodzonej już Rzeczypospolitej, stając się wiodącym organem prasowym piłsudczyków i tych wszystkich, którzy pragnęli działać dla dobra ojczyzny. ■

Tekst powstał na podstawie książki A. Kowalczyk, „Zwierciadło polskości XIX stulecia. »Gazeta Polska« w latach 1826–1907", Kraków 2018.

Ewa Polak-Pałkiewicz



„Chata” i jej bywalcy, czyli o czym „Oleńka” i „Zagłoba” w listach pisali

„Wstaję przy świecach. O 8-ej godzinie albo o pół do 9-tej zaczynam robić lekcje i robię je do samego objadu, a objad jest o pół do drugiej, zaraz po objedzie gram godzinę. Od trzeciej do piątej daję lekcje Dzieciom. Teklunię uczę po francusku, a Marylkę po polsku" – pisała, starannie kaligrafując, ośmioletnia Marysia Sobotkiewiczówna w liście do ojca na zesłaniu w Kiereńsku, Gustawa Sobotkiewicza[1], w styczniu 1865 roku, z domu swojej ciotki, z wołyńskiej Biłki[2].

Ciocia teraz w złych interesach więc nie może sprowadzić guwernantki dla Małych, prosiłam żeby Ciocia pozwoliła mnie uczyć ich tego co sama trochę umiem […]. Tekla już zaczyna czytać i mówić po francusku, a Marylka już dużo umie historii polskiej i tak ją kocha prawie jak ja… Ciocia jak tylko zdrowsza to prosi żebym Jej czytywała… Pierwej czytałam Cioci pamiętniki Mochnackiego i Piotrowskiego, które mnie tak obchodziły, że oderwać się od nich było trudno i przykro strasznie, że się skończyły… Już ja przecież mam osiem lat, to już ja nie dziecko, a wszystkie suknie krótkie tak wyrosłam od wyjazdu Ojczulka i bardzo się teraz nauczyłam radzić sobie sama we wszystkich rzeczach… Czasem Dzieci bawią się w gry ale ja jak tylko zaczną się bawić to mi smutno i nie mogę się bawić jak zacznę myśleć że na naszej ziemi tak źle, więc one skaczą a ja siedzę i patrzę w ogień na kominku i myślę o Kiereńsku, a czasem mruczę sobie kawałki z »Konrada Wallenroda« albo z »Przedświtu«, albo niby z Ojcem gawędzę".

List ten znalazła córka Henryka Sienkiewicza – a zarazem matka autorki książki o nim[3] – porządkując stos papierów w domu bliskich przyjaciół, małżeństwa Dembowskich w Zakopanem. Marysia Sobotkiewiczówna (1856 – 1922), późniejsza Dembowska, była jedną z najbliższych osób żony Sienkiewicza, zaprzyjaźniona z nią od podlotka.

» Kim była „Mara czarna"?

Zdumiewająca dojrzałość Marysi Sobotkiewiczówny – zwanej „Marą czarną" ze względu na kruczoczarne włosy i takież zrośnięte brwi oraz niezmiennie czarne stroje, wedle popowstaniowej mody – zaowocowała w wieku dojrzałym niebywale rozwiniętym instynktem opiekuńczym i dobrocią okazywaną każdemu z potrzebujących. Przede wszystkim najbliższej przyjaciółce, żonie Sienkiewicza, Marii z Szetkiewiczów, gdy ta, w wieku 30 lat, umierała na gruźlicę w 1885 roku w Falkenstein. „[…] przyjeżdża, by w ostatnich miesiącach jej życia zamienić się w siostrę miłosierdzia i ulżyć choć trochę najtroskliwszemu z pielęgniarzy – mojemu dziadkowi" – pisze wnuczka pisarza Maria Korniłowiczówna.

Przez całe życie „Mara czarna" kogoś pielęgnowała. Mieszkając na stałe w Zakopanem

[1] Gustaw Sobotkiewicz, prywatny nauczyciel w dworach szlachty polskiej na Wołyniu, powstaniec styczniowy. W Kiereńsku przebywał także na zesłaniu w l. 1887-1890 Józef Piłsudski.

[2] Pisownia oryginalna.

[3] Maria Korniłowiczówna, „Onegdaj. Opowieść o Henryku Sienkiewiczu i ludziach mu bliskich", Warszawa 1972.

FOT. WIKIMEDIA

z mężem Bronisławem Dembowskim, słynnym etnografem[4], spędzała całe dnie przy umierającym doktorze Tytusie Chałubińskim, przyjacielu domu. Opiekowała się mnóstwem ludzi, czasem całkowicie obcych, czasem zaprzyjaźnionych. Także najbliższymi – gdy powoli odchodził ukochany a zdziecinniały i zneurastenizowany ojciec Gustaw Sobotkiewicz i gdy długo chorował na nieuleczalną wówczas promienicę jej mąż.

» „Chata" i jej przyjaciele

Zakopiański dom Dembowskich, zwany „Chatą", był czteroizbową góralską chatą, którą wynajmowali od miejscowych i która stała się, jak pisze Korniłowiczówna, „może jedynym w tej epoce miejscem w Polsce (jeśli nie w Europie), gdzie przy jednym stole zasiadali na prawach najmilej widzianych gości górale i arystokraci, konserwatyści i młodopolscy peleryniarze, »socjaliki« i postukujący drewnianą nogą (bo własną stracił w powstaniu) brat Albert. Zgoda panowała między nimi zupełna, choć zrozumienie nie zawsze przychodziło od razu". Tutaj przez parę dziesięcioleci spotykali się Sienkiewicz z Witkiewiczem, tutaj rozprawiano nocami o Polsce, o sztuce, o Tatrach. Tutaj planowano pionierskie wyprawy na niezdobyte jeszcze szczyty. Niemalże domownikiem „Chaty" był Sabała (Jan Krzeptowski). Brat Albert Chmielowski przysłuchując się intelektualnym i artystycznym dysputom przy płonących na dębowym stole świecach, wzdychał głośno: „Bo wy wszyscy ciemni ludzie jesteście, ciemni ludzie…". (Dbał sumiennie, by jego okrycie wierzchnie nie wisiało w sieni razem z innymi, bo mieszkając w przytułku na Kalatówkach, wiedział, że było zawszone).

„Chata" nad Foluszowym Potokiem zapełniona była po brzegi dziełami sztuki. Obrazami zaprzyjaźnionych malarzy – przede wszystkim Stanisława Witkiewicza – góralskimi kilimami, meblami, strojami i mnóstwem drewnianych rzeźb, które Dembowscy pieczołowicie zbierali. Bronisław Dembowski był też pierwszym, który spisywał bajki i przypowieści opowiadane przez Sabałę.

W listach do siostry żony Henryka Sienkiewicza, Jadwigi, z którą także była zaprzyjaźniona, Maria Dembowska relacjonowała spotkania z autorem Trylogii w „Chacie": „[…] cieszymy się nim […], a dla niego to takie higieniczne pożyć choć chwilę życiem świstaczym, jak sam mówi, że żyje jak świstak: je, śpi i mało myśli. […] ożywiony, gadający, sypie genialnościami spostrzeżeń życiowych i artystycznych, wykwintnymi ironiami i dowcipami".

Życie Dembowskich w „Chacie" dalekie było od luksusu, jak na Zakopiańczyków o zacięciu społecznikowskim przystało. „W Zakopanem pod koniec pierwszej wojny było bardzo głodno" – wspomina wnuczka doktora Tytusa Chałubińskiego, profesor Aniela Chałubińska, która Marię Dembowską nazwała Dobrą Panią. „Wiedzieliśmy, że pani Dembowskiej przynosi jakaś gaździna litr mleka, mieliśmy jednak poważne wątpliwości, czy nie jest to jedyny jej posiłek. Jadło się wtedy głównie ziemniaki, najczęściej pieczone na kuchennej blasze. Nosiło się czasem do »Chaty« ten ubogi dar. Dobra Pani przyjmowała kilka postnych placuszków, jakby to był najwytworniejszy przysmak".

» „Ciesz się, Duszko, że masz męża filozofa!"

Maria Korniłowiczówna, wnuczka pisarza, czytając odnaleziony przypadkiem tak zdumiewająco

[4] Bronisław Dembowski (1848 – 1893) był etnografem i jednym z najbardziej zasłużonych zakopiańskich społeczników. Współtwórca Muzeum Tatrzańskiego, inicjator zakopiańskiej Czytelni i Gospody Ludowej, gdzie prezentowano muzykę i tańce góralskie. W kolekcji etnograficznej, którą wraz z żoną zgromadził są unikatowe stroje kobiece, sprzęt pasterski i meble, niektóre jeszcze z XVIII w. Jest autorem „Słownika gwary podhalańskiej".

„dorosły" list ośmioletniej Marysi Sobotkiewiczównej, rozpoznała w nim dobrze sobie znany nieco patetyczny styl środowiska i epoki młodości swojego dziadka, Henryka Sienkiewicza. Jak komentowała: „Tonacja łagodzona w wersji mojej własnej rodziny przez wszechobejmujący sarmacki humor i pełną optymizmu głęboką wiarę pradziadka Kazimierza Szetkiewicza z Hanuszyczek" (jak uznają historycy literatury – prototypu postaci Zagłoby z Trylogii).

Kazimierz Szetkiewicz (1827–1898) o Marysi Sobkowiczównej po mężu Dembowskiej mawiał: „Mara czarna o sercu jasnym" i swoim córkom wyznawał, że ten „anioł dobroci i poświęcenia zaraz po was ma w sercu mym facyatkę wygodną". Tak jak jej ojciec był w latach 1863–1868 zesłańcem, ukaranym za pomoc oddziałom powstańczym na Litwie. Jego listy z zesłania nie zawierały jednak patetycznych westchnień, iskrzyły się od dowcipów i autoironicznych komentarzy. Jego dewizą było, by wszelkie smutki i nieszczęścia nie wyprowadziły go ze stanu afirmacji życia, a przeciwnie – dodawały ostróg, by je tym bardziej smakować. Toteż gdy pisał do żony Wandy z Belebeju w 1864 roku: „Tęsknota gorzej od pcheł kąsa i proszek perski nie pomaga", to dla równowagi dodawał jakąś anegdotę czy żart, które sam nazywał „bredzeniem". Pisał na przykład: „Jak Bóg da, że do Ciebie powrócę, to znajdziesz swego Kazia takim samym, jak był, więcej tylko rozhultajonym, więcej rozbełbotanym i z większymi wąsami". Ubolewał nad losem osamotnionej żony z córkami („Z całej duszy bym pragnął być z Tobą i dziatkami, bo was nad życie kocham i – wiem, że i Tobie beze mnie żyć nie pierogi są"), ale nieustannie ją pocieszał, opisując, jak dzielnie radzi sobie ze zdrowiem – w młodości chorował na gruźlicę („Staram się zachować czerstwość jak ogórki, póki są zasmolone", tj. w beczce), jak się odżywia (a był wielkim łasuchem i smakoszem), jak pochłania dziesiątki książek (głównie literaturę francuską w oryginale), że uczy się medycyny, mechaniki i miernictwa (sam był prawnikiem po studiach uniwersyteckich) oraz staje się coraz poważniejszym filozofem. Zgłębiał pod Uralem Arystotelesa i Platona, studiował sanskryt, doskonalił łacinę. „Ciesz się, Duszko, że masz męża filozofa, który wielkie rzeczy bierze za małe, a małe za nic".

Teść Henryka Sienkiewicza nie dał sobie nigdy odebrać dobrego humoru i dostrzegania niezamierzonego komizmu każdej niemal sytuacji. Zostało to już docenione we wczesnej jego młodości, gdy składając wizytę pewnej starszej damie („nader dostojnej, głuchej jak pień, ale siejącej postrach dookoła"), która przyjęła go, otoczona całym dworem, złożył jej wykwintny ukłon do samej ziemi, dorzucając gromkie: „Jak się masz, stara gitaro!", co dama skwitowała uroczym uśmiechem, podczas gdy wszyscy zebrani nieomal nie zemdleli.

Jego dobry humor stał się w Polsce słynny. Gdy tuż przed zesłaniem został zamknięty w więzieniu wileńskim, komendant Cytadeli doradzał jego przyjacielowi ze studiów i z konspiracji Jakubowi Gieysztorowi: „No, jedź do św. Piotra [więzienia w Wilnie – przyp. E.P.P.], tam wesoło, tam jest twój towarzysz Szetkiewicz".

Nieprzewidywalny, rubaszny i z lekka złośliwy, miał zawsze wielkie serce dla braci zesłańców, którzy byli w gorszej od niego sytuacji – sam mógł żyć w głębi Rosji na dość przyzwoitym poziomie – nowym przybyszom ofiarował co tydzień „krupy, mięso dla chorych, cukier herbatę, paczki tytoniu". Gdy w Ufie zmarł jego towarzysz z guberni mińskiej, pan Rogowski, zesłany wraz z żoną i dziećmi, wziął na siebie koszty pogrzebu i zaopiekował się wdową z sierotami. Swoją rolę jako zesłańca upatrywał w pokrzepianiu serc rodaków i utrzymywaniu równowagi moralnej w trudnych warunkach, by nie doszło do katastrofy, podkreśla

prof. Władysław Studencki[5], doceniając „smętną poetyczność" i zarazem „zawiesisty humor" jego malowniczych listów, nieraz celowo stylizowanych na bogobojność i rzewność, ale zawsze pogodnych, podnoszących najbliższych na duchu. Współtowarzysze niedoli uważali go za najweselszego i najpogodniejszego spośród nich. Gdy znalazł się w zapyziałym Belebeju, donosił żonie hardo: „Piszesz, że ci Belebej leży kamieniem na sercu. I mnie, Duszuniu, nie puchem łabędzim. […] Prawda, że w Ufie więcej towarzystwa, ale mnie się zdaje, że kto sobie sam nie wystarcza, temu i najweselsze towarzystwo na mało się przyda. […] nie nudzę się, bo przekonany jestem, że tylko nudni ludzie nudzić się mogą". Po kilku miesiącach z tego samego ponurego miejsca pisał: „Niech każdy więcej serca przykłada do rzeczy nieprzemijających, to go żadna przeciwność nie obali – ot, co!".

Nie znosił krętaczy i zdrajców. Oburzała go pazerność zrusyfikowanych rodaków. O pewnej znajomej, która opuściła męża, by wrócić do niego tuż przed śmiercią dla przypilnowania testamentu, mówił: „ta stara psica na resorach" i „dam dyskę łobuzowi, żeby Jej oplwał kapelusz. Dam i drugą dyskę, niech i bobaka[6] na nią wypłoszy. A psu bułkę dam, jeśli podniósłszy nogę, pokropi ją".

Pan Kazimierz na zesłaniu przeglądał czasem prasę i oto w którymś z petersburskich czasopism znalazł, ni mniej, ni więcej, tylko donos na własne córki, Marię i Jadwigę, które pozostały z matką w zasekwestrowanym majątku w Hanuszyczkach na Litwie. Napatoczył się tam reporter ze stolicy, węsząc, czy rodzina buntownika, a obecnie zesłańca spokorniała i cienko przędzie. Starsza z sióstr, dziesięcioletnia Maria, zobaczywszy intruza, rzuciła mu prosto w twarz, że uznaje tylko Rząd Narodowy w Warszawie, jest Polką i nią pozostanie, a niech on sam sobie cara kocha, jeśli chce. Oburzony szpicel zażądał, by dzieci odebrać matce i umieścić je w Instytucie Błagorodnych Diewic w Petersburgu. Nie doszło do tego, Wanda Szetkiewiczowa z dziewczynkami wyjechała do męża, który był już wówczas w Riazaniu, i tam dotrwali do końca zsyłki. Do swojego majątku już wrócić nie mogli, w 1868 roku zamieszkali w Warszawie. I tam, po niezbyt wielu latach, Marynia Szetkiewiczówna, ta, u której zawsze było „co w sercu, to i w gębie, a płochliwa nie jest", jak mawiał jej ojciec, poślubiła Henryka Sienkiewicza.

» „Żyjemy na przekór wszystkim siłom…"

Stanisław Witkiewicz (1851–1914), przyjaciel Sienkiewiczów i Dembowskich, wielki admirator talentu poetyckiego i malarskiego córki Sienkiewicza Jadwigi („Mary szarej") i serdeczny przyjaciel „Mary czarnej", był znany w Polsce głównie jako krytyk sztuki i wybitny architekt, twórca stylu zakopiańskiego. Jego malarstwo nie rozwinęło się tak żywiołowo jak jego przyjaciół, Chełmońskiego, Mehoffera, Wyczółkowskiego. Pozostał przede wszystkim idealistycznym myślicielem. Jako dwunastolatek w czasie powstania porzucił gimnazjum w Szawlach i został kurierem i zaopatrzeniowcem oddziałów powstańczych[7]. Od czasu powrotu z Tomska na Syberii w 1868 roku (według części źródeł historycznych wracał z przyjacielem na piechotę), gdzie był zesłany z rodzicami, którzy wraz

[5] Szkic pt. „Kazimierz Szetkiewicz i Zagłoba" ten autor opublikował w 1968 r. w „Przegladzie Humanistycznym".

[6] Bobak – świstak stepowy, duży gryzoń z rodziny wiewiórkowatych.

[7] Stanisław Witkiewicz, jeden z dziewięciorga dzieci Ignacego i Elwiry z Szemiotów. Ród Witkiewiczów h. Nieczuja wywodził się od wojowników Bolesława Krzywoustego, osiadł na Żmudzi w XVI w. Dwór Witkiewiczów w Poszawszu uchodził za „ognisko knowań przeciw Moskalom". Brat matki Witkiewicza, Franciszek Szemiot, filareta, znajomy Mickiewicza był Naczelnikiem powstania listopadowego na Żmudzi. Uczestniczył w nim także ojciec Stanisława, jako student Uniwersytetu Wileńskiego. Zmarł on z wycieńczenia w drodze z zesłania podczas przeprawy przez rzekę Ob, pisząc pamiętnik z tej podróży.

z jego starszym rodzeństwem wspierali powstanie na Żmudzi – samodzielnie, jako rasowy samouk, który nie ukończył szkół (choć studiował malarstwo na uczelniach europejskich) – zgłębiał polską literaturę, sztukę, myśl filozoficzną. Jego przyjaciele – także Kazimierz Szetkiewicz, Sienkiewiczowie i Maria Dembowska „Mara czarna" – uważali, że ten „chory na Polskę" samotnik i wielki artysta jest jednym z najszlachetniejszych ludzi, jakich znali.

By się nim opiekować – już mocno schorowanym, cierpiącym na gruźlicę i reumatyzm, którego nabawił się na Syberii – Maria Dembowska, będąc wdową, wyjechała z nim i jego siostrą Eugenią do Lovrany, uzdrowiskowej wsi nad Adriatykiem, gdzie miał mu służyć klimat. Była doświadczoną pielęgniarką i wyrozumiałą opiekunką, a dla niego samego ponadto przez wiele lat muzą i natchnieniem; cenił wysoko jej duchowy format. W ich środowisku na temat tej przyjaźni nigdy nie było żadnych dwuznacznych komentarzy. „I nikomu z ich świata (bo nie wiem, jak ludziom o mentalności lokai i pokojówek) do głowy by nie przyszło, że to mógłby być romans". „Mara czarna" osobiście wiozła przez tydzień do Polski trumnę z ciałem Witkiewicza przez ogarniętą wojną Europę.

Krótko przed śmiercią pisał w Lovranie, uskrzydlony czynem Józefa Piłsudskiego (z którym był spowinowacony): „W pierwszej chwili, kiedy społeczeństwo porwane przez czyn Strzelców zdawało się jednolicie polskim, zdawało się mnie, że moja książka[8] jest już niepotrzebna, że życie pisze lepszą książkę, której słowami są idące na czele narodu szeregi Legionów. Dziś widzimy […], że niewola nadżarła tak straszliwie Polskę, tak ją rozdrobniła, że trzeba wytężać wszystkie siły, by z tych gruzów i trupów odbudować całą, jednolitą Polskę. Ale żyjemy, żyjemy na przekór wszystkim siłom wrogim zewnątrz i na przekór własnej nędzy dusz. Ludzie nie zawsze rozumieją, czym jest życie w ogóle, a czym jest właściwa sfera życia polskiego. Im się zdaje, że jeśli kto sadzi kury na jajkach, sieje i zbiera owies, hoduje świnie czy robi garnki czy maszyny, byleby to robił między Piasecznem a Psią Wólką, to już tym samym żyje po polsku, a tymczasem życie polskie jest tam dopiero, gdzie istotnie walczy się o Polskę, cierpi się za Polskę, gdzie jest pierwszy żołnierz polski lub gdzie ostatnia stoi szubienica. Są żołnierze polscy i są szubienice dla Polaków…".

» „Zagłoba" ratuje „Oleńkę"

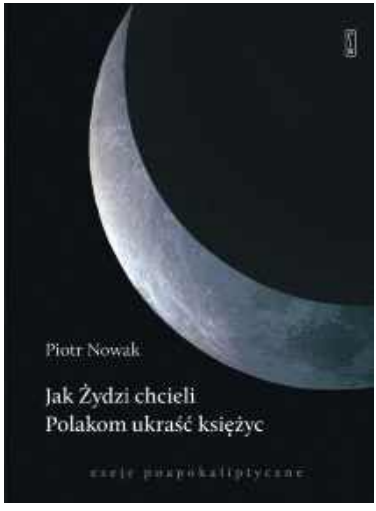
Autorka książki, z której pochodzą cytaty, poznała w tym samym roku we Lwowie Kanadyjczyka, Williama J. Rose'a, o którym wcześniej wiele od „Mary czarnej" słyszała. Doktoryzował się z historii literatury polskiej na UJ, został profesorem literatury polskiej na University of London i autorem wielu prac o Polsce. Kanadyjski polonofil o Marii Dembowskiej mówił zawsze: „To moja polska matka".

Kazimierz Szetkiewicz miał z kolei swoje tajemne sposoby, by wspomóc „Marę czarną" – sam będąc już starszym panem – gdy jej siły psychiczne w drugiej połowie życia, zwłaszcza po śmierci ukochanego ojca w 1893 roku, zostały nadwątlone. „[…] było już z ciocią Marą bardzo źle. Wybiegała z »Chaty« przed siebie, gdzie poniosą oczy, a że góry i potoki były blisko… Na to znalazł skuteczny sposób – któż by, jak nie pradziadek Szetkiewicz. Kazał sobie zrobić ogromną blaszaną tubę, przez którą huczał na całe podtatrze: »Mara, Mara, awanturnica stara!«. Nie pozostawało nic innego, jak czym prędzej wracać i jeszcze się uśmiechnąć…" – wspominała Maria Korniłowiczówna.

Takim to sposobem „Zagłoba" uratował „Oleńkę", a ona potem przez kilka ostatnich lat życia ratowała Stanisława Witkiewicza, nie szczędząc poświęcenia, w dalekiej Lovranie nad Adriatykiem.

Być może dzięki tej szczególnej terapii starego kawalarza stany niebezpiecznego podniecenia u owdowiałej Marii bezpowrotnie minęły. Wiek podeszły nie okazał się w jej przypadku okrutny. Zmarła w wolnej Polsce w 1922 roku. ■

[8] Niedokończone dzieło St. Witkiewicza „Życie, etyka i rewolucja".



Piotr Nowak, „Jak Żydzi chcieli Polakom ukraść księżyc. Eseje poapokaliptyczne", Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2026.

Krzysztof Wołodźko



Ziemia odebrana. Żydzi, Polacy, Rzeczpospolita

Jeden rabin powie, że to książka antysemicka. Drugi, że filosemicka. Obaj się pomylą. „Jak Żydzi chcieli Polakom ukraść księżyc" Piotra Nowaka to rzecz o skomplikowanej mozaice materii i ducha, w którą ułożyły się dzieje Polaków i Żydów. Nie ma w tej opowieści łatwych pocieszeń i rozwiązań: (geo)polityka miesza się z religią i kulturą, żydowski mistycyzm z instytucjonalną bezwzględnością autorytarnych potęg, wielowiekowe obyczaje wschodnioeuropejskich wspólnot z nagłością i bezwzględnością rewolucji, zaś szlachetne intencje i zimne wyrachowanie stają się pożywką XX-wiecznych ideologii. Autor stawia przy tym ważną tezę: upadek Rzeczypospolitej pod koniec XVIII wieku spowodował, że staliśmy się zakładnikami cudzych opowieści o relacjach polsko-żydowskich.

Atmosfera intelektualna III RP sprawiła, że filosemityzm był w dobrym tonie; wszelki krytyczny osąd spraw dotyczących Żydów i Izraela łatwo podpadał pod zarzut antysemityzmu/antysyjonizmu. Utyskiwanie na polski antysemityzm szczególnie w latach 90. XX wieku było świadectwem elementarnego savoir-vivre'u, potwierdzało, że delikwent umie jeść nożem i widelcem, zatem znacznie zwiększało jego szansę wejścia na salony. Jeszcze dziś, w swoje 80. urodziny, Adam Michnik opowiada nam na stronie „Gazety Wyborczej", że antysemityzm to „jad, zaraza duszy polskiej", choć dręczą nas przecież na co dzień zupełnie inne demony. Ktoś mógłby przytomnie zwrócić uwagę, że – niezależnie od poglądów i opcji ideowo-politycznych – największą skazą naszego narodowego charakteru są: głęboko zaszczepiona przed kilkoma wiekami niesamodzielność, umiejętnie i cynicznie podsycane kompleksy (albo łechtanie naszej próżności) i bezkrytyczne zapatrzenie w obce dwory i kultury. Dodałby również, że największym wyzwaniem, przed jakim stoimy, jest odbudowa kulturowej samoświadomości: z jednej strony zdolnej jasno określać granice polskości, z drugiej – przyjmować życzliwie to, co nie prowadzi do jej destrukcji. Parafrazując apostoła narodów: wszystko badajcie, a trzymajcie się tego, co dla was naprawdę dobre. I bezwzględnie odrzucajcie to, co was umniejszy, okaleczy, unicestwi.

» Książka bezwzględna

Książka Piotra Nowaka jest więc książką bezwzględną. Nie antysemicką, nie filosemicką, lecz właśnie bezwzględną, bo odziera ze złudzeń. Sięga korzeniami głęboko w przeszłość, lecz skupia się przede wszystkim na historii relacji i antyrelacji polsko-żydowskich w XIX i XX wieku. I dla Polaków, i dla Żydów były to czasy przełomowe: pozbawiona własnej państwowości Rzeczpospolita stała się bytem podziemnym i nadziemnym, zaś lud Izraela najpierw doznał oświeceniowego wstrząsu, następnie omal nie został zgładzony przez niemiecki narodowy socjalizm, perwersyjny twór ustrojowej i technologicznej nowoczesności. W rosyjskim komunizmie wielu Żydów znalazło pobratymca. Pierwsza Rzeczpospolita dała potomkom Izaaka, Abrahama i Jakuba schronienie, ale stając się z czasem anarcholibertariańską dystopią – straciła instytucjonalny i geopolityczny instynkt samozachowawczy. A gdy upadła, Żydzi musieli zacząć targować się o swój los z urzędnikami z nadania Prus, rosyjskiego imperium i cesarskiego Wiednia.

Piotr Nowak pisze: „Naczelny rabin krakowski Mosze ben Israel Isserles powiedział nawet – były to czasy renesansu – że gdyby Bóg nie dał Żydom Polski jako domu, los Izraela stałby się nie do udźwignięcia. Z tego powodu Żydzi długo zachowywali lojalność wobec państwa polskiego, biorąc, gdy była taka potrzeba, udział w walce o jego zachowanie. Zmieniło się to po stracie przez Polskę niepodległości". Odtąd ziemie I Rzeczypospolitej, ze wszystkim, co zrodziły, z ciała i ducha, stały się cudzym zasobem. I skarbem do odzyskania. II Rzeczpospolita dała nam na chwilę zmartwychwstanie, a przed Żydami z całą ostrością stanęła kwestia własnej tożsamości i tego, co znaczy „własne miejsce na świecie" i prawdziwy język ludu Izraela. Po Holokauście Żydzi zyskali własne państwo, którego historia wciąż się pisze w krwawych sporach z Arabami, u jednych budząc niekłamany podziw, u drugich – rosnącą konsternację. Polska zaś na kilka pojałtańskich dekad stała się znów zakładniczką cudzych opowieści o Europie i świecie. Po 1989 roku zaczęła mówić głosem swoim-nieswoim, przez dekady w wielkich bólach budując muzeum własnych dziejów.

» Własne idee, namiętności, interesy

Jakiż to księżyc chcieli nam ukraść Żydzi? To najdrażliwsze pytanie erudycyjnej książki. Filozof przypomina Maxa Bodenheimera i jego koncepcję niemiecko-żydowskiego państwa, które miałoby się rozciągać na terytoriach I Rzeczypospolitej. Projekt powstał w początkach I wojny światowej, czyli mniej więcej w tym samym czasie, gdy popularność

FOT. MAT PRAS.

zyskała koncepcja Mitteleuropy, opracowana przez Friedricha Naumanna. Przypomina również historię litwaków, zrusyfikowanych Żydów, którzy na przełomie XIX i XX wieku zaczęli napływać do Królestwa Polskiego z zachodnich guberni Cesarstwa Rosyjskiego – dla nich polskość była bytem obcym i wrogim. Rzecz tyleż drobna, co wymowna: w napisanej w jidysz książeczce „Księga raju" Icyka Mangera, wydanej po raz pierwszy w 1939 roku, jest raj nawet dla gojów, lecz nie ma go dla... litwaków. Stąd konkluzja, która może gorszyć: odwołując się zarówno do historii polityki, jak i historii idei, Piotr Nowak pokazuje, że Żydzi mieli na terenach byłej Rzeczypospolitej własne koncepcje, namiętności, interesy. Mieli też własne konflikty i spory, które dzielili z Europą i światem; mieli własne drogi: bundowcy, komuniści i syjoniści, chasydzi i Żydzi, którzy wybrali asymilację i Haskalę. Polskość bywała dopełnieniem, ale była też przystankiem. A nawet przeszkodą na drodze do realizacji własnych celów.

To splątanie znakomicie oddaje historia przypomniana przez Yuriego Slezkine w książce „Dom władzy. Opowieść o rosyjskiej rewolucji": „Jeden z najstarszych bolszewików, Feliks Kon, wychował się w Warszawie, w żydowskiej rodzinie polskich nacjonalistów. W pamiętnikach pisał:»Patriotyzm był zamiennikiem religii. Z tej drugiej pozostały tylko formalności, rytuały«. Pewnego razu, w święto Paschy, gdy jego dziadek »siedział na honorowym miejscu i wznosił modły, jeden z wujów wrócił z długiego wygnania, na którym ukrywał się przed Moskalami«. »O modlitwie zapomniano« – pisał Kon. – »Wszyscy, od najmłodszych po mojego starego dziadka, słuchali jego opowieści w wielkim skupieniu. Wuj zwrócił się do dziadka: 'Zamiast ględzić o ucieczce Żydów z Egiptu, lepiej porozmawiajmy o męczeństwie Polski'. Dziadek ochoczo się zgodził«". Feliks Kon to rzecz jasna jeden z bohaterów „Na probostwie w Wyszkowie" Stefana Żeromskiego, jeden z tych, którzy mieli budować sowiecką republikę nad Wisłą, gdyby losy wojny polsko-bolszewickiej potoczyły się inaczej. Na marginesie: bardzo mnie rozbawiło, gdy niemal dekadę po książce „Żydokomuna" Pawła Śpiewaka, której szacowny autor starał się raczej zbagatelizować zjawisko, wydana została w Polsce rzecz wyrażająca zgoła odmienny pogląd, czyli „Pokolenie. Wzlot i upadek polskich Żydów komunistów" Jaffa Schatza. Praca marcowego emigranta ukazała się w naszym kraju nakładem Żydowskiego Instytutu Historycznego niemal trzydzieści lat po premierze na Zachodzie.

Dobrze znamy „Skrzypka na dachu", amerykański musical filmowy z 1971 roku w reżyserii Normana Jewisona. Rzecz powstała na podstawie opowiadań Szolema Alejchema o przygodach Tewjego Mleczarza. Dla Amerykanów to wzruszająca historia ubogiego Żyda gdzieś na peryferiach cywilizowanego świata – a właściwie poza nimi. Dla co przytomniejszych polskich odbiorców to historia Żyda z Rosji z początków XX wieku. Dla wtajemniczonych to cień sztetla, nader rzeczowo opisanego przez Yohanana Petrovsky'ego-Shterna w książce „Sztetl. Rozkwit i upadek żydowskich miasteczek na kresach wschodnich": „Wielu z nas z sympatią, współczuciem i żalem wspomina Anatewkę, jaką znamy z musicalu »Skrzypek na dachu«: nędzne żydowskie miasteczko z drewnianymi chatami krytymi próchniejącym gontem [...]. Prawdziwy sztetl miał jednak za sobą znacznie lepsze czasy. [...] Od lat dziewięćdziesiątych XVIII wieku do lat czterdziestych XIX stulecia sztetl był wschodnioeuropejskim miastem targowym w prywatnym posiadaniu polskiego magnata, zamieszkiwanym głównie, choć nie wyłącznie przez Żydów i podporządkowanym rosyjskiej biurokracji. Wspomniane złote lata stwarzały dla władz Imperium Rosyjskiego doskonałą okazję do zintegrowania Żydów z ogółem mieszkańców kraju, dla Żydów zaś – szansę adaptacji w Rosji. Te możliwości Rosjanie całkowicie zaprzepaścili, kierując się nacjonalistyczną i szowinistyczną ideologią państwową". Widzimy trzy duchowe i ziemskie żywioły, z których polski chyba w największym stopniu przegrał walkę o historyczną pamięć. A przegrać ją musiał – w newralgicznych momentach

dziejowych tracąc suwerenność i państwowość. To gorzka lekcja – nie dość jest romantycznej tradycji walki o wolność waszą i naszą, literackich Nobli i rozbrzmiewających po świecie mazurków Chopina, jeśli za biurkami urzędów w polskich miastach zabraknie urzędników realizujących interesy Rzeczypospolitej. Nie dość szlachetnych uczuć, jeśli wola polityczna obcych potęg skaże naszą perspektywę na nieważność.

» Zawężenie perspektywy

W polskiej zbiorowej pamięci dotyczącej tych kwestii nie ma zresztą znacznie ważniejszych książek, na czele z „Widziałem anioła śmierci. Losy deportowanych Żydów polskich w ZSRR w latach II wojny światowej". To relacje ocalonych nazywane „protokołami palestyńskimi", spisane i zebrane przez Centrum Informacji Rządu Polskiego na Wychodźstwie na Bliskim Wschodzie w latach 1942–1944 i zdeponowane w Instytucie Hoovera przy Uniwersytecie Stanforda w Kalifornii. W czasach studenckich czytałem ten porażający zbiór dokumentów i opowieści świadków sowieckiego terroru wraz z powieścią „Park niepotrzebnych Żydów" Grigorija Kanowicza i „Czerwoną księgą. Stalin i Żydzi" Arno Lustigera oraz książką „Wilno Jerozolimą było" Daniela Kaca. Zdumiewałem się wówczas, jak okrojona jak nasza debata o losach Polaków, Żydów i innych narodów Europy Środkowo-Wschodniej, jak bardzo przykrawana jest do potrzeb najbardziej wpływowych antagonistów trzęsących mainstreamową debatą. Dzięki lekturze książki Piotra Nowaka łatwiej zrozumieć, dlaczego polsko-żydowskie relacje w III RP zostały sprowadzone do wątków dotyczących Zagłady, zaś środek ciężkości tej debaty nieustannie oscyluje wokół „polskiej współodpowiedzialności" za Szoah. A przecież perspektywa jest znacznie szersza! Czy o sztetlu zapomniano tylko dlatego, że zaprzeszły? Przecież wciąż pamiętamy o szlacheckich dworkach i pałacach magnatów. Dlaczego litwaków nie znosili warszawscy Żydzi? Ci ostatni nie byli wszak antysemitami. Dlaczego zapomniano o ponurych losach polskich Żydów w Sowietach? Czy to także sprawa zaprzeszła? Przecież spór o Żydów i Żydówki w stalinowskim aparacie bezpieczeństwa powojennej Polski toczą dzisiaj ludzie, którzy ledwo pamiętają PRL.

Pytanie postawione przez filozofa w tytule książki nie gorszy ani nie dziwi, jeśli spór o idee, konflikt o historię idei potraktujemy ze śmiertelną powagą. A tak należy je traktować – wbrew szalenie modnym w ostatnich dekadach paradygmatom historiozoficznego chciejstwa i hurraoptymizmu. Elity III RP przez dekady zachowywały się tak, jakby wszelkie spory o narodową tożsamość toczyły się trochę na niby, więcej – jakby były czymś wstydliwym, czego nie robi się w dobrym towarzystwie. W tym kontekście polemika z Żydami wydawała się salonom jeszcze bardziej nie na miejscu. A to rzutowało na opinie mniej lub bardziej oczytanych w codziennej prasie. W moich licealnych czasach (1992–1996) w dobrym tonie było zachwycać się komiksem „Maus" Arta Spiegelmana. Dobrze widziane było bagatelizowanie polskiego poczucia niesprawiedliwości tym komiksem. Trudno mi się dziwić po latach, że Piotr Nowak ostrzega przed sentymentalnym czy wręcz frajerskim podejściem do relacji polsko-żydowskich. A równocześnie jest dociekliwym, empatycznym badaczem żydowskiej religijności i filozofii. Nieufny wobec tradycji oświecenia, niechętny Żydom – współtwórcom komunizmu – przejmująco pisze o religijnych tradycjach ludu Izraela, na czele z chasydyzmem: „Requiem nad światem Żydów wschodnich to żałoba po stracie prawdziwie ludzkich wartości: Boga, tradycji, pamięci o zmarłych, po nieuszkodzonej przez agresywny ateizm i bezrefleksyjną nudą żarliwej religijności".

I dla Polaków, i dla Żydów rozległe połaci I Rzeczypospolitej stały się ziemią odebraną. To naznaczyło losy obu narodów, choć dla nas było szczególną klęską. Zakorzenieni przez wieki w tej samej ziemi, wrośliśmy również we wzajemne stereotypy. Piotr Nowak wziął się za ich rozdrapywanie, by nie zarosły błoną niepamięci i ignorancji. ■



Łupy Stalina pod chińską opieką

Hanna Shen



Pekin, który w Europie lubi uchodzić za bezstronnego rozjemcę, coraz otwarcie broni rosyjskich zdobyczy sprzed ponad 80 lat. Czyni to słowami, które w polskich uszach brzmią aż nazbyt znajomo.

ILUSTRACJA: MARIUSZ TROLIŃSKI/AI

W połowie października na wyspę Etorofu, największą z Kuryli Południowych, przybyła delegacja z chińskiej prowincji Heilongjiang. Urzędnicy i przedsiębiorcy obejrzeli przetwórnię owoców morza i wypytywali, czy udałoby się tu ściągnąć turystów. Najbardziej zajmowała ich jednak hodowla strzykw, zwanych ogórkami morskimi, oraz jeżowców. Jedne i drugie uchodzą w Chinach za drogi przysmak i lekarstwo. O wizycie poinformowały 13 października władze obwodu sachalińskiego, któremu Moskwa podporządkowała wyspę. Byłaby to zwyczajna wymiana między zaprzyjaźnionymi regionami, gdyby nie drobiazg: Etorofu nie należy do Rosji. Japonia uważa ją, wraz z Kunashiri, Shikotanem i wysepkami Habomai, za swoje Terytoria Północne, bezprawnie zajęte przez Armię Czerwoną w 1945 roku.

Minister spraw zagranicznych Toshimitsu Motegi oświadczył w parlamencie, że Japonia złożyła protest zarówno w Moskwie, jak i w Pekinie, bo „zupełnie niedopuszczalne" jest, by urzędnicy czy przedsiębiorcy z państw trzecich działali na wyspach tak, jakby były to terytoria rosyjskie. Ciekawsza okazała się odpowiedź Pekinu. Rzeczniczka chińskiego MSZ Mao Ning zrazu udawała, że nie do końca rozumie pytanie. Delegacja miała jakoby odwiedzić jedynie Jużnosachalińsk, stolicę obwodu sachalińskiego, z którym Heilongjiang od lat utrzymuje partnerskie stosunki, a o interesach prywatnych firm rzeczniczka nie zamierzała się wypowiadać. Kiedy japoński dziennikarz dopytał o protest w Tokio, padło jednak zdanie, które nadało tej historii zupełnie inną wagę. Chiny, oznajmiła, niezmiennie stoją na stanowisku, że „wyniki zwycięstwa w światowej wojnie antyfaszystowskiej" należy szanować i ich bronić.

De facto oznacza to tyle, że co Stalin zagarnął w 1945 roku, ma pozostać w rękach Moskwy.

» Prezent z Jałty

Nie chodzi przy tym o wybielanie cesarskiej Japonii. Jej żołnierze wymordowali setki tysięcy ludzi w Nankinie, lekarze z Jednostki 731 przeprowadzali zbrodnicze eksperymenty na jeńcach, a dziesiątki tysięcy kobiet z Korei, Chin i innych podbitych krajów zmuszono do prostytucji w wojskowych domach publicznych. Z zatoki Hitokappu na Etorofu wypłynęła w listopadzie 1941 roku flota, która zaatakowała Pearl Harbor. Klęska Japonii była zasłużona. Z tego, że agresor przegrał, nie wynika jednak, że Stalin mógł zagarnąć wyspy, które Rosja w traktacie z Shimody z 1855 roku sama uznała za japońskie.

Przypomnijmy w skrócie, jak Związek Sowiecki wszedł w posiadanie tych wysp. W lutym 1945 roku w Jałcie Roosevelt i Churchill obiecali Stalinowi w tajnym porozumieniu Kuryle i południowy Sachalin w zamian za przystąpienie do wojny z Japonią. Polskiemu czytelnikowi nie trzeba tłumaczyć, o czym jeszcze rozstrzygnięto wtedy na Krymie bez udziału zainteresowanych. Stalin wywiązał się z umowy po swojemu. Wypowiedział Japonii wojnę 8 sierpnia, dwa dni po zrzuceniu bomby na Hiroszimę, a desant na Kuryle rozpoczął 18 sierpnia, gdy cesarz Hirohito ogłosił już kapitulację. Wyspy Habomai Sowieci zajęli dopiero na początku września, kiedy akt kapitulacji Japonii był już podpisany na pokładzie pancernika „Missouri". Około 17 tys. japońskich mieszkańców wysiedlono.

Traktatu pokojowego Tokio i Moskwa nie zawarły do dziś. W 1956 roku Związek Sowiecki obiecał oddać Shikotan i Habomai po jego podpisaniu, wkrótce jednak zaczął się z tej obietnicy wykręcać. Rosja Putina poszła dalej. W 2020 roku wpisała do konstytucji zakaz oddawania jakiejkolwiek części swojego terytorium, a na wyspach rozmieściła nowoczesne uzbrojenie, w tym myśliwce Su-35. 13 sierpnia tego roku Putin po raz pierwszy przyjechał na Etorofu. Obejrzał krążownik rakietowy „Wariag", okręt flagowy Floty Pacyfiku. Dzień wcześniej w Južnosachalińsku zarzucił Japonii, że nakłada na Rosję jednostronne sankcje, nie rozumiejąc przyczyn wojny na Ukrainie.

Tego samego dnia w Tokio stało się coś, co mało kto zauważył. Ambasadorowie Chin i Rosji w Japonii, Wu Jianghao i Nikołaj Nozdriew, wydali wspólne oświadczenie, w którym przypomnieli, że ich narody „poniosły ogromne ofiary w walce z nazizmem i japońskim militaryzmem". Wspólny występ ambasadorów w stolicy sojusznika Ameryki mówi Zachodowi, że w Azji, jak w Europie, ma przed sobą zgrany duet, a nie dwa osobne problemy.

» Pamięć na bieżący użytek

Moskwa i Pekin od kilku lat opowiadają o wojnie niemal jednym głosem. W maju 2025 roku Xi Jinping stał u boku Putina na moskiewskiej defiladzie w 80. rocznicę zwycięstwa, a we wrześniu Putin razem z Kim Dzong Unem przyglądał się chińskiej defiladzie na Placu Tiananmen. W grudniu szefowie dyplomacji Wang Yi i Siergiej Ławrow przyrzekli „stanowczo bronić wyników zwycięstwa w II wojnie światowej" i zwalczać „próby odrodzenia japońskiego militaryzmu".

W lipcu chińskie i rosyjskie okręty opłynęły razem Japonię, po raz pierwszy wspólnie przechodząc przez Cieśninę Friesa między Etorofu a Urupem.

W tej opowieści wojna nie jest zamkniętym rozdziałem dziejów, lecz wiecznie ważnym tytułem własności. Zwycięzcy, czy raczej ci, którzy sami ogłosili się zwycięzcami, mogą rozporządzać ziemią pokonanych,

a kto to kwestionuje, ten sprzyja faszyzmowi. Miano faszysty łatwo przypiąć każdemu: Ukraińcom broniącym swojego kraju, Japończykom upominającym się o swoje wyspy, a także Tajwańczykom.

» Tajwan jako zdobycz wojenna

Na wyniki wojny Pekin powołuje się bowiem nie tylko w sprawie Kuryli. Najważniejszy jest dla niego Tajwan. Chińska propaganda dowodzi, że wyspa „wróciła do Chin" w 1945 roku na mocy deklaracji kairskiej z 1943 roku i poczdamskiej z 1945 roku, a zatem każdy, kto podważa chińskie prawo do niej, podważa cały powojenny ład. Rok temu Stały Komitet Ogólnochińskiego Zgromadzenia Przedstawicieli Ludowych ustanowił nawet 25 października Dniem Upamiętnienia Odzyskania Tajwanu.

Ta narracja wali się jednak przy zetknięciu z faktami. Deklaracja kairska była komunikatem prasowym, pod którym nikt się nie podpisał. Japonia formalnie zrzekła się Tajwanu dopiero w traktacie pokojowym z San Francisco z 1951 roku, ale nie wskazano w nim, komu wyspa ma przypaść. Wreszcie z Japończykami walczyła Republika Chińska, na której czele stał Kuomintang. Komunistyczna Chińska Republika Ludowa powstała w 1949 roku, cztery lata po wojnie, i nigdy nie rządziła Tajwanem.

Dlatego Pekin tak nerwowo reaguje, gdy rządząca na Tajwanie Demokratyczna Partia Postępowa przypomina, że ciężar walki z Japonią dźwigała właśnie Republika Chińska, a nie komuniści Mao. To uderza w sedno chińskiej propagandy. Pod koniec września rzeczniczka chińskiego Biura do spraw Tajwanu Zhang Han oskarżyła tę partię o „zdradę historii" i „bezczeszczenie pamięci męczenników", a 14 października Biuro znów zarzuciło władzom w Tajpej przeinaczanie historii wojny. Tajwańczycy mają zapomnieć, że ich państwo stało po stronie aliantów, i pamiętać jedynie, że wojna „zwróciła" ich Chinom.

Po ten sam oręż Pekin sięga w sporze z Japonią. Niedawno Chiny przypomniały Tokio o tzw. klauzuli państw nieprzyjacielskich z Karty Narodów Zjednoczonych, od dziesięcioleci martwym zapisie, który pozwalał zwycięzcom występować zbrojnie przeciw dawnym państwom Osi. Japonia pamięta o swojej okrutnej przeszłości, a jej premierzy wielokrotnie za nią przepraszali. Dzisiejsza Japonia, od 80 lat pokojowa demokracja i sojusznik Stanów Zjednoczonych, jest innym państwem niż cesarstwo, które napadało na sąsiadów. Pekin i Moskwa chcą jednak trzymać ją wiecznie na ławie oskarżonych, a same zasiadać za stołem sędziowskim.

» Polska w tej samej logice

Dla Polski nie jest to spór o odległe wyspy na Pacyfiku. Ta sama logika, którą Pekin osłania rosyjskie panowanie na Kurylach, służy Kremlowi do opowiadania o naszych dziejach. W rosyjskiej wersji 17 września 1939 roku był „wyzwoleniem" zachodniej Białorusi i zachodniej Ukrainy, a rok 1945 wyzwoleniem całej Polski, za które powinniśmy być dozgonnie wdzięczni. W lipcu 2023 roku Putin powiedział na posiedzeniu Rady Bezpieczeństwa, że zachodnie ziemie Polski są „darem od Stalina", i dodał, że jeśli Polacy o tym zapomną, Rosja im przypomni. Żadnego daru nie było. Za ziemie zachodnie Polska zapłaciła utratą niemal połowy przedwojennego terytorium na wschodzie, a granicę na Odrze i Nysie ostatecznie potwierdził traktat polsko-niemiecki z 1990 roku.

Nie był to pojedynczy wybryk. Pod koniec 2019 roku, w przededniu obchodów 75. rocznicy zwycięstwa, Putin tydzień po tygodniu wmawiał światu, że to Polska współodpowiada

za jej rozpętanie, bo przed 1939 rokiem układała się z Hitlerem. Przedwojennego ambasadora w Berlinie, Józefa Lipskiego, nazwał „łajdakiem" i „antysemicką świnią". O pakcie Hitlera ze Stalinem, wspólnej defiladzie wojsk niemieckich i sowieckich w Brześciu i Katyniu – milczał.

Ład jałtański, który Moskwa i Pekin każą dziś czcić jako „wyniki zwycięstwa", oznaczał dla nas utratę Kresów, sowieckie wojska nad Wisłą na pół wieku i narzucony komunizm. Polska nie zamierza przesuwać granic i nikt rozsądny tego nie proponuje. Tyle że Kremlowi w „wynikach zwycięstwa" chodzi o coś więcej niż linie na mapie: o przekonanie, że zwycięzca może decydować o losie sąsiadów i dzielić świat na strefy wpływów. Tą logiką Rosja uzasadnia napaść na Ukrainę „walką z nazizmem", a naszą obecność w NATO przedstawia jako zamach na powojenny porządek. Jeśli Zachód uzna łupy Stalina w Azji za nietykalne, Moskwa upomni się o resztę jego spuścizny, także u nas.

Chiny nie stoją z boku. W kwietniu 2023 roku ówczesny chiński ambasador we Francji, Lu Shaye, stwierdził w telewizji, że państwa powstałe po rozpadzie Związku Sowieckiego nie mają „rzeczywistego statusu w prawie międzynarodowym". Pekin zapewniał potem, że szanuje ich suwerenność, ale słowo się rzekło.

» Rachunek przewodniczącego Mao

Obłudę Pekinu najlepiej obnaża sam Mao Zedong, człowiek z dziesiątkami milionów ofiar na sumieniu, któremu na losie Polaków czy Japończyków nie zależało. W lipcu 1964 roku, skłócony z Moskwą, mówił japońskim socjalistom, że Związek Sowiecki zagarnął za dużo cudzej ziemi: odciął część Polski, w zamian dał jej część Niemiec, a Kuryle powinien zwrócić Japonii. Dodał, że ziemie na wschód od Bajkału, a więc i Władywostok, są rosyjskie dopiero od 100 lat, a Chiny „nie przedstawiły jeszcze za to rachunku". Mówił tak z czystego wyrachowania, podobnie jak w 1936 roku, gdy zapewniał amerykańskiego dziennikarza Edgara Snowa, że komuniści poprą walkę Korei o niepodległość, i dodawał, że to samo dotyczy Tajwanu.

Dzisiejsze Chiny wolą o tym nie pamiętać. Dopóki Rosja daje im tanią ropę i wspiera je w rywalizacji z Ameryką, nie upomną się ani o Władywostok, ani o sprawiedliwość dla Japonii. „Wyniki wojny" są dla Pekinu wytrychem, nie zasadą.

» Czyje to zwycięstwo

W Warszawie chińscy dyplomaci przedstawiają swój kraj jako przyjaciela Polski, partnera handlowego i neutralnego obserwatora wojny na Ukrainie. Warto jednak słuchać, co ci sami dyplomaci mówią w Tokio, w Moskwie i w sprawie Tajwanu. Gdy Pekin wzywa do poszanowania „wyników zwycięstwa w światowej wojnie antyfaszystowskiej", nie ma na myśli pokonania Hitlera ani klęski japońskiego militaryzmu, których nikt rozsądny nie kwestionuje. Chodzi mu o łupy, które Stalin przy tej okazji zgarnął, i o prawo silniejszego do decydowania o losie słabszych.

Polacy znają ten porządek z autopsji. Dla nas „wyniki zwycięstwa" to Jałta, Katyń przemilczany przez pół wieku i zniewolenie, z którego wyrwaliśmy się dopiero w 1989 roku. Dlatego chińska wyprawa po jeżowce na Etorofu nie powinna nas bawić jak egzotyczna ciekawostka. Pekin, który w Europie udaje bezstronnego, staje w tej sprawie murem za Moskwą i jej prawem do stalinowskich zdobyczy. Tą samą formułą, którą dziś osłania rosyjskie panowanie na japońskich wyspach, jutro będzie uzasadniał zajęcie Tajwanu. Gdy chiński dyplomata mówi o „wynikach zwycięstwa", ma na myśli zwycięstwo Stalina. ■



Marcin Wolski

Rok niespokojnego świata

Pęka olbrzymi wrzód, który narastał w świecie Zachodu od lat. Płoną kraje, dotąd w naszym niespokojnym świecie uchodzące za enklawy spokoju, stabilizacji i dobrobytu. Francja, Hiszpania, Wielka Brytania. Niepokoje lada moment ogarną Niemcy.

Najbardziej zdumiewa, że widoczne efekty – spalone samochody, wybite szyby w sklepach i władza, którą stać jedynie na zamykanie muzeów i uziemianie metra albo, jak w Wielkiej Brytanii, atakowanie własnych obywateli, u których odradza się instynkt samozachowawczy – są wynikiem wielu tendencji i słabości współczesnego państwa. Drzewo jest tak pochyłe, że nie tylko każdy drapieżnik, lecz nawet żółw może się na nie wdrapać. Wrogiem dzisiejszej władzy okazuje się wszelkiej maści lewizna, która po chudych latach zwietrzyła dla siebie szanse, kompletnie nie zdając sobie sprawy, że ewentualne zwycięstwo będzie pyrrusowe, bo utoruje drogę tym, których powinna bać się najbardziej, czyli obcym. A ci atakują jeszcze bardziej ochoczo, jak piranie, które zwietrzyły krew, albowiem każda porażka starej, wykorzenionej Europy przybliża ich do ogólnoeuropejskiego kalifatu. Naprzeciw nich udają, że stoją, władze państwowe, kompletnie bezradne i rozbrojone. Na własne życzenie przegrały tę batalię, nim ją jeszcze zaczęły.

Bo jak walczyć z problemem, którego nie wolno, ze względu na poprawność polityczną, nazwać? Bo jak określać atakującego wroga, nie narażając się na zarzut rasizmu, ksenofobii czy faszyzmu? W dodatku nic nie wskazuje na to, by problemy rozeszły się po kościach same, a nachodźcy rozpuścili się w bezobjawowym społeczeństwie europejskim. Fakty są takie, że nowi przybysze (tak chętnie jeszcze niedawno zapraszani przez panią Merkel) zamiast się europeizować i ateizować, radykalizują tych z dawna zasiedziałych.

Czy w związku z tym już nic nie da się zrobić? Po pierwsze, trzeba chcieć! Po drugie, uświadomić sobie, że kontrrewolucje należy zacząć od języka. Nie można bać się, że ktoś obrazi się za nazwanie go na przykład Chińczykiem zamiast „skośnookim obywatelem żółtawego ubarwienia", albo wymuszać na zgwałconych obywatelkach zeznania, w którym nie padnie narodowość przestępcy. Europejczycy aby odzyskać Europę, muszą przywrócić swoją dumę i przestać przepraszać. Gdyby Tamerlan podbił nasz kontynent, nikt z jego potomków nie wspomniałby o przepraszaniu. Współcześni ludzie nie powinni przepraszać za niewolnictwo i feudalizm, tym bardziej że to oni, a nie Marsjanie zlikwidowali te dawne reżimy. Prawa mniejszości, tolerancja innowierców i wyzwolenie kobiet – to dzieło tej właśnie cywilizacji, a nie Majów czy Papuasów. Bez prawa rzymskiego i kultu Matki Boskiej kobiety dalej chodziłyby w strojach burkopodobnych. Bez tonizującej roli religii chrześcijańskiej mniejszości seksualne byłyby eliminowane jak nie nożem, to kamienowaniem. Bez katolickich misjonarzy kapłani meksykańskich bożków nadal hurtowo wyrywaliby serca.

To prawda, że homo sapiens wykończył neandertalczyków, ale można wyobrazić sobie sytuację odwrotną i dziś wszyscy byliby neandertalczykami (niektórzy nawet na takich wyglądaj). Walka o byt stanowi normalną regułę gry i naturalną selekcję słabszych, zanim pojawiła się możliwość nakarmienia wszystkich. Jakkolwiek by patrzeć, jesteśmy ciągle mięsożerną małpą, której, poza osłabieniem zdolności intelektualnych, nic nie da udawanie wegańskiego króliczka. ■



Antoni Rybczyński

Generał mróz atakuje z powietrza

„Rosja planuje zamrozić Kijów, cofnąć go do epoki kamienia łupanego”.
Zachodni dyplomata dla „The Guardian”

Na początku września Władimir Putin oznajmił dziennikarzom: „Nie mam wątpliwości, że wróg się załamie”. Z pewnością nie miał na myśli sytuacji na froncie, gdzie rosyjska armia utknęła w Donbasie. Dyktator wierzy, że czas działa na jego korzyść, z innego powodu. Jest przekonany, że dzięki totalnej kampanii ataków powietrznych na Ukrainę – z naciskiem na jej gospodarkę i infrastrukturę – tej zimy pęknie morale ukraińskiego społeczeństwa.

Wołodymyr Zełenski, powołując się na dokumenty wywiadowcze, oświadczył na początku października, że Putin zezwolił wojsku na działanie „bez zasad", zatwierdzając nową, rozszerzoną taktykę nalotów na obiekty cywilne na Ukrainie. Celem kampanii jest uczynienie z miast przestrzeni niezdatnych do życia i zmuszenie ludzi do ich opuszczenia. Niektórych rosyjskich uderzeń nie da się wyjaśnić inaczej niż terroryzowaniem ludności: są to celowe ataki na obiekty cywilne. Rosyjskie pociski balistyczne i naddźwiękowe uderzają obecnie w ukraińskie miasta niemal bez ograniczeń. Liczba ofiar cywilnych jest wyższa niż kiedykolwiek od pierwszych pięciu tygodni wojny. Rosja utrzymuje wysokie tempo ataków przy użyciu dronów, w tym o napędzie odrzutowym, co widać w raportach odnotowujących masowe naloty (na przykład ponad 100 dronów w jednej dobie w połowie września). Celem jest niszczenie infrastruktury krytycznej oraz utrzymywanie presji na obronę przeciwlotniczą. W ostatnich miesiącach ukraińskie zapasy pocisków przechwytujących systemu obrony powietrznej Patriot niemal się wyczerpały, pozostawiając kraj niemal bez obrony przed pociskami balistycznymi. Moskwa stara się wykorzystać ten niedobór, zwiększając krajową produkcję pocisków balistycznych i bombardując rekordową liczbą rakiet i dronów. Rosja doskonale zdaje sobie sprawę ze słabości Ukrainy i postrzega nadchodzącą zimę jako potencjalnie decydujący etap w swoich wysiłkach zmierzających do złamania ukraińskiego oporu.

» Plan zniszczenia Ukrainy

Ukraiński wywiad zdobył kopię szczegółowego rosyjskiego dokumentu, który przedstawia plan kampanii mającej na celu wywarcie ogromnej presji na ludność cywilną Ukrainy poprzez ataki zmierzające do drastycznego ograniczenia dostaw energii elektrycznej, ciepła i wody. Wcześniej o takim dokumencie wspomniał europejskim urzędnikom ukraiński minister energii Denys Szmyhal podczas spotkania w Paryżu 17 września. Dokument nosi tytuł „Raport analityczny: Analiza sektora energetycznego i użyteczności publicznej Ukrainy" i jest datowany na sierpień 2026 roku. Wskazane są w nim cztery „priorytetowe cele" rosyjskiej kampanii: wytwarzanie i dostawy energii elektrycznej, zaopatrzenie w wodę, systemy kanalizacyjne oraz ogrzewanie. Dokument zawiera analizę ukraińskiej infrastruktury energetycznej oraz szczegółowe obliczenia dotyczące liczby pocisków, dronów i bomb, których Rosja potrzebowałaby, aby ograniczyć dostawy energii elektrycznej w Kijowie, Charkowie i Odessie nawet o 90 proc. oraz drastycznie ograniczyć tam dostawy ciepła i wody. Inne „miasta priorytetowe" to: Dniepr, Zaporoże, Mikołajów, Chersoń, Połtawa, Czernihów, Krzywy Róg, Czerkasy, Kropywnycki, Lwów, Winnica i Iwano-Frankiwsk.

Plan Moskwy, zgodnie z dokumentem, rzekomo składa się z trzech etapów. W pierwszym – będą atakowane podstacje w pobliżu zachodniej granicy Ukrainy, przez które kraj importuje energię elektryczną z Europy. Następnie – elektrownie wodne. Trzecim etapem mają być ataki, które zmuszą trzy działające ukraińskie elektrownie jądrowe do zaprzestania pracy. W sumie w dokumencie podano liczbę 60 kluczowych celów. Jednym z nich byłoby też unieruchomienie podstacji, linii przesyłowych i połączeń międzysystemowych w pobliżu zachodniej granicy, przez które importowana jest energia elektryczna z Europy i dystrybuowana w głąb Ukrainy. Autorzy

FOT. WIKIMEDIA CREATIVE COMMONS CC0 1.0

dokumentu wyliczają też dokładnie, ile potrzeba określonych środków broni, aby zniszczyć określone cele. I tak do zniszczenia jednej instalacji wysokiego napięcia, która przesyła energię elektryczną z elektrowni jądrowej, potrzebne byłyby dwa pociski balistyczne typu Iskander, zaś na przykład do zniszczenia/unieruchomienia elektrowni wodnej – 25 dronów różnych typów lub trzy pociski Kindżał. Z kolei do wyeliminowania elektrowni cieplnej konieczne jest 25 bomb lotniczych FAB-500 lub pięć pocisków Iskander.

W sumie, według dokumentu, do przeprowadzenia ataków Rosja rzekomo planuje wykorzystać prawie 700 dronów, w tym odrzutowe, 170 bomb lotniczych typu FAB, a także pociski manewrujące i balistyczne.

Oczywiście nawet ostatnie tygodnie pokazują, że zdecydowanie celem numer jeden są Kijów i cała kijowska aglomeracja. Na początku tego roku stolica funkcjonowała przez wiele godzin, a nawet dni bez alarmów powietrznych. W okresie od 22 do 29 września w stolicy odnotowywano średnio osiem alarmów dziennie, trwających łącznie średnio siedem godzin. 30 września mieszkańcy Kijowa spędzili rekordową łączną liczbę 20 godzin w stanie alarmu powietrznego. 14 października znaczna część Kijowa pogrążyła się w ciemnościach, gdy Moskwa po raz drugi z rzędu wystrzeliła rakiety i drony w kierunku stolicy Ukrainy. Pod koniec września armia rosyjska rozpoczęła serię ataków na mosty samochodowe w Kijowie. Ich całkowite zniszczenie jest dość trudne, ale regularne ataki mogą uszkodzić ich konstrukcje nośne na tyle, że jazda po nich stanie się niebezpieczna, a lokalne władze będą zmuszone zamknąć je dla ruchu. To z kolei może zakłócić życie miasta i transport. Podobnie jak w wielu aglomeracjach, które szybko się rozrastały w czasach sowieckich, znaczna część infrastruktury grzewczej Kijowa jest scentralizowana w ogromnych elektrociepłowniach, które ogrzewają tysiące domów. Władze starają się jak najszybciej zdecentralizować ten system, budując mniejsze kotłownie, ale eksperci twierdzą, że prace te są opóźnione. „Jeśli wróg zniszczy trzy duże miejskie elektrociepłownie, to około 1,5 mln mieszkańców może zostać bez ogrzewania" – powiedział Wołodymyr Omelczenko, dyrektor programów energetycznych w Centrum Razumkowa, kijowskim think tanku. Mieszkańcy stolicy przygotowują się na to, co według wielu może być najgorszą zimą od początku pełnoskalowej inwazji. Niektórzy gromadzą zapasy drewna opałowego i świec. Inni kupują domy na wsi, by uciec z bombardowanego miasta. W budynkach trwają intensywne prace nad instalacją dodatkowych źródeł zasilania.

» Powietrzna wojna totalna

Rosja stara się wykorzystać zimno i ciemność jako broń od pierwszego roku inwazji: ataki na infrastrukturę energetyczną rozpoczęły się już w pierwszych tygodniach pełnoskalowej wojny. Jesienią 2022 roku stało się to skoordynowaną kampanią, a w listopadzie tego samego roku doszło do pierwszej dużej przerwy w dostawie prądu na Ukrainie. Każda jesień przynosiła nasilenie ataków. Podobnie jest teraz – ale na dużo większą skalę. Ta zima będzie szczególnie groźna nie tylko z powodu skali ataków rosyjskich, lecz także poważnego osłabienia infrastruktury energetycznej po kilku latach wojny. Z każdym rokiem odporność ukraińskiego sektora energetycznego maleje. Ukraina straciła elektrownię jądrową w Zaporożu i elektrownię wodną w Kachowce; doszło do ogromnej liczby ataków rakietowych i dronowych na elektrownie cieplne, podstacje i sieci energetyczne. Zniszczono co najmniej połowę infrastruktury.

Konsekwencje słabej obrony powietrznej Ukrainy wykraczają jednak daleko poza sektor energetyczny, ponieważ siły rosyjskie coraz częściej atakują sieci logistyczne i gospodarcze. Główna trasa ukraińskiego eksportu zboża przez porty nad Morzem Czarnym jest zamknięta od połowy lipca z powodu ataków na statki i infrastrukturę portową. Rosjanie uderzają w cały łańcuch transportowy. Od kilku tygodni krążą zdjęcia i filmy przedstawiające puste półki w supermarketach w różnych miejscach, co budzi wśród Ukraińców obawy przed niedoborami w nadchodzących miesiącach. Taka sytuacja nie miała miejsca od początku inwazji. W związku z samą tylko blokadą ukraińskich portów morskich, która ogranicza eksport zboża, PKB Ukrainy skurczy się w tym roku o 1,5 proc. W ciągu ostatnich sześciu miesięcy rosyjskie ataki uszkodziły lub zniszczyły ponad 300 ukraińskich stacji benzynowych. Uderzono w dziesiątki magazynów, w tym zaopatrujących sklepy spożywcze, oraz w wiele centrów handlowych. Z kolei celowe ataki na centra danych i obiekty telekomunikacyjne powodują zakłócenia w transmisji danych komórkowych oraz problemy z systemami płatniczymi.

Nasiliły się również ataki na infrastrukturę kolejową, zakłócając funkcjonowanie jednego z ostatnich niezawodnych środków transportu umożliwiających cywilom przemieszczanie się po kraju. Tylko od początku 2026 roku rosyjskie siły przeprowadziły setki ataków na ukraińską sieć kolejową, uderzając w stacje, lokomotywy, składy oraz inną infrastrukturę. Ataki obejmują również trasy wykorzystywane przez zagranicznych liderów odwiedzających Ukrainę. Ma to na celu pokazanie zachodnim sojusznikom Kijowa, że żadna linia kolejowa w kraju nie jest bezpieczna i że Rosja jest w stanie dotrzeć w każde miejsce. Tak było 13 września z atakiem drona na pociąg w pobliżu polskiej granicy. Zresztą widać, że częścią strategii Rosjan, łączącą niszczenie celów ukraińskich z wywieraniem presji na Zachód, jest intensyfikacja uderzeń tuż przy granicach czy wręcz na granicach Ukrainy z przyjaznymi jej sąsiadami.

» Problem z Patriotami i drony odrzutowe

Zdolność Ukrainy do przetrwania zimy zależy od jej obrony powietrznej. Kijów boryka się z niedoborem zarówno amunicji, jak i systemów zdolnych do ochrony miast. Jedyną skuteczną bronią przeciwko pociskom balistycznym jest Patriot. Wołodymyr Zełenski stwierdził, że Ukraina potrzebuje około 300 pocisków przechwytujących PAC-3, aby przetrwać zimę. Jednak zapasy są już prawie wyczerpane. Stany Zjednoczone, po wykorzystaniu znacznej części swoich rezerw w konflikcie z Iranem, racjonują dostawy, podobnie jak kraje europejskie. Dostawy nowych w ramach inicjatywy PURL (Prioritized Ukraine Requirements List), finansowanej przez państwa europejskie, stały się nieregularne już w maju – przyznali ukraińscy urzędnicy w rozmowie z dziennikiem „The Washington Post". Od początku rosyjskiej inwazji na pełną skalę administracja USA przekazała Ukrainie setki pocisków do systemów Patriot. W pierwszym miesiącu wojny przeciwko Iranowi, rozpoczętej na przełomie lutego i marca 2026 roku, Stany Zjednoczone wykorzystały ponad tysiąc takich pocisków. Po doniesieniach o niedoborach amunicji administracja prezydenta USA uznała produkcję pocisków do systemów Patriot za priorytet. Ich wytworzenie może jednak trwać do 36 miesięcy.

Tymczasem Rosja uzupełnia zapasy rakiet i dronów szybciej, niż Ukraina jest w stanie uzupełnić zapasy pocisków przechwytujących. Według ukraińskiego wywiadu wojskowego (HUR) na początku sierpnia Rosja

dysponowała około 130 pociskami balistycznymi dla systemów Iskander-M. Jednak tylko w lipcu rosyjski przemysł obronny wyprodukował 65 kolejnych takich pocisków, przekraczając planowany miesięczny cel wynoszący 60 sztuk. Rosja jest obecnie w stanie produkować ponad 200 pocisków manewrujących i balistycznych miesięcznie we wszystkich głównych systemach dalekiego zasięgu. Rosja planuje też zwiększyć produkcję dronów typu Geran o prawie 80 proc., co pozwoli na dostarczanie na front i wykorzystywanie do regularnych ataków na infrastrukturę krytyczną i cywilną Ukrainy nawet 28 tys. dronów rocznie.

Drony z napędem odrzutowym stanowią zagrożenie bardziej zbliżone do pocisków manewrujących niż tradycyjne drony typu Shahed. W zależności od wariantu osiągają prędkość od 400 do 1000 kilometrów na godzinę, czyli są od dwóch do pięciu razy szybsze od swoich starszych odpowiedników, a także latają na wysokości od czterech do siedmiu razy większej. Siły rosyjskie wyposażają drony z napędem odrzutowym w systemy naprowadzania wspomagane sztuczną inteligencją, anteny przeciwdziałające zakłóceniom oraz większe ładunki. Często omijają one niegdyś skuteczną ukraińską obronę powietrzną i uderzają w swoje cele z ogromną siłą rażenia. Analitycy zauważają, że drony Geran-5 pod względem technicznym i wizualnym bardziej przypominają nie bezzałogowe statki powietrzne, leczpowolne pociski skrzydłowe: w przeciwieństwie do rakiet Ch-101 lub Kalibr, które mogą osiągać prędkość 800–900 kilometrów na godzinę, Geranie ze względu na mniej wydajne silniki nie są w stanie przekroczyć prędkości 600 kilometrów na godzinę. Rosja rozpoczęła również stosowanie na swoich dronach specjalnych głowic bojowych przeznaczonych do przecinania metalu – można ich używać do uszkadzania słupów linii energetycznych i mostów.

Zdolność Ukrainy do przetrwania zimy zależy od jej obrony powietrznej. Kijów boryka się z niedoborem zarówno amunicji, jak i systemów zdolnych do ochrony miast.

Moskwa znacznie zwiększyła wykorzystanie pocisków balistycznych i na niespotykaną dotąd skalę wprowadziła szybkie, dalekosiężne drony z napędem odrzutowym. Poszerzyła również zakres swoich celów. Wcześniej rosyjskie siły zbrojne koncentrowały niemal całą swoją siłę ognia na miastach i miejscowościach w pobliżu linii frontu, zwłaszcza we wschodnim regionie Ukrainy – Donbasie. Teraz jednak rozpoczęły masowe bombardowania miast w głębi kraju – zwłaszcza Kijowa. Ataki docierają nawet do miejscowości położonych wzdłuż zachodniej granicy Ukrainy. Moskwa nie liczy już na zwycięstwo poprzez samo zajęcie miast ani nawet poprzez zniszczenie ukraińskiej infrastruktury energetycznej. Zamiast tego dąży do zakłócenia całej gospodarki Ukrainy i złamania morale ludności poprzez terroryzowanie ośrodków miejskich. ■

Hanna Shen



Tak minął miesiąc w Azji

Co działo się w minionym miesiącu na kontynencie azjatyckim i wokół niego? Poniżej prezentujemy omówienie wydarzeń, które niekoniecznie trafiają na pierwsze strony gazet, lecz są ważne.

» **Filipiny: gorąco na morzu**

Październik na Morzu Południowochińskim upłynął pod znakiem nieustannych utarczek. Amerykański portal wojskowy USNI News w pierwszym tygodniu doliczył się co najmniej sześciu groźnych incydentów z udziałem jednostek filipińskich i chińskich. Najwięcej działo się przy Scarborough, atolu położonym około 200 kilometrów od filipińskiej wyspy Luzon. Chińczycy zawładnęli nim w 2012 roku i odtąd przepędzają stamtąd filipińskich rybaków, mimo że cztery lata później trybunał arbitrażowy w Hadze uznał chińskie roszczenia do większości tego akwenu za pozbawione podstaw w prawie międzynarodowym.

3 października uzbrojony chiński myśliwiec J-16 przechwycił nad atolem filipiński samolot patrolowy Cessna i podszedł do niego niebezpiecznie blisko. Pekin przedstawił rzecz po swojemu: dowództwo Południowego Teatru Działań oznajmiło, że „wydaliło" intruza z chińskiej przestrzeni powietrznej.

Kilka dni później chińska straż przybrzeżna nękała filipińskie jednostki, które zabierały chorego marynarza z „Sierra Madre". Ten okręt z czasów II wojny światowej Filipińczycy osadzili w 1999 roku na mieliźnie Second Thomas jako wysunięty posterunek. Nieopodal wyspy Loaita Filipińczycy musieli z kolei odpierać chiński statek tzw. milicji morskiej, czyli „rybaków" działających na rozkaz państwa, wraz z 22 łodziami. Nowym zarzewiem sporu stała się Cieśnina Luzon przy filipińskich wyspach Batanes, położonych w połowie drogi między Luzonem a Tajwanem. Trudno o wymowniejszy dowód, że dla Pekinu nacisk na Manilę i na Tajpej to dwie odsłony tej samej rozgrywki.

Właśnie w tych dniach, od 6 do 8 października, Filipiny gościły Karola Nawrockiego. Była to pierwsza wizyta polskiego prezydenta w tym kraju od nawiązania stosunków dyplomatycznych w 1973 roku. We wspólnym oświadczeniu obaj prezydenci zapowiedzieli stopniowe budowanie partnerstwa strategicznego i przypomnieli, że prawnym fundamentem porządku na morzach jest konwencja ONZ o prawie morza, czyli ten sam akt, na podstawie którego Trybunał w Hadze odrzucił chińskie roszczenia. Ostatniego dnia Nawrocki odwiedził bazę lotniczą Villamor w Manili, gdzie stacjonują śmigłowce Black Hawk z zakładów PZL Mielec. Filipiny kupiły ich

łącznie 48, a ostatnie siedem włączyły do służby pod koniec sierpnia. Gdy Pekin sprawdza, ile jeszcze Manila zniesie, polska obecność znaczy więcej niż interesy. Świadczy to o tym, że w Europie Środkowej dobrze się pamięta, czym kończy się ustępowanie przed silniejszym i zachłannym sąsiadem.

» Japonia: dziennikarz w rękach FSB

13 października rosyjska Federalna Służba Bezpieczeństwa (FSB) ogłosiła, że w Jużnosachalińsku zatrzymała obywatela Japonii. Rosyjskie MSZ podało potem jego nazwisko: to Yuki Imai, korespondent dziennika „Hokkaido Shimbun" wydawanego na Hokkaido, najbliższej Rosji japońskiej wyspie. Moskwa oskarża go o szpiegostwo. Według FSB na polecenie japońskiego wywiadu zbierał dane o tym, ilu mieszkańców Kuryli zmobilizowano albo zgłosiło się na ochotnika do wojny przeciwko Ukrainie. Premier Sanae Takaichi zaprzeczyła, a japońskie MSZ wezwało rosyjskiego ambasadora. O zatrzymaniu Japończycy dowiedzieli się z rosyjskiego komunikatu i nie mogli skontaktować się z dziennikarzem.

Stosunki Tokio z Moskwą są dziś bardzo napięte. 13 sierpnia Władimir Putin po raz pierwszy wylądował na Kurylach. Na Etorofu obejrzał krążownik „Wariag", a dzień wcześniej w Jużnosachalińsku oskarżył Japonię o nakładanie jednostronnych sankcji. Takaichi mimo to zapowiada dalsze wspieranie Ukrainy i utrzymanie sankcji. Traktatu pokojowego oba państwa nie zawarły do dziś, bo Sowieci zajęli wyspy w 1945 roku i wysiedlili ich japońskich mieszkańców.

» Korea Północna: most do Pekinu

15 października Chiny i Korea Północna oddały do użytku Nowy Most na rzece Jalu, łączący chiński Dandong z północnokoreańskim Sinŭiju. Przeprawa stała gotowa od dawna, a jej otwarcie odwlekano przez 12 lat bez słowa wyjaśnienia. Chińczycy zbudowali go za własne pieniądze, lecz po stronie północnokoreańskiej długo brakowało drogi dojazdowej. Dziś, gdy reżim w Pjongjangu należy do najwierniejszych sojuszników Moskwy i zaopatruje ją w żołnierzy oraz amunicję, Pekin uznał, że pora porzucić pozory dystansu. Daje tym światu do zrozumienia, że Korei Północnej nie zostawi na pastwę losu, niezależnie od tego, co się tam wydarzy.

Sam reżim nie złagodniał ani trochę. Na początku października Pjongjang chełpił się rakietą, która według tamtejszej propagandy potrafi zmieniać tor lotu tuż nad ziemią, a naprowadza ją sztuczna inteligencja. Kilkanaście dni później ogłosił udaną próbę torpedy, rzekomo także kierowanej przez komputerowy mózg. 19 października siostra dyktatora, Kim Jo Dzong, od lat najbardziej wpływowa kobieta w państwie, zapowiedziała, że Północ może rozmieścić przy granicy kolejną broń taktyczną i wznowić nadawanie propagandy przez głośniki.

Prezydent Korei Południowej Lee Jae-myung, polityk lewicy, który stawia na dialog z Północą, zachowuje wobec pogróżek zdumiewający spokój. Kiedy śledztwo wykazało, że za wybuchem miny przy granicy stoi Pjongjang, Lee unikał wskazania sprawcy. Pjongjang odpłaca się za to pogardą. Gdy Seul chciał posłać do szpitala w stolicy Północy ponad 1400 sztuk sprzętu medycznego, Kim Jo Dzong 8 października nazwała to „zniewagą dla naszego państwa" i polityczną prowokacją. Oświadczyła, że Północ nie ma z Południem o czym rozmawiać.

W drugiej połowie miesiąca gruchnęła jeszcze wieść, jakoby Kim Dzong Un przeszedł wylew i trafił do Pekinu na leczenie. Ani Pjongjang, ani Pekin nie raczyły się do niej odnieść. Jakkolwiek ta historia się zakończy, jedno pokazała dobitnie: o państwie dysponującym bronią jądrową wiadomo tak niewiele, że przez kilka dni nikt nie potrafił orzec, czy jego władca jest w ogóle przytomny.

» Indie: bunt „karaluchów"

W Indiach, które lubią nazywać się największą demokracją świata, we wrześniu i październiku młodzi ludzie wychodzili na ulice niemal codziennie. Protestowali przeciwko temu, co uważali za fałszowanie wyborów. Zarzucali komisji wyborczej, że przy uzupełnianiu spisów wyborców bez uprzedzenia skreśliła miliony nazwisk, a nowych wyborców dopisywała bez weryfikacji, na korzyść rządzącej partii premiera Narendry Modiego. Domagali się dymisji jej przewodniczącego, Gyanesha Kumara. Komisja zapewniała, że działa zgodnie z prawem.

Zaczęło się jednak od zniewagi. W maju prezes Sądu Najwyższego porównał młodych ludzi bez pracy do „karaluchów" i „pasożytów". Studenci i absolwenci pod wodzą Abhijeeta Dipkego założyli wtedy w internecie Partię Ludu Karaluchów, przyjmując obelgę za własne imię, a następnie przenieśli się z sieci na ulice.

Władze odpowiedziały siłą. W weekend 10 i 11 października policja zatrzymała tysiące demonstrantów, a 13 października w New Delhi przywódców ruchu, którzy przeskoczyli barierki na Placu Jantar Mantar. Modi bronił wówczas Indii jako „matki demokracji". Gdy jednak młodzież wyszła na ulice, by upomnieć się o uczciwe wybory, państwo pokazało swoje mniej demokratyczne oblicze.

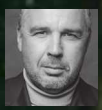
» Tajwan: długie ramię Pekinu

4 października agenci FBI zatrzymali na lotnisku w Los Angeles kobietę, która właśnie wsiadała do samolotu do Szanghaju. Postawiono jej zarzut działania na rzecz obcego państwa bez wymaganej rejestracji. Według śledczych we wrześniu 2025 roku na polecenie chińskich urzędników pojechała do Seattle, by śledzić syna prezydenta Tajwanu Lai Ching-te. Chińskie MSZ zareagowało według utartego wzoru, potępiając „oczernianie Chin" rzekomymi opowieściami o szpiegach. Sprawa dobrze pokazuje, na czym polegają represje transnarodowe, czyli inwigilacja i zastraszanie ludzi poza granicami Chin. Ofiarami padają dysydenci, Ujgurzy, Tybetańczycy i emigranci z Hongkongu, a także – jak się okazuje – również bliscy polityków z Tajpej.

Kilka dni później Pekin objął sankcjami ministra łączności Paragwaju i ministra spraw zagranicznych Belize. Ich przewinieniem jest to, że oba kraje należą do dwunastu państw utrzymujących z Tajwanem stosunki dyplomatyczne. To przestroga dla każdego, kto zechciałby zbliżyć się do Tajpej.

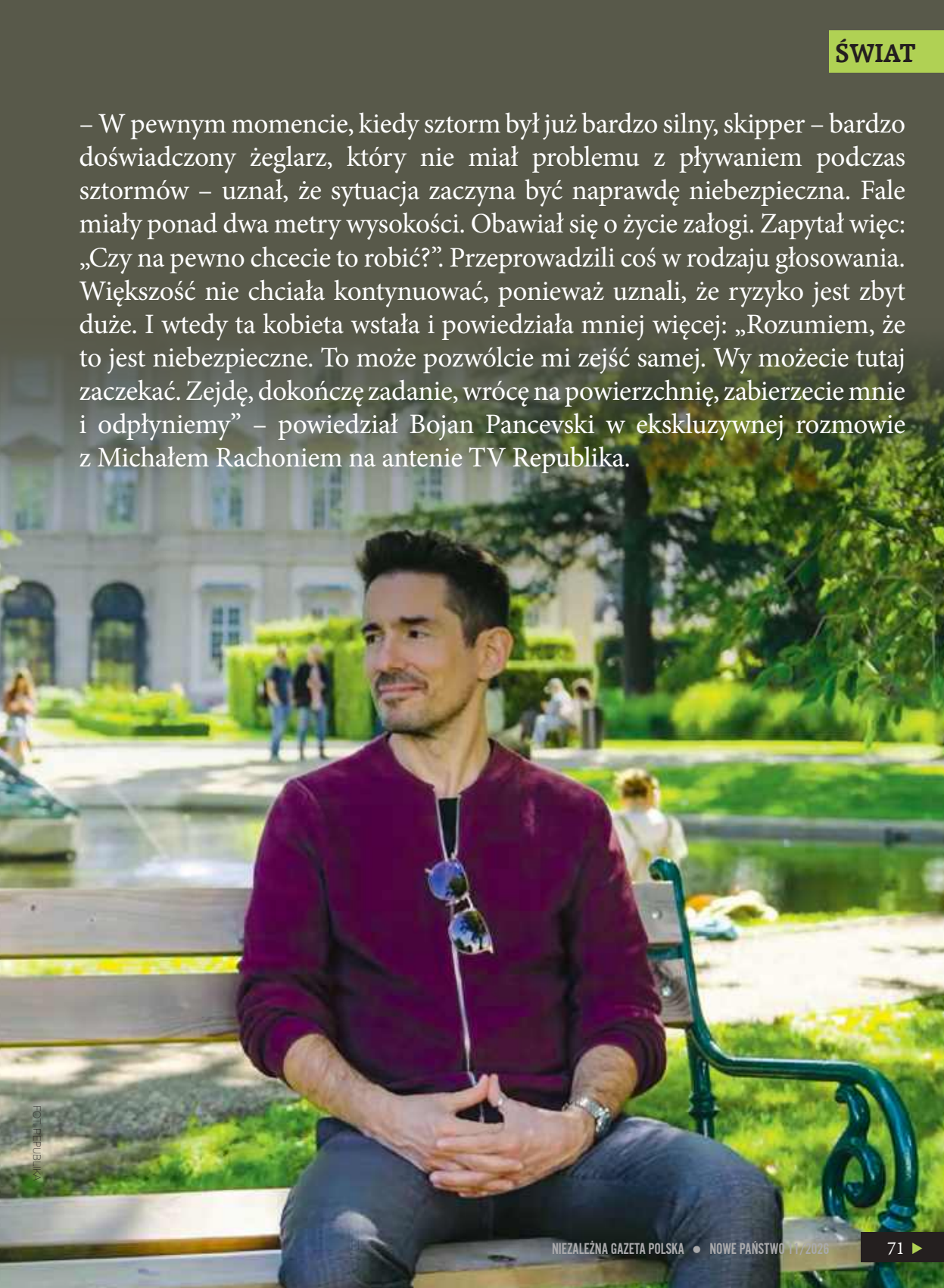
Ciekawe, że po przemówieniu prezydenta Laia z okazji święta narodowego 10 października chińska armia nie przeprowadziła wokół wyspy wielkich manewrów, jak w poprzednich latach. Nie znaczy to, że nacisk zelżał. Przeniósł się po prostu na morze: 18 października tajwańska straż przybrzeżna przegoniła 16 chińskich jednostek, które jednocześnie nękały tajwańskie wody. W Waszyngtonie słychać tymczasem, że inwazja przed 2028 rokiem jest mało prawdopodobna, a przyczyn upatruje się w czystkach, które nadwątliły gotowość chińskiej armii, oraz w nadziei Pekinu, że w wyborach prezydenckich w 2028 roku na Tajwanie wygra Kuomintang, partia ugodowa wobec Chin. ■

Cały świat był w szoku. Tajemnica wysadzenia rosyjsko-niemieckiego gazociągu



Michał Rachoń
TV Republika

– W pewnym momencie, kiedy sztorm był już bardzo silny, skipper – bardzo doświadczony żeglarz, który nie miał problemu z pływaniem podczas sztormów – uznał, że sytuacja zaczyna być naprawdę niebezpieczna. Fale miały ponad dwa metry wysokości. Obawiał się o życie załogi. Zapytał więc: „Czy na pewno chcecie to robić?". Przeprowadzili coś w rodzaju głosowania. Większość nie chciała kontynuować, ponieważ uznali, że ryzyko jest zbyt duże. I wtedy ta kobieta wstała i powiedziała mniej więcej: „Rozumiem, że to jest niebezpieczne. To może pozwólcie mi zejść samej. Wy możecie tutaj zaczekać. Zejdę, dokończę zadanie, wrócę na powierzchnię, zabierzecie mnie i odpłyniemy" – powiedział Bojan Pancevski w ekskluzywnej rozmowie z Michałem Rachoniem na antenie TV Republika.



FOT. TV REPUBLIKA

» Boyan, kiedy opublikowałeś swoją książkę, cały świat zadawał sobie pytanie, jak mogło dojść do wysadzenia Nord Streamu. Opisywałeś tę historię już wcześniej w swoich publikacjach, ale nawet eksperci od nurkowania głębinowego, zawodowi nurkowie bojowi nie wierzyli, że NS można było wysadzić w sposób, który opisałeś.

Nie chodziło tylko o nurków. Na początkowym etapie tej zagadki mylili się również eksperci od materiałów wybuchowych. Myślę, że powód jest taki, że kiedy czegoś nigdy wcześniej nawet nie próbowano zrobić, a tym bardziej nie zrobiono tego w taki sposób, ludziom trudno jest sobie wyobrazić, że jest to w ogóle możliwe. Dopóki nie pokażesz, że coś jest możliwe, ludzki umysł tego nie przyjmuje. Widzieliśmy to choćby podczas pandemii. Nie wyobrażaliśmy sobie, że mogą zostać wprowadzone lockdowny, a jednak do tego doszło. Pewne rzeczy stają się możliwe dopiero wtedy, kiedy ktoś pokaże, że rzeczywiście da się je zrobić. Myślę więc, że z ukraińskiej perspektywy tę operację można było przeprowadzić właściwie tylko w taki sposób, w jaki została przeprowadzona: tanio, przy użyciu niewielkiej liczby ludzi, przy ogromnym ryzyku i z niezwykłą odwagą.

» Nawet nie wiem, od którego miejsca zacząć tę historię, ponieważ z polskiej perspektywy jest ona niezwykle interesująca. Polska była bardzo zaangażowana w cały ten proces. Zacznijmy jednak od samej natury operacji. Opisujesz coś w rodzaju półprywatnej operacji kilku osób, które miały silne związki ze służbami specjalnymi i środowiskiem wojskowym, ale jednocześnie – przynajmniej technicznie, według twoich źródeł i tego, co opisujesz w książce – znajdowały się niejako na uboczu głównego nurtu politycznego oraz głównych struktur służb specjalnych Ukrainy. Czy była to zatem operacja państwa ukraińskiego?

Była to operacja ukraińskich sił zbrojnych, a siły zbrojne oczywiście należą do państwa.

Komuś w Polsce, Niemczech czy ogólnie na Zachodzie może być trudno zrozumieć, jak funkcjonuje Ukraina podczas wojny. To zupełnie inna polityka, zupełnie inne społeczeństwo, o czym zresztą z pewnością wiesz. Jest ono dość mocno podzielone. Struktury bezpieczeństwa są rozproszone, siły zbrojne są rozproszone, scena polityczna jest rozdrobniona. Pod powierzchnią istnieje wiele różnych interesów, często sprzecznych ze sobą, niekiedy pozostających ze sobą w otwartym konflikcie. Myślę, że widzimy to również w ostatnich tygodniach.

Zasadniczo była to więc operacja struktur wojskowych. Została wymyślona i przeprowadzona w obrębie elitarnej jednostki sił specjalnych Sił Zbrojnych Ukrainy. Zaplanowali ją doświadczeni oficerowie, którzy wcześniej służyli w wywiadzie, a następnie przeszli do wojska. Pomagali im oficerowie armii i funkcjonariusze wywiadu, natomiast ludzie, którzy fizycznie przeprowadzili atak, czyli umieścili ładunki na gazociągach, byli cywilami. Nie byli nawet żołnierzami ani funkcjonariuszami służb. W tym świecie określa się ich mianem „proxies", czyli osób działających w zastępstwie. Zostali zwerbowani specjalnie do tej operacji ze względu na swoje umiejętności, przede wszystkim umiejętność nurkowania głębinowego.

» Samo słowo „proxy", którego użyłeś, jest bardzo często kojarzone ze współczesnym sposobem prowadzenia operacji służb specjalnych – takich, których technicznie i oficjalnie nie

można przypisać państwu. Mieliśmy przecież oficjalne oświadczenia państwa ukraińskiego, że Ukraina nie była w to zaangażowana. Z drugiej strony z tego, co piszesz w książce, wynika dość jasno, że nie tylko państwo musiało o tym wiedzieć, lecz także środowisko służb specjalnych. Co więcej, zachodnia wspólnota wywiadowcza również posiadała pewną wiedzę o tym, że coś takiego jest przygotowywane.

Międzynarodowa wspólnota wywiadowcza dowiedziała się o tej operacji mniej więcej pod koniec maja albo na początku czerwca 2022 roku. Gazociągi zostały wysadzone 26 września 2022 roku. Czyli prawie dokładnie cztery lata temu. Holenderski wywiad wojskowy uzyskał informację ze źródła osobowego, że na Ukrainie przygotowywany jest plan wysadzenia gazociągów przez jednostkę wojskową. Holendrzy poinformowali o tym CIA. Było to pod koniec maja lub na początku czerwca, czyli kilka miesięcy przed samym atakiem. CIA natychmiast ostrzegła Niemcy, że ktoś próbuje wysadzić gazociągi, a Ukraińcom przekazano, aby tego nie robili. Na wysokim szczeblu zachodnie służby wywiadowcze posiadały więc tę wiedzę, a później informacje te rozeszły się również w części administracji państw Europy Zachodniej. Nie było więc tak, że wydarzenie to było całkowitym szokiem albo pojawiło się zupełnie znikąd. Istniały pewne sygnały wskazujące zarówno na to, co miało się wydarzyć, jak i na to, kto zamierzał to zrobić.

» **W książce znajdują się co najmniej dwa bardzo interesujące wątki. Pierwszy jest oczywiście interesujący z perspektywy światowej opinii publicznej: chodzi o wiedzę CIA oraz rolę rezydenta CIA w Kijowie. Drugi jest szczególnie interesujący dla polskiej opinii publicznej i w Twojej książce pojawia się tylko na krótko. Zacznijmy od CIA. Dlaczego – jeśli dobrze pamiętam – szef placówki CIA miał wysłać wiadomość do organizatorów? Rozumiem opisane w książce wydarzenia w ten sposób, że CIA chciała mieć dowód, iż zwróciła się do organizatorów, a w odpowiedzi otrzymała zaprzeczenie, że cokolwiek robią. Dzięki temu CIA mogłaby później powiedzieć: „Mamy czyste ręce. Nic o tym nie wiedzieliśmy, zapytaliśmy ich, oni zaprzeczyli, więc z naszej strony sprawa jest czysta".**

Ten konkretny funkcjonariusz CIA otrzymał od swoich przełożonych polecenie, aby skontaktować się z ludźmi stojącymi za tym planem i powiedzieć im, żeby go przerwali. Robiąc to, chciał również w pewnym sensie zabezpieczyć samego siebie. Gdy kierownictwo CIA dowiedziało się o planie, uznało go za bardzo zły pomysł.

Trzeba pamiętać, że był to bardzo wczesny etap wojny. Administracja Bidena próbowała wtedy przekonać Niemcy do większego zaangażowania. Dzisiaj sytuacja wygląda zupełnie inaczej, ale na początku wojny Niemcy – największa gospodarka Europy i tak dalej – nie pomagały Ukrainie w takim stopniu, w jakim mogły pomagać. W Waszyngtonie, oczywiście również w Kijowie, a przypuszczam, że także w Warszawie, panowała duża frustracja związana z tym, że Niemcy były bardziej pasywne, niż oczekiwano.

Administracja Bidena naciskała więc na Niemcy, aby zrobiły więcej. Jeśli pamiętasz, toczyła się wtedy dyskusja o czołgach Leopard: czy przekazać Ukrainie Leopardy. W tamtym momencie wojny czołgi wciąż odgrywały bardzo ważną rolę. Dzisiaj, wraz z dominacją dronów, ich znaczenie jest znacznie mniejsze. Amerykanie pomyśleli więc: jeśli informacja o tym planie wyjdzie na jaw, jeżeli media o tym napiszą,

ówczesny kanclerz Niemiec Olaf Scholz będzie miał ogromny problem z przekonaniem niemieckiego społeczeństwa do dalszego wspierania Ukrainy, przekazywania pieniędzy i broni.

» Były przecież również wcześniejsze sugestie, nawet ze strony prezydenta Bidena, że Nord Stream może przestać działać.

Oczywiście. Każdy amerykański prezydent od czasów George'a W. Busha sprzeciwiał się tym gazociągom. Co do tego nie ma żadnych wątpliwości. Amerykanie nienawidzili tych gazociągów. Brytyjczycy ich nienawidzili. Polacy ich nienawidzili. Praktycznie cała Europa Wschodnia ich nie chciała. Pod koniec również Francuzi zaczęli się im sprzeciwiać. Niemcy pozostawali więc właściwie sami, razem z Austriakami i może kilkoma innymi państwami, do pewnego stopnia na przykład z Holandią. Byli dość osamotnieni w swoim podejściu do współpracy energetycznej z Rosją.

Joe Biden w styczniu, tuż przed pełnoskalową inwazją, powiedział, że jeżeli Rosja dokona pełnoskalowej inwazji, Nord Stream 2 zostanie zatrzymany. Ale miał na myśli sankcje. Amerykanie nie muszą niczego wysadzać, ponieważ dysponują ogromną siłą sankcji wtórnych. Tak naprawdę właśnie sankcje uniemożliwiają dziś Rosji naprawienie gazociągów. System Nord Stream, największy system podmorskich gazociągów na świecie, składa się z dwóch gazociągów: Nord Stream 1 oraz Nord Stream 2. Nord Stream 1 jest starszy, Nord Stream 2 nowszy. Nord Stream 1 jest obecnie objęty sankcjami Unii Europejskiej. Niemcy ostatecznie zgodziły się na ich wprowadzenie. To właśnie sankcje uniemożliwiają Putinowi naprawienie gazociągu. Putin próbował doprowadzić do jego naprawy i wznowić handel gazem, ale nie może tego zrobić ze względu na sankcje. Amerykańskie sankcje są w pewnym sensie skuteczniejsze niż materiały wybuchowe – dopóki Amerykanie albo Europejczycy ich nie zniosą. Kiedy więc Joe Biden mówił, że Nord Stream 2 zostanie zatrzymany, miał na myśli właśnie sankcje. I dokładnie tak się stało. Gdy rozpoczęła się pełnoskalowa inwazja, Niemcy wstrzymały proces certyfikacji. Następnie Unia Europejska wprowadziła sankcje, a Amerykanie powrócili do polityki sankcyjnej zapoczątkowanej jeszcze przez administrację Trumpa.

» Były też sankcje dotyczące możliwości ubezpieczenia takich prac.

Tak. Nikt nie może nawet dotknąć tego gazociągu. Jeżeli obowiązują sankcje, żadna firma budowlana nie może przy nim pracować, żadna firma ubezpieczeniowa nie może ubezpieczyć prac ani samego gazociągu i żadna firma nie może kupować przesyłanego nim gazu. Nawet gdyby w jakiś magiczny sposób naprawiono gazociąg i ponownie wpuszczono do niego gaz, kto miałby go kupić? Żadna firma nie mogłaby tego zrobić, ponieważ naraziłaby się na amerykańskie sankcje.

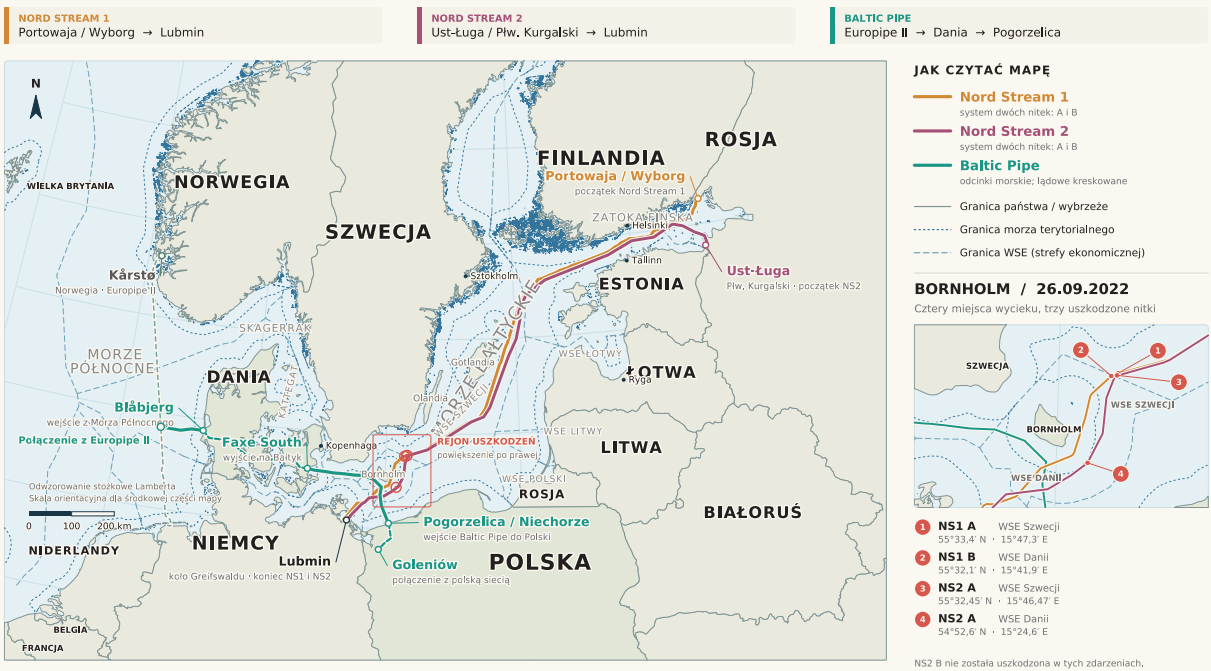
» To była więc amerykańska część odpowiedzi na pytanie o to, kto wiedział wcześniej. W jaki sposób informacja trafiła do holenderskich służb? Wspominasz, że jedno ze źródeł twierdziło, iż mogło się to stać za pośrednictwem polskich służb specjalnych.

Nie. Z tego, co wiem, polskie służby specjalne w ogóle nie uczestniczyły w tej operacji. Myślę natomiast, że już po operacji, kiedy Niemcy rozpoczęli śledztwo i zaczęli odkrywać kolejne szczegóły dotyczące tego, co się wydarzyło i jak zostało przeprowadzone, wtedy Polacy się zaangażowali. I, mówiąc bardzo delikatnie, nie byli szczególnie skłonni do współpracy z Niemcami.

INFRASTRUKTURA ENERGETYCZNA / EUROPA PÓŁNOCNA

Gazociągi pod Bałtykiem

Nord Stream 1, Nord Stream 2 i Baltic Pipe — trasy, terminale i granice morskie



MAPA POGLĄDOWA Nord Stream: trasy uogólnione i odstępy powiększone. Baltic Pipe na Bałtyku: wg punktów Sjöfartsverket; odcinki lądowe schematyczne.
WSE = wyłączna strefa ekonomiczna. Morza terytorialne: zewnętrzna granica do 12 mil morskich od linii podstawowych.
Źródła: Natural Earth; Marine Regions / VLIZ (WSE v12, morza terytorialne v4, 2023); EMODnet; Baltic Pipe: Sjöfartsverket, Ufs 16592 / 17165 (2022).
GAZ-SYSTEM i Energinet (Baltic Pipe); Danish Energy Agency (NS2); Harris i in., Nature 637 (2025), DOI: 10.1038/s41586-024-08396-8 (wycieki).

Do wysadzenia Nord Streamu użyto około 30 kg materiałów wybuchowych, które umieszczono w butlach nurkowych. Przymocowano je do gazociągu. Eksplozja zrobiła niewielkie nacięcie, które następnie wywołało reakcję łańcuchową. Rurociąg został rozerwany, powodując ogromną eksplozję.

Mogę powiedzieć, że Holendrzy posiadali informację ze źródła osobowego dotyczącą tego, co miało się wydarzyć. Mam własne przypuszczenia na temat tego, kim mogło być to źródło i skąd pochodziła informacja, ale nie chcę o tym mówić. Nie omawiam tego również w książce.

Z perspektywy Ukraińców stojących za atakiem wyglądało to tak, że rozmawiali o różnych możliwościach ze swoimi przyjaciółmi i współpracownikami w zachodnich służbach – m.in. w Polsce i Szwecji. Szwecja była zresztą bardzo istotna, ponieważ jej wybrzeże znajduje się bliżej miejsc, które planowali zaatakować. Początkowo planowali wypłynąć ze Szwecji, a nie z Niemiec. Kiedy CIA dowiedziała się o operacji i próbowała ją powstrzymać, cały plan przełożono i zmodyfikowano. Zrezygnowano ze Szwecji i ostatecznie operację przeprowadzono z terytorium Niemiec.

Rozmawiali jednak wcześniej o tych planach ze swoimi bliskimi kontaktami w różnych służbach wywiadowczych, jak sądzę również w Polsce. Dlatego później, kiedy próbowali ustalić, w jaki sposób informacja wyciekła, zastanawiali się: może ktoś w Polsce

ILUSTRACJA WYGENEROWANE PRZEZ AI

coś powiedział, może ktoś w Szwecji coś powiedział? Nie było to dla nich jasne.

» Czyli chodziło raczej o echo wcześniejszych rozmów i całego procesu przygotowań.

Dokładnie. Ludzie, którzy organizowali tę operację, byli przecież weteranami środowiska wywiadowczego. Przez lata blisko współpracowali z różnymi europejskimi partnerami, oczywiście również z Amerykanami. Mieli więc kontakty w CIA, w szwedzkich służbach, w polskich służbach i tak dalej.

» Przejdźmy więc do Polski, również pod względem czysto technicznym. Organizacja tego ataku przebiegała w kilku etapach i przynajmniej dwa z nich – być może więcej – były bezpośrednio związane z Polską. Pierwszym było miejsce, czyli bezpieczny dom, w którym zebrała się ekipa w południowo-wschodniej Polsce. Drugim był port związany z jachtem „Andromeda", który również odegrał rolę w całej operacji. Zacznijmy od pierwszego wątku. To również miało pewne poważne konsekwencje. Ludzie, którzy formalnie nie byli zawodowymi żołnierzami, zostali zgromadzeni w bezpiecznym domu i potraktowani zgodnie z zasadami, według których funkcjonują żołnierze. To bardzo interesujące i wydaje mi się, że przed publikacją twojej książki nikt w Polsce o tym nie mówił. Co o tym wiemy?

Polska była w pewnym sensie zapleczem logistycznym tej operacji, po prostu dlatego, że podczas tej wojny Polska jest zapleczem logistycznym praktycznie każdej operacji związanej z Ukrainą. Graniczy z Ukrainą. Wszystko musi przechodzić przez Polskę – amunicja, transport, ludzie. Żeby grupa sabotażowa mogła dotrzeć do miejsca docelowego, czyli portu na wyspie Rugia w Niemczech, musiała przejechać przez Polskę. Przekraczając granicę z Ukrainy do Polski, posługiwali się ukraińskimi paszportami. Następnie trafili do bezpiecznego domu w Polsce, którego lokalizacji nie ujawniamy. Czekali na dokumenty tożsamości z Unii Europejskiej. Plan zakładał, że ukraińskich paszportów używają wyłącznie do przekroczenia granicy. Były to prawdziwe ukraińskie paszporty, wydane jednak na inne nazwiska. Jedyną prawdziwą rzeczą było zdjęcie osoby znajdującej się w paszporcie. Nazwisko było inne, dane były inne, ale sam dokument był autentyczny. Paszporty zostały wydane przez ukraiński wywiad.

» Co dość wyraźnie pokazuje zaangażowanie ukraińskiego państwa.

Tak, służb wywiadowczych. Przekroczyli granicę z tymi paszportami, ale następnie otrzymali polecenie, żeby je schować i nigdy więcej nikomu ich nie pokazywać. Chodziło o to, żeby po rozpoczęciu operacji w żaden sposób nie łączyć zespołu z Ukrainą. Czekali więc na dokumenty tożsamości państw Unii Europejskiej, które miały zostać dostarczone do tego bezpiecznego domu. Dzięki nim mogli podróżować do Niemiec. Jeżeli mieliby zostać wylegitymowani przez policję czy jakiekolwiek inne służby, mieli posługiwać się właśnie europejskimi dokumentami. Czekali tam przez pewien czas. Cały proces trwał dłużej, niż zakładano. Pojawiły się problemy z dostarczeniem dokumentów. Dlatego do momentu, kiedy je otrzymali, musieli pozostać w Polsce i praktycznie nie opuszczać domu.

» Mieli wysadzić dwa gazociągi – choć technicznie Nord Stream to właściwie dwa gazociągi i cztery rury.

Cztery rury.

» Dwa gazociągi, cztery rury. Pierwotny plan zakładał również wysadzenie TurkStreamu. Pomysł polegał na tym, że dwa zespoły miały działać jednocześnie i niezależnie od siebie. Zanim więc przejdziemy do skutecznego wysadzenia Nord Streamu, porozmawiajmy o południowej części operacji. Ona się nie udała. Dlaczego?

Plan zakładał wykorzystanie dwóch jachtów żaglowych, dwóch niewielkich jednostek, każda z sześcioosobową załogą składającą się z żołnierzy i nurków. Celem było wysadzenie Nord Streamu oraz TurkStreamu. Były to dwa gazociągi, którymi rosyjski gaz płynął bezpośrednio do Europy z pominięciem terytorium Ukrainy.

TurkStream składa się z dwóch rur. Jest trochę krótszy od Nord Streamu. Biegnie pod Morzem Czarnym, łącząc Rosję z Turcją, a następnie gaz trafia dalej do Unii Europejskiej przez Bałkany. Ta część operacji zakończyła się całkowitym niepowodzeniem. Wybrano rumuński port nad Morzem Czarnym – Mangalię. To popularna miejscowość wypoczynkowa w Rumunii. Wynajęli tam jacht. Plan był taki, że nurkowie i żołnierze wypłyną nim na morze i zrobią mniej więcej to samo, co później zrobiono z Nord Streamem. Problem polegał na tym, że nie odrobili odpowiednio pracy domowej. Myślę – choć nigdy mi się do tego wprost nie przyznali – że pomylili mniejsze gazociągi znajdujące się u wybrzeży Bułgarii z właściwym dużym gazociągiem, który leży znacznie dalej i znacznie głębiej. Morze Czarne jest dużo głębsze od Bałtyku. Bałtyk ma nieco ponad 100 metrów głębokości w najgłębszych obszarach związanych z tą operacją, podczas gdy Morze Czarne schodzi miejscami do około 2000 metrów. To był pierwszy błąd – nieprawidłowo zaplanowana logistyka.

Drugim, kluczowym błędem było to, że nie zdawali sobie sprawy, jak silnie kontrolowany jest akwen w pobliżu Mangalii, u wybrzeży Rumunii, tuż przy granicy z Bułgarią. Teren jest intensywnie patrolowany zarówno przez straż przybrzeżną, jak i przez okręty NATO. Powód jest prosty. Nieco dalej na północ, w rejonie Odessy, trwa wojna. Poważna wojna. Dlatego rumuńska i bułgarska straż przybrzeżna bardzo rygorystycznie kontroluje ten rejon. Firmy wynajmujące łodzie często nie pozwalają klientom wypływać poza rumuńskie wody terytorialne, m.in. ze względów ubezpieczeniowych. Jeżeli chcesz opuścić rumuńskie wody terytorialne, często musisz mieć na pokładzie skippera zatrudnionego przez firmę czarterową. Bez niego firma po prostu ci na to nie pozwoli. A nawet jeżeli spróbujesz wymknąć się po cichu, natrafisz na jednostki straży przybrzeżnej, które cię zatrzymają i poproszą o dokumenty, zezwolenia i tak dalej. Tego wszystkiego wcześniej nie przewidzieli. Za każdym razem, kiedy wypływali, natrafiali na patrole i kolejne problemy. Ostatecznie spędzili tam chyba około dziesięciu dni. Była to prawie całkowita porażka. W praktyce siedzieli tam, wypływali z portu i wpływali do niego i niczego nie byli w stanie zrobić.

» Jedna z osób, które znajdowały się na miejscu – i w ten sposób możemy wrócić do Bałtyku – kiedy stało się jasne, że południowa część operacji zakończyła się niepowodzeniem, ruszyła w około dwunastogodzinną podróż samochodem nad Bałtyk.

Dokładnie. Praktycznie przez całą Europę. Z Morza Czarnego nad Bałtyk, żeby dołączyć do swoich kolegów i pomóc im dokończyć operację Nord Stream. Skorzystała z usług kierowców, czegoś w rodzaju taksówek,



Eksplozja gazociągu Nord Stream. Wybuch został zarejestrowany około tysiąca kilometrów dalej na północ, w rejonie szwedzkiego koła podbiegunowego.

i przejechała cały kontynent z Mangalii aż nad niemieckie wybrzeże Bałtyku.

» **Po przekroczeniu granicy polsko-niemieckiej grupa popełniła dość banalny błąd. Przekroczyła prędkość na niemieckiej drodze. Dlaczego ten drobny błąd okazał się później tak ważny?**

Operacje konspiracyjne nigdy nie przebiegają idealnie, nawet jeżeli uczestniczą w nich najlepsi profesjonaliści. A tutaj nie wszyscy byli najwyższej klasy zawodowcami. Połowę zespołu stanowili cywile. Jechali w kierunku portu, w którym mieli odebrać łódź. Poruszali się drogą lokalną. Wiele osób wie, że na niemieckich autostradach często nie ma limitu prędkości, ale na drogach lokalnych obowiązują bardzo restrykcyjne ograniczenia. Wjechali do niewielkiej miejscowości. Przed wjazdem znajdował się fotoradar. Przekroczyli obowiązujące tam ograniczenie do 50 kilometrów na godzinę i kamera zrobiła zdjęcie samochodu. Nie wiem, jak dokładnie wygląda to w Polsce, ale w Niemczech przy wykroczeniu drogowym wykonywane jest zdjęcie w bardzo wysokiej rozdzielczości. Widać kierowcę, osobę siedzącą obok kierowcy, przód samochodu oraz tablicę rejestracyjną. To zdjęcie stało się później kluczowym dowodem, a właściwie tropem, który skierował śledztwo w stronę Ukrainy. Samochód miał ukraińskie tablice rejestracyjne. Należał do ukraińskiej firmy przewozowej. Takie samochody bardzo często kursują między Niemcami, Polską i Ukrainą, ponieważ – jak wiesz – miliony ukraińskich uchodźców przebywają w Polsce i Niemczech. W samych Niemczech jest obecnie około 1,3 mln ukraińskich uchodźców. Takie przewozy między Ukrainą a Niemcami nie są więc niczym niezwykłym. Wynajęli jedną z takich firm. W pewnym momencie kierowca był jednak bardzo zmęczony, więc jeden z nurków powiedział: „Dobrze, ja poprowadzę". I właśnie jego twarz została sfotografowana przez fotoradar. Niemiecka policja przepuściła

FOT. DANISH DEFENCE COMMAND/DPA/PICTURE ALLIANCE

później to zdjęcie przez oprogramowanie do rozpoznawania twarzy, które można normalnie kupić w internecie. To nie była żadna tajna technologia w stylu Jamesa Bonda. Jeżeli wprowadzisz czyjeś zdjęcie do takiego programu, wyszukuje on inne fotografie tej samej osoby dostępne w internecie. W ciągu kilku sekund znaleziono strony internetowe pokazujące, że człowiek ze zdjęcia był instruktorem nurkowania głębinowego. Ukraińskie tablice rejestracyjne. Instruktor nurkowania głębinowego. To był przełomowy moment w całym śledztwie.

» Śledczy odkryli to oczywiście dopiero wiele miesięcy po wysadzeniu gazociągów. Jak dokładnie udało im się wysadzić Nord Stream? Dla mnie najbardziej fascynujący jest sposób, w jaki przygotowali i umieścili ładunki wybuchowe. A także psychologiczny aspekt całej operacji i rola kobiety, o której piszesz, która okazała się niezwykle ważna.

Materiały wybuchowe są bardzo ważną częścią tej historii. Pierwsza informacja o eksplozji pochodziła z europejskiego systemu wczesnego ostrzegania przed trzęsieniami ziemi. Wybuch został zarejestrowany około tysiąca kilometrów dalej na północ, w rejonie szwedzkiego koła podbiegunowego. Urządzenia sejsmiczne zarejestrowały coś, co wyglądało jak trzęsienie ziemi. Następnego ranka eksperci przeanalizowali dane i zorientowali się, że to nie było trzęsienie ziemi, tylko eksplozja. Była jednak tak silna, że zarejestrowała ją aparatura służąca do wykrywania trzęsień ziemi. Co ciekawe, użyto stosunkowo niewielkiej ilości materiału wybuchowego. Organizatorzy zwrócili się o pomoc do emerytowanego inżyniera, naukowca, profesora z Ukrainy. Ukraina, podobnie jak Polska, ma bardzo dobre uczelnie techniczne. Temu ekspertowi przedstawiono problem: jak zniszczyć podmorską infrastrukturę? Miał doświadczenie w tej dziedzinie. Zauważył, że rurociągi znajdują się pod bardzo wysokim ciśnieniem. Nord Stream 1 pracował pod ciśnieniem około 160 barów, czyli bardzo wysokim. Dochodzi do tego oczywiście oddziaływanie ciśnienia wody na dnie morza oraz ciśnienia wewnątrz rury. Ekspert doszedł do wniosku, że wystarczy bardzo niewielka ilość materiału wybuchowego, która zrobi odpowiednie nacięcie w powłoce rurociągu.

Rura ma betonową oraz stalową osłonę. Wystarczyło ją miejscowo naruszyć. To trochę tak, jakby przekłuć wielki balon małą igłą. Masz ogromny balon, dotykasz go małą igłą i balon pęka. W pewnym sensie dokładnie to stało się z gazociągiem. Użyto około 30 kilogramów materiałów wybuchowych, które umieszczono w butlach nurkowych. Przymocowano je do gazociągu, a pomiędzy rurę i materiał wybuchowy włożono silikonową podkładkę, aby odpowiednio ukierunkować energię eksplozji. Eksplozja zrobiła niewielkie nacięcie, które następnie wywołało reakcję łańcuchową. Rurociąg został rozerwany, powodując ogromną eksplozję, którą zarejestrowano nawet w rejonie koła podbiegunowego. Było to więc bardzo pomysłowe, bardzo tanie i bardzo proste urządzenie. Podobnie zresztą jak cała operacja. I, w pewnym sensie, podobnie jak sposób, w jaki Ukraina prowadzi wojnę z Rosją: wykorzystując innowacyjność, zdolność adaptacji, wiedzę techniczną i tak dalej. Taki właśnie ładunek musieli przetransportować na dół i przymocować do gazociągu. Schodzili z jachtu na głębokość około 80 metrów. Problem polegał na tym, że trafili na sztorm. Bałtyk pod koniec września jest dość nieprzewidywalnym środowiskiem. Lato przechodzi w jesień. Robi się zimno, wietrznie i bardzo nieprzyjemnie. A oni trafili na sztorm z wiatrem o sile wichury. To, co robili, było

bezpośrednim zagrożeniem dla życia. Samo nurkowanie jest przecież dość niebezpieczne, szczególnie z całym sprzętem.

Komplet wyposażenia może ważyć od 80 do 100 kilogramów. W przypadku tej kobiety oznaczało to ciężar większy niż masa jej własnego ciała. Wyobraź sobie, że masz na plecach drugiego człowieka i w czasie sztormu musisz ostrożnie zejść pod wodę, zabrać ze sobą materiały wybuchowe, a potem wrócić na powierzchnię i ponownie wejść na łódź. Jeden z członków załogi został podczas tego procesu poważnie ranny, ponieważ sztorm rzucał łodzią na wszystkie strony. Trzeba sobie wyobrazić, jak niebezpieczna była ta sytuacja. A mimo wszystko kontynuowali.

Jeden z nurków na początku operacji miał COVID, co dodatkowo zwiększało ryzyko. W praktyce jest to przeciwwskazanie do nurkowania. A on mimo to nurkował, schodził na dużą głębokość i przechodził cały proces dekompresji, który sam w sobie jest bardzo wymagający. O ile pamiętam, dostał później zapalenia ucha wewnętrznego.

I dochodzimy do kobiety, o którą pytałeś. Moim zdaniem była bardzo ważnym członkiem zespołu. Była jedyną kobietą w całym spisku. Łącznie zaangażowanych było około dwóch tuzinów ludzi. Na łodzi znajdowało się początkowo sześć osób, później dołączyła siódma. Wszyscy pozostali byli mężczyznami. Ona była jedyną kobietą. I prawdopodobnie należała do najlepszych nurków w całej grupie.

» Czy dobrze pamiętam, że nie była nurkiem technicznym?

Była nurkiem technicznym, ale w tamtym okresie nie potrafiła jeszcze korzystać z rebreathera. Pozostali używali rebreatherów, które są bardziej ekonomiczne pod względem zużycia gazu. Rebreather to system zamkniętego obiegu, który nie wypuszcza powietrza na zewnątrz. Ponieważ ona nie potrafiła z niego korzystać, musiała zabierać jeszcze więcej sprzętu.

W pewnym momencie, kiedy sztorm był już bardzo silny, skipper – bardzo doświadczony żeglarz, który nie miał problemu z pływaniem podczas sztormów – uznał, że sytuacja zaczyna być naprawdę niebezpieczna. Fale miały ponad dwa metry wysokości. Obawiał się o życie załogi. Zapytał więc: „Czy na pewno chcecie to robić?". Przeprowadzili coś w rodzaju głosowania. Większość nie chciała kontynuować, ponieważ uznali, że ryzyko jest zbyt duże. I wtedy ta kobieta wstała i powiedziała mniej więcej: „Rozumiem, że to jest niebezpieczne. To może pozwólcie mi zejść samej. Wy możecie tutaj zaczekać. Zejdę, dokończę zadanie, wrócę na powierzchnię, zabierzecie mnie i odpłyniemy". I to w pewnym sensie zawstydziło mężczyzn. Nie mieli odwagi siedzieć na łodzi i pozwolić kobiecie samotnie ryzykować życie. W efekcie zdecydowali się kontynuować operację.

» I udało im się.

Wbrew wszystkiemu.

» Cały świat był w szoku. Później rozpoczęło się śledztwo. Bardzo interesująca część twojej książki – również politycznie – dotyczy wieloletniego procesu, w ramach którego niemiecka policja krok po kroku zbierała ślady, namierzała kolejne osoby i ostatecznie stworzyła całą międzynarodową operację prawną, aby doprowadzić do ich zatrzymania. Co sądzisz o samym śledztwie? Rozmawiałeś z ludźmi, którzy je prowadzą.

Tak. Rozmawiałem zarówno ze śledczymi, jak i z ludźmi, którzy przeprowadzili operację. Rozmawiałem więc z obiema stronami tego dramatu. To naprawdę niezwykli ludzie. Właściwie

właśnie wtedy, kiedy zrozumiałem, kto przeprowadził tę operację i kim są ludzie, którzy ich ścigają – detektywi – zdecydowałem, że chcę napisać o tym książkę. Obie grupy są absolutnie niezwykłe. Każda jest wybitna w swojej dziedzinie. Nurkowie są wyjątkowymi nurkami. Żołnierze są wyjątkowymi żołnierzami. Ludzie ze służb są znakomici w swojej profesji, a detektywi są naprawdę znakomitymi detektywami. I w obu przypadkach, kiedy ich spotykasz, zupełnie się tego po nich nie spodziewasz. Patrzysz na nich i nie zdajesz sobie sprawy, do czego są zdolni. A przecież to, czego dokonali, ma charakter historyczny. Nikt wcześniej nie próbował przeprowadzić takiej operacji. I nikt wcześniej nie prowadził śledztwa dotyczącego operacji tego rodzaju. Fascynowały mnie więc przede wszystkim postacie. Nie chciałem wydawać ocen moralnych, prawnych ani etycznych. Nie jest moim zadaniem ocenianie, kto był moralnie dobry albo zły. Interesowało mnie wyłącznie opisanie faktów.

Na początku, szczerze mówiąc, nie sądziłem, że Niemcy cokolwiek znajdą. Porównywałem Nord Stream do „Morderstwa w Orient Expressie" Agathy Christie. Jest ofiara, wszyscy nienawidzili ofiary i wszyscy są podejrzani. Podejrzana jest Polska, podejrzani są Amerykanie, Brytyjczycy – wszyscy nie znosili tego gazociągu. Niemcy zostali z tym śledztwem właściwie sami. Warto chyba wspomnieć, że śledztwa prowadziły również Dania i Szwecja. W pewnym momencie oba te państwa zakończyły jednak swoje śledztwa, utajniły materiały i powiedziały zasadniczo: „Nie leży to w naszym interesie narodowym, więc nie będziemy dalej prowadzić tej sprawy". I dlatego praktycznie niczego więcej o ich śledztwach nie słyszymy.

» Właśnie dlatego wspomniałem o politycznym aspekcie sprawy. Tak długotrwałe śledztwo musiało mieć poparcie państwa. Czy podczas wizyty kanclerza Scholza w Polsce i jego spotkania z polskim premierem kwestia Nord Streamu znajdowała się w agendzie rozmów obu stron?

Z całą pewnością bardzo bezpośrednio rozmawiali o tym szefowie ich kancelarii. Myślę, że polska strona jasno dała do zrozumienia, że jej zdaniem tej sprawy nie powinno się badać. Co ciekawe, na poziomie policji sytuacja wyglądała trochę inaczej. Policjantów nie interesowała polityka. Znam ich osobiście. Wiem, jak zaczynali. Kiedy startowali ze śledztwem, nie wiedzieli, dokąd ich ono zaprowadzi. Najpierw badali Stany Zjednoczone. To była jedna z ich pierwszych hipotez. Później analizowali Rosję, ponieważ Rosja była oczywistym podejrzanym. Była to jedna z najpopularniejszych teorii. Sprawdzali ją krok po kroku. Fakt po fakcie, trop po tropie. I ostatecznie odrzucili te hipotezy, ponieważ nie znajdowali dowodów. Co więcej, część dowodów wręcz im przeczyła. Kiedy natomiast zaczęli znajdować dowody wskazujące na Ukrainę, skierowali śledztwo właśnie w tę stronę. Nie interesowało ich, czy zaszkodzi to relacjom z Kijowem albo czy będzie problemem dla NATO. To profesjonaliści, którzy chcieli wykonać swoją pracę. Ambitnie dążyli do ustalenia sprawców.

» W pewnym momencie – i piszesz o tym w książce – zrozumieli, że aby rozwiązać sprawę, potrzebują wsparcia na poziomie politycznym. Wiedzieli też, że Polska może być dla nich bardzo pomocna. I tutaj pojawia się bardzo interesująca sprzeczność. Z jednej strony polityczny przekaz był jasny, tak jak powiedziałeś. Z drugiej jednak strony w książce ujawniasz fakty pokazujące, że polskie państwo co najmniej dwukrotnie pomogło niemieckim śledczym. Jak to rozumiesz?

Polska Straż Graniczna i ABW z całą pewnością nie były szczególnie pomocne wobec Niemców. Przez większość śledztwa współpraca była bardzo ograniczona. W pewnym momencie ABW przekazała nawet pewne informacje, które – według Niemców – nie były prawdziwe. Niemcy uznali to za próbę stworzenia fałszywego tropu i skierowania śledztwa w stronę Rosji. Przekazano im profile pewnych osób rosyjskiego pochodzenia, Rosjan mieszkających w Unii Europejskiej, i twierdzono, że znajdowały się na łodzi. Niemcy zaczęli to sprawdzać, znaleźli te osoby, przeanalizowali dostępne informacje i okazało się, że te dane się nie zgadzają. Ogólnie powiedziałbym więc, że Polska robiła bardzo dużo, żeby Niemcom nie pomagać, a momentami nawet aktywnie utrudniała im osiągnięcie celu. Ale w pewnym momencie ktoś w prokuraturze w Gdańsku, która również prowadziła własne postępowanie – chyba z powodów związanych z ochroną środowiska, nie pamiętam dokładnej podstawy prawnej – otrzymał oficjalny niemiecki wniosek o przesłanie dokumentów. I jakiś urzędnik, który najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy z politycznego kontekstu całej sprawy, po prostu wziął akta, skopiował je i wysłał Niemcom. W większości nie było tam nic szczególnie przydatnego. Ale znajdował się tam jeden dokument o ogromnym znaczeniu. Były to kopie paszportów osób, które przekroczyły granicę. Tak jak mówiłem wcześniej, te paszporty były prawdziwymi dokumentami wystawionymi na fałszywe nazwiska. Ale fotografie były prawdziwe. Niemcy otrzymali więc od Polaków skany paszportów i zdjęcia ludzi zaangażowanych w operację. To było niezwykle ważne dla śledztwa. Niemcy byli przekonani, że przekazanie tych dokumentów było pomyłką. Nie była to świadoma pomoc ze strony polskiej. Po prostu ktoś pełnił dyżur, otrzymał oficjalny wniosek i odpowiedział na niego w normalnym trybie urzędowym.

W 2024 roku Niemcy namierzyli podejrzanego mieszkającego z rodziną na obrzeżach Warszawy.

» **Dzisiaj wiemy, że był to pan Żurawlow.**

Mieszkał w Polsce z żoną, trójką dzieci i psem. Niemcy wystawili europejski nakaz aresztowania i przesłali go do prokuratury rejonowej właściwej dla miejsca jego zamieszkania. W normalnych okolicznościach europejski nakaz aresztowania działa niemal automatycznie. Prokurator odpowiedział więc początkowo: oczywiście, nie ma problemu, wykonamy go. A potem nic się nie wydarzyło. Po pewnym czasie Niemcy zorientowali się, że do ekstradycji nie dojdzie i że sprawa stała się politycznie zbyt skomplikowana. W pewnym momencie attaché wojskowy ambasady Ukrainy podjechał pod dom waszego gościa czarnym BMW na tablicach dyplomatycznych, zabrał go i zawiózł do Kijowa. I na tym sprawa się skończyła. Udało mu się uniknąć zatrzymania. Kilka tygodni później polskie władze odpowiedziały na niemiecki wniosek dotyczący przeszukania domu mniej więcej w stylu: „Oczywiście, możecie teraz przeszukać dom". Minęły już tygodnie. Było mnóstwo czasu, żeby wszystko uprzątnąć. Ale oczywiście Polska również jest państwem prawa, członkiem Unii Europejskiej i tak dalej. Musieli więc pokazać przynajmniej pewien poziom współpracy. Niemiecka policja federalna wysłała więc ekipę pod Warszawę. Przeszukała ona dom, zabezpieczyła materiały i zabrała je do Niemiec.

» **Wspominasz w książce, że strona niemiecka była wręcz zaskoczona, iż polska ABW pozwoliła im zabrać wszystkie te dowody. Dzisiaj wiemy, że później okazały się one niezwykle ważne.**



Wołodymyr Żurawlow, obywatel Ukrainy, jest podejrzany przez niemiecki wymiar sprawiedliwości o udział w wysadzeniu gazociągów Nord Stream. Na zdjęciu w studiu Republiki.

Nie chcę komentować motywacji, ale myślę, że ABW być może – z własnej perspektywy – popełniła błąd. Być może zakładała, że w domu nie ma żadnych dowodów. Nie wiem, czego się spodziewała. Ale zaoferowała Niemcom pomoc i w tym konkretnym przypadku była to rzeczywista pomoc. Niemcy przyjechali, przeprowadzili czynności, przesłuchali żonę, pobrali próbki i zabrali różne materiały do Niemiec. Odkryli, że znaleźli w garażu podejrzanego ślady tej samej mieszaniny materiałów wybuchowych, którą znaleziono na dnie Bałtyku w miejscu eksplozji. Moim zdaniem będzie to jeden z kluczowych dowodów w procesie. Jestem przekonany, że polskie władze nie wiedziały wcześniej, co tam się znajduje. Trudno mi sobie wyobrazić, żeby dopuściły Niemców do tego miejsca, gdyby wiedziały, że można tam znaleźć coś takiego. W każdym razie właśnie wtedy Niemcy zdobyli ten dowód.

» Pan Żurawlow później wrócił z Ukrainy do Polski. Opisujesz to również w książce.

Oczywiście. Jego żona i trójka dzieci mieszkali tutaj. To człowiek bardzo związany z rodziną. Nie chciał być z nimi rozdzielony. Wrócił więc do Polski, ponieważ z oczywistych powodów czuł się tutaj bezpiecznie. I później wydarzyło się coś dość dziwnego. Lokalny komisariat zobaczył, że wobec tej osoby istnieje nakaz aresztowania. Ci policjanci nie znali politycznego kontekstu całej historii i najwyraźniej nie wiedzieli, co wydarzyło się wcześniej. Po prostu zobaczyli w systemie: „Ta osoba jest poszukiwana", więc pojechali i ją zatrzymali. Oczywiście wywołało to ogromne problemy polityczne i prawne w Polsce. Trafił

FOT. REPUBLIKA

przed sąd. Sędzia go zwolnił, wydając bardzo spektakularne orzeczenie, w którym cytował Tomasza z Akwinu, Świętego Augustyna i innych myślicieli. Argumentował, że wojna Ukrainy z Rosją jest wojną sprawiedliwą. A skoro tak, to niezależnie od tego, czy ten człowiek faktycznie zrobił to, o co jest oskarżany, czy nie, jego działanie – jeżeli rzeczywiście miało miejsce – było częścią wojny sprawiedliwej. W związku z tym nie powinien zostać wydany Niemcom.

» Ale nie pozostał na terytorium Polski. Zdecydował się pojechać do Chorwacji.

Tak, pojechał na Istrię, żeby pracować na planie filmowym. Niemcy w jakiś sposób go tam namierzyli. Nie wiemy jeszcze dokładnie, jak to zrobili. Ale pokazuje to, jak bardzo są czujni, skuteczni i skrupulatni.

» Z twojej książki wynika jasno, że śledzą wszystkich tych podejrzanych na obszarze całej Unii Europejskiej.

Na początku sam nie doceniłem Niemców i ich możliwości. Ale po napisaniu tej książki i obserwowaniu tego, czego dokonali, uważam, że są niezwykle kompetentni, skuteczni i drobiazgowi. Być może działają wolno, są bardzo mocno związani przepisami i literą prawa, czasem wręcz obsesyjnie przestrzegają procedur. Ale osiągają rezultaty. I ostatecznie dopadli podejrzanego, mimo że dwukrotnie zdołał im uciec. Dwa razy uniknął zatrzymania. Za trzecim razem został zatrzymany w Chorwacji.

» Przejdźmy więc do ostatniej kwestii, o którą chciałem zapytać, czyli drugiego człowieka, który ostatecznie został zatrzymany we Włoszech. Również w jego przypadku w namierzeniu go uczestniczyła polska Straż Graniczna?

Tak, ale w jego przypadku wyglądało to nieco inaczej. Dla Niemców był to najbardziej tajemniczy z podejrzanych, ponieważ mieli jego zdjęcie, ale nie wiedzieli, kim jest. Przepuścili fotografię przez wszystkie dostępne internetowe bazy danych oraz europejskie systemy organów ścigania. Nigdzie go nie znaleźli. Wtedy zwrócili państw spoza Unii Europejskiej, które nie mają tak restrykcyjnych przepisów dotyczących ochrony danych jak UE i które przechowują takie informacje. Jeżeli na przykład przekraczasz granicę Stanów Zjednoczonych, Turcji czy Zjednoczonych Emiratów Arabskich, kamera z systemem rozpoznawania twarzy wykonuje twoje zdjęcie, a ty skanujesz paszport. Fotografia twarzy i skan paszportu zostają ze sobą połączone i taki zapis może być przechowywany praktycznie bezterminowo. Jeżeli ktoś później przepuści twoją fotografię przez tę bazę, system pokaże powiązany z nią paszport. I właśnie tak się stało. Pokazali zdjęcie tego człowieka państwu spoza Unii Europejskiej i zostało ono powiązane z jego paszportem. W ten sposób ustalili jego datę urodzenia, pełną tożsamość i pozostałe dane. Następnie wprowadzili do Systemu Informacyjnego Schengen tzw. cichy alert. System Schengen kontroluje ruch na granicach Unii Europejskiej. Kiedy podejrzany pojawił się na polskiej granicy i polski funkcjonariusz zeskanował jego paszport, system uruchomił ten alert. W tym samym momencie Niemcy otrzymali informację, że podejrzany znajduje się na polskiej granicy. To wszystko odbywało się automatycznie. Funkcjonariusz Straży Granicznej nie wiedział, że sprawa ma związek z Nord Streamem, że chodzi o niemieckie śledztwo kryminalne czy o konkretny kraj. Dla niego był to po prostu standardowy komunikat w Systemie Informacyjnym Schengen. System kazał mu zadać cztery pytania, funkcjonariusz

zapisał odpowiedzi, a Niemcy otrzymali je automatycznie. Od tego momentu wiedzieli, że poszukiwany człowiek znalazł się na terenie Unii Europejskiej. I właściwie był to początek jego końca.

» Później namierzali jego podróże, śledzili m.in. jego aktywność internetową...

Śledzili konto jego żony konto na jednym z portali służących do rezerwacji noclegów. Mieli do tego prawo. W przypadku podejrzanego o poważne przestępstwo śledczy mogą monitorować zachowanie online jego małżonka albo bliskiego członka rodziny. Kiedy żona rezerwowała noclegi, śledczy mogli w czasie rzeczywistym obserwować, gdzie się zatrzymują. Ostatecznie zwrócili się do włoskiej policji z prośbą o zatrzymanie go w hotelu.

» Czy to był skipper?

Nie będę identyfikował konkretnych osób. To podejrzany. Mogę powiedzieć, jakie zarzuty mu postawiono. Jest oskarżony o to, że był dowódcą grupy sabotażowej. Postawiono mu również zarzut zbrodni wojennej. I to jest kolejny niezwykle interesujący aspekt tej sprawy. Niemcy zdecydowali się na bardzo poważną kwalifikację prawną – zbrodnię wojenną.

» To bardzo interesujące, ponieważ z jednej strony – według argumentacji przedstawionej przez polskiego sędziego – akt sabotażu był elementem wojny sprawiedliwej. Z drugiej strony niemieccy prokuratorzy czy niemiecki zespół śledczy szukają podstawy prawnej, aby ten sam czyn określić jako zbrodnię wojenną.

Obrona ukraińskich podejrzanych najprawdopodobniej będzie argumentować, że uczestniczyli oni w operacji wojskowej, a zatem przysługuje im tzw. immunitet kombatancki albo funkcjonalny. Ludzie uczestniczący w wojnie co do zasady nie powinni być sądzeni przez zwykły sąd cywilny za samo uczestnictwo w działaniach wojennych, ponieważ posiadają określony immunitet. Ale ten immunitet nie obejmuje zbrodni wojennych. Moim zdaniem niemiecki prokurator zdecydował się więc na zarzut zbrodni wojennej po to, żeby ominąć potencjalną linię obrony. W pewnym sensie mówi: „Akceptujemy, że była to operacja wojskowa. Akceptujemy, że została przeprowadzona przez stronę ukraińską. Akceptujemy również, że jest to część waszej wojny obronnej. Ale nie akceptujemy twierdzenia, że Nord Stream był legalnym celem wojskowym. Możecie prowadzić sprawiedliwą wojnę, ale nie przeciwko naszemu gazociągowi. Nie pozwolimy na niszczenie naszej infrastruktury. Dlatego popełniliście zbrodnię wojenną". Niemcy próbują więc w pewien sposób wyprzedzić argumentację, którą w sądzie przedstawią prawnicy oskarżonego. I to jest niezwykle interesujące. Bo oczywiście mamy do czynienia z wojną, w której dochodzi do bardzo wielu zbrodni wojennych. W przeważającej mierze popełnia je Rosja, która jest agresorem. A mimo to, o ile mi wiadomo, żaden rosyjski oficer ani żołnierz nie stanął jeszcze przed niemieckim sądem w związku ze zbrodniami wojennymi popełnionymi podczas tej wojny, która trwa już piąty rok. Pierwszą osobą, która może stanąć przed takim sądem pod zarzutem zbrodni wojennej, będzie ukraiński obrońca. Człowiek, który w chwili ataku na Nord Stream służył jako kapitan ukraińskiej armii, był członkiem sił specjalnych i weteranem m.in. bitwy o Kijów.

Co więcej, interesujące jest również to, że zarzut zbrodni wojennej dotyczy tutaj obiektu nieożywionego – infrastruktury. Nikt podczas tego ataku nie został ranny ani zabity. Mielibyśmy więc do czynienia ze zbrodnią wojenną wymierzoną w obiekt. ■



opracował **Antoni Rybczyński**

Irańska strategia cierpienia

Kampania ataków powietrznych wiosną tego roku nie rzuciła Iranu na kolana. Konflikt jest zamrożony, choć tak naprawdę wciąż dochodzi do wymiany ciosów, a Teheranowi udało się też otworzyć drugi front – w Jemenie. Cieśnina Ormuz wciąż nie należy do bezpiecznych punktów na mapie, zaś Amerykanie wciąż utrzymują morską blokadę Iranu. Mimo to reżim ajatollahów i strażników rewolucji islamskiej nie uważa, by tę wojnę przegrywał.

Nie ma wątpliwości, że Waszyngton zadał Iranowi znaczące straty. Jednak Islamska Republika nie uważa, by się rozpadała. W rzeczywistości Teheran sądzi, że pokona Stany Zjednoczone – i nietrudno zrozumieć dlaczego. Rząd irański nie tylko przetrwał bombardowanie amerykańsko-izraelskie. Zdecydował się na zaciekły odwet, niszcząc amerykańskie bazy wojskowe i blokując cieśninę Ormuz. Jego obywatele płacą wysoką cenę gospodarczą z powodu zniszczeń spowodowanych wojną i sankcjami Waszyngtonu, ale znaczna część społeczeństwa zjednoczyła się wokół flagi i wydaje się akceptować fakt, że trudności są konieczne, jeśli Iran ma się bronić. W rezultacie Teheran nabrał śmiałości. Jego urzędnicy mogą nie zgadzać się co do poszczególnych taktyk, ale łączą ich te same ambicje: wyparcie sił amerykańskich z Zatoki Perskiej, zmuszenie Waszyngtonu do zniesienia wszystkich sankcji oraz skłonienie Stanów Zjednoczonych do uznania Iranu za wielką potęgę (Narges Bajoghli, Vali Nasr, „Irańska teoria zwycięstwa", „Foreign Affairs", 9 października 2026 roku).

Elity tego kraju zostały zahartowane przez wojnę, w której zginęli ich przyjaciele i członkowie rodzin. Postrzegają dzień 28 lutego 2026 roku tak samo, jak Izraelczycy postrzegają atak Hamasu z 7 października 2023 roku – jako moment, w którym ich wróg udowodnił, że jest gotów ich wymordować, a tym samym jako dowód na to, że musi zostać trwale pokonany. Nigdy nie mieli zbytniego zaufania do amerykańskich negocjatorów; teraz nie mają go praktycznie wcale. Iran przyjmuje zatem wobec Stanów Zjednoczonych strategię opartą na eskalacji i ciągłej ofensywie. Oznacza to, że nie utrzyma dotychczasowego kursu ani nie pójdzie na kompromis z Waszyngtonem. Zamiast tego zacznie podejmować jeszcze bardziej zdecydowane działania, aby zaszkodzić gospodarkom regionalnych partnerów Stanów Zjednoczonych i zdziesiątkować światowe rynki energetyczne, a także rozszerzy ataki na amerykańską infrastrukturę wojskową. Może podjąć próby zamachów na amerykańskich i izraelskich urzędników. Może nawet rozpocząć ofensywę lądową przeciwko swoim sąsiadom, w tym próbując przejąć amerykańskie bazy zlokalizowane w arabskich krajach Zatoki Perskiej (Mohammad Ayatollahi Tabaar, „Dlaczego Iran eskaluje konflikt", „Foreign Affairs", 1 października 2026 roku).

» Blokada Ormuz – ten kij ma dwa końce

Przedstawiciele władz USA i Izraela od dziesięcioleci przewidują upadek Islamskiej Republiki, a nawet po jej zaskakująco silnym występie militarnym nadal przedstawiają ją jako słabą. Na przykład we wrześniu sekretarz skarbu USA Scott Bessent stwierdził, że kraj ten znajduje się „w śmiertelnej spirali". Dla reżimu ta rozbieżność w postrzeganiu sytuacji jest niebezpieczna. Irańscy urzędnicy uważają, że jeśli Waszyngton sądzi, iż rząd dzieli od upadku tylko jedna sankcja, jeden atak lub jedna demonstracja, nie zaprzestanie wywierania presji gospodarczej i militarnej (M.A. Tabaar, „Dlaczego Iran eskaluje konflikt"…). Zdolność Iranu do wykorzystywania cieśniny Ormuz jako narzędzia gospodarczego słabnie w momencie, gdy ta droga wodna staje się kluczowa dla wysiłków zmierzających do zakończenia wojny ze Stanami Zjednoczonymi. Teheranowi coraz trudniej jest uniknąć tego paradoksu, ponieważ Stany Zjednoczone i państwa Zatoki Perskiej dostosowują się do zakłóceń, podczas gdy zdolność Iranu do wywalczania ustępstw poprzez groźbę zablokowania cieśniny maleje. Dane dotyczące ropy wskazują,

ILUSTRACJA MARIUSZ TROLIŃSKI/AI

że handlowcy i przewoźnicy dostosowali się do sytuacji i znaleźli sposoby na transport znacznych jej ilości pomimo irańskich ograniczeń. Nie oznacza to jednak, że cieśnina Ormuz straciła na znaczeniu. Nadal pozostaje jednym z najważniejszych na świecie „gardeł energetycznych", choć żegluga po niej jest trudniejsza i droższa niż wcześniej. Jednak założenie Iranu, że wystarczająco poważne zakłócenia spowodowałyby wstrząs gospodarczy, którego Waszyngton nie byłby w stanie wytrzymać, są coraz mniej prawdopodobne („W miarę jak słabnie kontrola Iranu nad cieśniną Ormuz, jakie środki nacisku pozostały Teheranowi?", Al-Monitor, 29 września 2026 roku).

Teoretycznie osiągnięcie przez Iran najniższego poziomu sprzedaży ropy stanowi potencjalny punkt zwrotny w kampanii Waszyngtonu mającej na celu odcięcie Teheranu od źródeł utrzymania gospodarczego. Nie jest jednak pewne, czy narastające trudności finansowe zmuszą do ustępstw, czy też zaostrzą konflikt, ponieważ obie strony nadal grożą użyciem siły. Firma Kpler szacuje, że dochody ze sprzedaży ropy i kondensatu spadną do zera najpóźniej do połowy grudnia, pod warunkiem utrzymania blokady. Płatności za ropę zazwyczaj docierają do Iranu od jednego do dwóch miesięcy po rozładunku towaru w chińskich portach. Sprzedaż ropy i kondensatu generuje zazwyczaj od 3 do 6 mld dolarów miesięcznie, co stanowi około 35–40 proc. dochodów rządowych i jest kluczowym źródłem pozyskania dolarów. Przewidywany ich niedobór już przyczynił się do gwałtownego spadku wartości riala, ponieważ rynki uwzględniają w wycenach zmniejszoną dostępność waluty zagranicznej (Samuel Wendel, „Czy Iran, którego źródło zaopatrzenia w ropę wysycha, zdoła przetrwać gospodarczą blokadę Trumpa?", Al-Monitor, 18 października 2026 roku).

Iran może nadal dysponować innymi narzędziami wywierania presji. Jego program jądrowy pozostaje w centrum negocjacji. Posiadany arsenał rakietowy daje mu możliwości eskalacji. Jego relacje regionalne, w tym z Huti, mogą stanowić zagrożenie dla innego ważnego morskiego wąskiego gardła – cieśniny Bab al-Mandab. Jednak choć eskalacja rakietowa może służyć jako kara lub środek odstraszający, to niekoniecznie wpłynie na złagodzenie sankcji. Ataki Huti mogą podnieść koszty żeglugi, ale niosą ze sobą ryzyko zachęcenia Arabii Saudyjskiej i innych państw Zatoki Perskiej do wzmożenia wysiłków na rzecz bezpośredniego powstrzymania Iranu. Kwestia jądrowa może mieć większe znaczenie w negocjacjach, ale jest to właśnie obszar, w którym Waszyngton domaga się ustępstw. Stawia to Teheran przed trudnym dylematem. Jeśli dojdzie do wniosku, że zdolność do ograniczania przepływu przez cieśninę Ormuz słabnie, może spróbować wykazać, że cieśnina pozostaje niebezpieczna, nasilając ataki na statki. Takie działanie wzmocniłoby jednak jedynie argumenty przemawiające za: większą obecnością marynarki wojennej USA, większymi inwestycjami krajów Zatoki Perskiej w alternatywne szlaki oraz dalszymi wysiłkami na rzecz zmniejszenia zależności od wód kontrolowanych przez Iran („W miarę jak słabnie kontrola Iranu nad Cieśniną Ormuz…").

» Jak długo może wytrwać Iran?

Stany Zjednoczone mogą sądzić, że zapędziły Iran do narożnika. Teheran jednak się z tym nie zgadza. Nie postrzega siebie jako kraju w defensywie ani pozbawionego możliwości działania. Uważa natomiast, że zdobył status mocarstwa. Jest dumny ze swoich osiągnięć wojskowych i czuje, że cieszy się nowo zdobytym międzynarodowym szacunkiem. Urzędnicy

w Teheranie z zadowoleniem przyjęli zdjęcia przedstawiające delegację irańską, która została entuzjastycznie powitana przez państwa członkowskie podczas wrześniowych spotkań Szanghajskiej Organizacji Współpracy oraz niezachodniego konsorcjum BRICS. Iran wciąż stoi przed ogromnymi wyzwaniami i nie znalazł jeszcze sposobu, by przekształcić to, co wywalczył w wojnie, w trwałe korzyści w czasie pokoju. Jest jednak gotowy do dalszej walki, jeśli zajdzie taka potrzeba. Rząd wierzy – jak ujął to jeden z irańskich analityków wysokiego szczebla, bliski decydentom politycznym – że wachlarza celów, dopóki Stany Zjednoczone nie ulegną. Eskalacja jest oczywiście ryzykownym posunięciem. Jeśli Iran posunie się za daleko, może sprowokować dokładnie taki rodzaj amerykańskiej reakcji, której stara się zapobiec, w tym wysłanie dodatkowych sił amerykańskich na Bliski Wschód i zakrojoną na szeroką skalę inwazję lądową. Jeśli społeczeństwo zmęczy się wojną, mogą wybuchnąć protesty. Reżim wierzy jednak, że uda mu się uniknąć poważnego sprzeciwu, a dla jego urzędników ryzyko stanowi dodatkowy powód do szybkiego działania. Irańscy przywód-

Stany Zjednoczone mogą sądzić, że zapędziły Iran do narożnika. Teheran jednak się z tym nie zgadza. Nie postrzega siebie jako kraju w defensywie ani pozbawionego możliwości działania.

naród irański „jest gotów znosić trudności gospodarcze i cierpienia, jeśli oznacza to, że wygra" (N. Bajoghli, V. Nasr, „Irańska teoria zwycięstwa…").

W pewnym sensie Iran już wcześniej znajdował się w podobnej sytuacji. Tuż po powstaniu Islamskiej Republiki kraj ten został zaatakowany przez Irak i był przedmiotem powtarzających się ataków mających na celu obalenie władzy, a przeprowadzanych przez zbrojne grupy opozycyjne. Poza Modżtabą nowi przywódcy Iranu nadal wywodzą się z elity z czasów rewolucji i dobrze pamiętają tę lekcję. Uznali, że aby powstrzymać ataki Stanów Zjednoczonych i Izraela, muszą po raz kolejny zrobić wszystko, by zademonstrować swoją siłę, nawet jeśli oznacza to prowadzenie ofensywy przez lata. Teheran jest zatem więcej niż gotowy do atakowania coraz szerszego cy są przekonani, że Stany Zjednoczone są w trudnej sytuacji, że świat sympatyzuje z ich sprawą, a obywatele ich popierają (M.A. Tabaar, „Dlaczego Iran eskaluje konflikt…").

Islamska Republika uważa, że jej cele są w zasięgu ręki. Twierdzi, że jej siły zbrojne mogą wyprzeć wojska amerykańskie z Zatoki Perskiej poprzez dalsze bezpośrednie ataki na amerykańskie bazy oraz nakłonienie krajów arabskich do wywarcia presji na Stany Zjednoczone, by opuściły ten region. Uważa również, że siejąc spustoszenie na rynkach energetycznych, może zmusić Waszyngton do zniesienia ograniczeń gospodarczych. Innymi słowy: teoria zwycięstwa Teheranu polega na tym, że może on wytrwać i zadać wystarczająco dużo cierpienia, by Stany Zjednoczone zaprzestały polityki powstrzymywania Iranu (N. Bajoghli, V. Nasr, „Irańska teoria zwycięstwa…"). ■



Stefan Czerniecki
czerniecki.net

Zemsta krwi po albańsku

„Gjakmarrji” oznacza zemstę. Zwykle krwawą i bezwzględną. I nawet jeśli wierzyć statystykom i społecznej opinii Albańczyków, że tutejsza wendeta jest już dziś zjawiskiem marginalnym, to jednak nadal występującym. I nadal zmuszającym całe rodziny do ukrywania się przed światem.



Arjan domyślał się już od pewnego czasu. Pierwszy raz zaczął coś podejrzewać, gdy znalazł pozostawioną w okolicy swojego domu starą taczkę. Żaden z sąsiadów nie chciał się do niej przyznać. Potem jednak zdarzenia zaczęły następować szybciej. Kolejne zgłoszenia o awarii prądu, o czasowych przerwach w dostawach energii. Jedna noc po drugiej spędzone w egipskich ciemnościach. Z zepsutą żywnością schowaną w nieczynnej lodówce. Bez możliwości naładowania telefonu. A co się z tym łączy – bez kontaktu ze światem. Tego dla Arjana było już za wiele.

Pogotowie energetyczne po każdej interwencji skarżyło się na to samo – znów ktoś ukradł kable. Najpewniej na złom. Znów w tej samej okolicy. Wszystko wskazywało, że to ta sama osoba. I znów te same rady co ostatnio: żeby lepiej obserwować okolicę, żeby wypytywać sąsiadów, żeby może wprowadzić społeczne patrole. Żeby…

Każdego dnia Arjan wyprawiwszy swoich dwóch synów do szkoły, wydzielał sobie troszkę czasu na prywatne śledztwo. Zaczął łączyć fakty. Taczka, pozostawione na ziemi narzędzia, rozmowy z właścicielami okolicznych skupów miedzi. Nie trzeba było wiele wysiłku, aby znaleźć winowajcę.

Złapał go na gorącym uczynku. Nie znał człowieka. Ubrany w czarny dresowy kaptur mężczyzna akurat wkładał do wielkiego wora kolejny miedziany kabel od uszkodzonej trakcji. Tego było już za wiele. Początkowo Arjan miał zamiar jedynie porządnie nastraszyć intruza. Jednak gorąca albańska krew zrobiła swoje. Między mężczyznami wywiązała się kłótnia. Wzajemne bluzgi i gniew. Gdy nieznajomy rzucił się na Arjana, ten instynktownie sięgnął po schowany w kieszeni nóż. Trafiając złodzieja w samo serce. Nieznajomy bezładnie osunął się na ziemię.

» Gjakmarrja

Za więziennymi kratami najgorsza dla Arjana była tęsknota. Ta za pozostawionymi w domu synami. Jak w przypadku każdego Albańczyka – rodzina znaczyła dla niego najwięcej. Teraz – w odizolowanym od świata miejscu, za murami i, co najgorsze, bez najbliższych – było naprawdę trudno. Tak, to prawda, że chłopcy odwiedzali ojca w więzieniu. Odliczając kolejne miesiące do wyjścia taty na wolność. Jednak po każdej tego typu wizycie żal i tęsknota tylko się potęgowały.

Wreszcie przyszedł ten dzień. Upragniona wolność. Spotkanie z synami. Wspólny powrót do domu. Na tym jednak sielanka się skończyła. Arjan doskonale zdawał sobie sprawę z tego, co mu teraz grozi. Zgodnie z liczącym już przeszło 2000 lat Kanunem – albańskim zbiorem prawa zwyczajowego, którego zasady przekazywano sobie ustnie przez kolejne pokolenia – winowajcy prócz odbytej kary więziennej mogła grozić krwawa zemsta. Tak zwana gjakmarrja.

Arjan czym prędzej spakował więc to, co w domu najpotrzebniejsze. I wraz z synami opuścił górską wioskę, w której przez tyle lat mieszkał.

– Nikt nie wie, gdzie się teraz ukrywają – uzupełnia historię Iza, która w Albanii żyje ponad 20 lat. Poznając przez ten czas najbardziej tajemnicze historie nowej ojczyzny. – Choć przyznam, że nie bardzo rozumiem tę jego decyzję o ucieczce. W domu rodziny zabitego została dziś jedynie jego siostra. Moim zdaniem niespecjalnie zainteresowana odwetem. Arjan zdecydował jednak inaczej. Może miał powód…

» Śmiertelnie niebezpieczna gra

Krew za krew. Zabójstwo za zabójstwo. Odwet za odwet. Wydawałoby się, że na podobne praktyki – znane nam z tak egzotycznych państw jak choćby Papua Nowa Gwinea – raczej nie ma miejsca w żadnym z europejskich państw. Zwłaszcza takim, które jest członkiem NATO i aspiruje do bycia w Unii Europejskiej. A jednak. Okazuje się, że na terenie Albanii, która z jednej strony nazywana jest „ostatnim tego typu krajem Europy" (co ma nawiązywać do nostalgicznego echa starych czasów, które na ulicach Albanii wciąż są obecne), a z drugiej jest krajem, w którym z powodzeniem funkcjonuje telefoniczna sieć 4G, nadal można usłyszeć historie o krwawej zemście dokonanej nie w minionych dekadach, lecz zaledwie wczoraj.

Wspomniany już Kanun Leki Dukagjiniego składa się z 12 ksiąg. Stanowiąc de facto podstawę kulturowego i historycznego DNA Albanii. Prócz spraw własnościowych, rodzinnych, dziedziczenia czy wyznania kodeks ten regulował m.in także wymiar sprawiedliwości. W tym karanie przestępców. Jednym z najbardziej znanych i drastycznych przepisów była właśnie krwawa zemsta, czyli wspomniana gjakmarrja.

W przypadku morderstwa zezwalała ona rodzinie ofiary na dokonanie zemsty. Jednak nie tylko na zabójcy, lecz także, jeśli nie był on uchwytny, na innym mężczyźnie z jego rodu. Krąg ofiar mógł więc obejmować także ojca, brata czy nawet kuzyna zabójcy.

Mimo wszystko Kanun ustalał surowe zasady dotyczące zemsty. Nie wolno było zabijać kobiet i dzieci. Zemsta mogła być dokonana nawet po wielu latach, gdyż – jak głosiła pradawna reguła – „krew się nie starzeje". Symbolem konieczności dokonania odwetu była zwykle zostawiana przed domem rodziny ofiary zakrwawiona koszula. Proste zasady. Śmiertelnie niebezpiecznej gry.

» Nie tylko za morderstwo…

Dziś, w XXI wieku, przypadki takie jak ten opisany wyżej, gdy całe rodziny wolą żyć



Każdy grosz się liczy.

w ukryciu w obawie przed brutalną zemstą za grzechy przodków niż wrócić do domu rodzinnego, nadal się zdarzają.

W oficjalnych statystykach Albanii za 2017 rok odnotowano w kraju pięć zabójstw motywowanych tradycyjną gjakmarrją. W kolejnych latach liczba ta spadła do średnio trzech rocznie. Zjawisko zdawałoby się zatem marginalne. Ale i tak część rodzin woli dmuchać na zimne i pozostać w ukryciu.

Okazuje się jednak, że zemsta gjakmarrji nie dotyczy wyłącznie odpłaty za morderstwo. W historii ofiar krwawego rewanżu jest choćby ta dotycząca albańskiego rolnika zabitego tylko za to, że ściął drzewo sąsiada. Jest przypadek dwójki braci, którzy zginęli z ręki kochanka ich siostry, bo nie zgodzili się na ich ślub. Jest wreszcie historia emigranta, który swoim powrotem do wioski z pracy za granicą rozognił trwający od dekad konflikt i dlatego został zamordowany. No i jest wreszcie słynna w Albanii historia z 1992 roku.

» Pętla bez wyjścia

Opowiada ona, jak 34-letni Gjon Mhilli został napadnięty przez pięciu członków jednej z miejscowych rodzin, z którą jego bliscy pokłócili się o ziemię. Napastnicy dźgnęli Gjona nożem w brzuch. Uratował go starszy brat, Pal, który zabił jednego z mężczyzn pługiem ręcznym. Ściągając jednocześnie na swoją rodzinę ryzyko gjakmarrji.



– Wiem, że jestem dziś żywym trupem – powiedział swego czasu Gjon Mhilli albańskim mediom, wskazując dłonią swego najstarszego syna, 16-letniego Klevisa i 8-letnią córkę Govanę. – Prosiłem, by zwolnili moje dzieci z udziału w zemście, ale odmówili. Dlatego dzieci nie mogą chodzić do szkoły. Oni chcą zapłaty krwią.

Żyją w zamknięciu w małym prostym domku. Prowizoryczny pomalowany na biało budynek skrywa jeszcze prostsze wnętrze. Ozdobione jedynie przez krzyż oraz obrazy z Matką Bożą. Przed domem widać zaniedbany ogródek. Rodzina nie uprawia żadnych warzyw. Boi się, że w trakcie pielenie grządek ktoś wyceluje w nią z pistoletu.

– Kilka tygodni temu zastrzelili naszego psa na progu domu – mówi Mhilli. – Ciągle nam grożą, dzwonią do nas i zapowiadają, że spalą nam dom z dziećmi w środku.

Co na to policja, ktoś zapyta? Okazuje się, że albańskie służby zwykle odmawiają pomocy zastraszonemu.

– Mówią: „To jest Albania! A na ciebie wydano przecież wyrok. Chyba znasz zasady,



Wędkarstwo – sposób na zabicie nudy.

prawda?" – zniechęcony Mhilli tłumaczy pokrętne zawiłości albańskiej rzeczywistości.

Na podpowiedzi i sugestie o przeprowadzeniu się w inne miejsce kraju odpowiada na jednym oddechu, że to bez sensu.

– Tamta rodzina jest bardzo bogata. Ma wpływowe znajomości. Znajdą mnie w jeden dzień. Dopadną i zabiją.

Ten człowiek w Albanii prawdopodobnie nie znajdzie już schronienia. O azyl za granicą także nie może się ubiegać. Oficjalnie wszak nie ma ku temu powodów. Egzystuje więc niejako w stanie zawieszenia. Z którego to stanu jest tylko jedno wyjście: śmierć.

» Nadużywane azyle

Opisany przypadek to jednak skrajność. Dziś w Albanii nie mówi się już o krwawej zemście gjakmarrji jako o rozpalającym społeczeństwo problemie. Jeśli już, rzecz może dotyczyć pojedynczych górskich wiosek pogranicza z Macedonią Północną lub Grecją. Tam niebezpieczna tradycja wynikająca z albańskiego kodeksu Kanunu jeszcze gdzieniegdzie może się zdarzać. Ale nawet tam zjawisko jest raczej marginalne.

Jest jednak jeszcze jedna przyczyna, dla której Albańczycy nieco chętniej powołują się na niebezpieczeństwo krwawej zemsty. Chodzi o azyle. Był czas, kiedy we wnioskach azylowych Albańczyków chcących wyjechać do państw Europy Zachodniej często pojawiały się wzmianki o zagrożeniu ze strony „albańskiej wendety".

Swego czasu brytyjskie ministerstwo spraw wewnętrznych zaczęło wręcz wydawać specjalne instrukcje dla urzędów ds. azylu z zaleceniem, aby dokumentów powołujących się na zagrożenie zemsty gjakmarrji „nie traktować jako wiarygodnego dowodu na istnienie rodowych porachunków".

Jeszcze dalej poszedł Nicholas Cannon, przed kilkoma laty ambasador Wielkiej Brytanii w Albanii. Oskarżył on wprost lokalne władze i organizacje pozarządowe o to, że swoimi działaniami doprowadziły do powstania swego rodzaju „biznesu polegającego na wydawaniu zaświadczeń o uwikłaniu obywateli w tzw. krwawą zemstę". Zdaniem brytyjskiego dyplomaty certyfikaty tylko umacniały przestarzały stereotyp Albanii jako kraju zacofanego i niebezpiecznego.

„Nie ma dziś najmniejszego powodu, aby jakikolwiek obywatel Albanii szukał azylu



Plac zabaw lata świetności ma za sobą.

w krajach Unii Europejskiej, czy to z przyczyn politycznych, czy ze względu na rzekome zagrożenie bezpieczeństwa" – oświadczył swego czasu Saimir Tahiri, minister spraw wewnętrznych Albanii.

Między innymi właśnie dlatego przywołany wyżej Mhilli przestał mieć jakiekolwiek perspektywy ubiegania się o azyl. A zarazem perspektywy na normalne życie.

» „Pogrzeb całunu"

Co jednak, jeśli w jakimś pojedynczym przypadku krwawa tradycja gjakmarrji miałaby być nadal stosowana? Dzisiejsza władza Albanii znalazła i na to pomysł. Próbuje się współcześnie wypracować nowy sposób honorowego kończenia konfliktów. Zamiast wzajemnego wybijania się i kolejnych morderstw wyszkoleni mediatorzy proponują zainteresowanym stronom rekompensatę materialną.

Nie ma co ukrywać, że nie są to łatwe negocjacje. W pamięci rodzin nadal jest bowiem obraz zabitego i chęć pomszczenia jego śmierci. Bez względu na cenę. Stąd pojawił się dodatkowy pomysł o specjalnym zadośćuczynieniu ze strony winowajcy. Rytuał dość upokarzający i trudny do zaakceptowania przez zainteresowanego. Opisał go swego czasu egipski pisarz Tawfiq al-Hakim. Albańczycy nazwali ten rytuał „pogrzebem całunu".

Po zawarciu porozumienia i zapłaceniu odszkodowania sprawca zabójstwa lub jego bliski krewny – koniecznie mężczyzna – obchodzi całą wioskę z białym całunem pogrzebowym na wyciągniętych ramionach. Członkowie wrogiej rodziny mogą go wówczas obrzucać obelgami, grozić mu śmiercią, przykładać noże



Świąteczna kolejka czeka na sezon turystyczny.

do gardła. Gdy uznają, że został wystarczająco znieważony, zapraszają go do domu, gdzie podają sobie dłonie na znak pojednania.

Od tego momentu obowiązek rodowej zemsty wygasa.

» Bieda gór

Korcza. Ostatnia z większych miejscowości południowo-wschodniej Albanii. Do granicy z Grecją jest stąd niespełna 20 kilometrów. Do tej z Macedonią Północną niewiele dalej, bo 31. Rubieże państwa. Dokoła góry. Pasma sięgające 1800 metrów n.p.m. Wioski, o których dziś najczęściej mówi się w kontekście tradycji gjakmarrji, mieszczą się właśnie gdzieś tam. Na uboczu hałaśliwego świata. Gdzie nie ma świadków. Gdzie nic nikogo nie interesuje.

Jadąc do Korczy, mijam jedną z tego typu wiosek. Potem drugą, trzecią i kolejne… Z podupadających domostw wyglądają zaciekawione twarze. Część pozdrawia, część tylko się uśmiecha. Jedna pani stoi przy drodze z kramikiem z owocami. Odgania papierowym talerzem natarczywe muchy. Ktoś inny przenosi stertę podniszczonych dachówek. Wokół snują się bezdomne psy – wizytówka Albanii. Te akurat jednakowo dobrze czują się zarówno tutaj, jak i niżej w miastach. Nikt ich nie zaczepia, nie przegania. Mieszkańcy mają dość swojej biedy.

Szacuje się, że dziś już 550 tys. Albańczyków żyje na progu ubóstwa. Mając na swoje utrzymanie mniej jak 7 euro dziennie. Gdy chodzi o poziom życia na terenach wiejskich, to pod tym względem w Europie gorzej jest już tylko w Rumunii. Tyle że tam przynajmniej nie mają gjakmarrji. I mogą spać spokojnie. Wszyscy. ■

Tomasz Sakiewicz

Kolejna próba kłamstwa

Po raz pierwszy ze zmasowanym atakiem informacyjnym skierowanym głównie przeciwko polskiej opinii publicznej mieliśmy do czynienia po tragedii smoleńskiej. Wcześniej zdarzały się zorganizowane kampanie medialne, ale skala tamtej i jej złożoność były jednak czymś bez precedensu. Celów tej kampanii było co najmniej kilka. Po pierwsze, typowe dla rosyjskiej cywilizacji dobicie zmarłego, czyli odebranie mu dobrego imienia. Drugi cel sformułował sam Donald Tusk: chodziło o ty, „by opinia publiczna nie została przekonana, że to zrobili Rosjanie". Wcale nie jestem pewien, czy był to absolutny priorytet Kremla. Pozostawienie sprawy niedopowiedzianej też dawało mu pewne zyski. Dla Tuska fakt, że prezydent i polska elita zginęli w zamachu, wobec jawnych wtedy gestów przyjaźni z Putinem, byłby poważnym problemem. Dla Putina mogło to być typowym pogrożeniem. Nie zmienia to faktu, że narracje Kremla i Tuska w pewnym monecie się spotkały, a ważnymi elementami resetu z Moskwą były przebieg śledztwa w sprawie tragedii i sposób informowania, czy raczej dezinformowania. Przede wszystkim informacje wysyłane z Rosji i z Polski były bardzo zorkiestrowane. Poza tym obudowywano je silnym kordonem emocjonalnym, czyli przyjęcie obowiązującej wersji miało być dowodem odpowiedzialności, rozumu i dojrzałości. Przyjmowanie, a nawet sprawdzanie jakiejkolwiek innej – chęcią zburzenia ładu społecznego, wywołania wojny, tańcem na grobach, brakiem racjonalizmu czy wręcz dowodem na zaburzenia psychiczne. Oprócz szerokiego frontu medialnego zorganizowano jeszcze działania, które miały wyeliminować krytyków takiego zachowania: usuwanie z pracy, uczelni, groźby śledztw prokuratorskich. Wtedy ta operacja się niemal udała, choć wątpliwości i tak zgłaszała prawie połowa społeczeństwa.

Po niedawnej tragedii w Krakowie uruchomiono podobną lawinę propagandy. Jej głównym celem było ukrycie największej po 1989 roku wpadki służb odpowiedzialnych za bezpieczeństwo wszystkich Polaków oraz przerzucenie odpowiedzialności na „prawicowy ekstremizm". Tu jednak operacja była dużo trudniejsza: na krakowskim rynku, w momencie zamachu, były setki osób, niemal każda miała komórkę z możliwością nagrywania. Relacja z zamachu zaczęła się już po kilkunastu minutach w Telewizji Republika, która dziś jest największą telewizją w Polsce. Na antenie od razu padło dosyć oczywiste pytanie: gdzie jest policja? Oprócz tego chyba raz pozwoliłem sobie zadać pytanie, czy brak policji wynika z tego, że część oddziałów przewieziono do Warszawy.

Te pytania okazały się być śmiertelnie niebezpieczne dla władzy. Podjęto gigantyczną akcję przykrycia wielkiej kompromitacji służb – rzekomo pomawiamy dwóch bohaterów tych wydarzeń, policjantów, którzy zatrzymali terrorystę. Pomija się tu oczywisty fakt, że do zatrzymania mordercy doszło półtora kilometra dalej, a na rynku, przez kilkadziesiąt minut, nie było żadnego umundurowanego policjanta. Był najprawdopodobniej jeden technik kryminalny, w cywilnym uniformie i naszywką z napisem „Policja". Oczywiście zrobić wiele nie mógł. Mimo to władza i usłużne jej media chcą nas zakrzyczeć. Sądzę, że tym razem to się zupełnie nie uda. ■

WYDANIE KOLEKCJONERSKIE

Bajki dla moich dzieci

Tomasz Sakiewicz

Bajki powstają z potrzeby opowiadania. Czasem z dziecięcego pytania, czasem z marzenia, a czasem z próby wyjaśnienia spraw, których nawet dorosłym niełatwo zrozumieć.

Tylko **1000** egzemplarzy
z autografem **Tomasza Sakiewicz**

PRZEDSPRZEDAŻ
Wysyłka od 30.11



REKLAMA PRZYGOTOWANA Z POMOCĄ AI

139 zł
+ koszt wysyłki

ZESKANUJ KOD I ZAMÓW

448 stron | ponad **90** ilustracji | **72** bajki

Część dochodu ze sprzedaży książki zostanie przeznaczona na fundusz osób represjonowanych przez reżim Donalda Tuska!

Wejdź na **sklep.GazetaPolska.pl** Zamów już dziś **22 232 37 70**

Dane do przelewu lub wpłaty na poczcie: Niezależne Wydawnictwo Polskie sp. z o. o., ul. Filtrowa 63/43, 02-056 Warszawa.
Konto **61 1240 6003 1111 0010 7516 5807** W tytule przelewu prosimy wpisać: Tytuł książki, imię i nazwisko oraz adres wysyłki.

SKLEP GAZETY POLSKIEJ

GAZETA POLSKA | NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA NOWE PAŃSTWO



Zamów prenumeratę już dziś na

www.prenumerata.swsmedia.pl

Wspieraj niezależne media

Zamów prenumeratę „Gazety Polskiej" i „Nowego Państwa" – w wersji papierowej lub elektronicznej

Rzetelna informacja / Wolność słowa / Niezależne dziennikarstwo

Dziś to szczególnie ważne – walczymy z cenzurą rządu.

Więcej informacji

NAPISZ / prenumerata@swsmedia.pl ZADZWOŃ / 605 900 002 WEJDŹ / prenumerata.swsmedia.pl

DANE DO PRZELEWU / **PL 82 1240 5963 1111 0010 3867 3017**

ADRES / Niezależne Wydawnictwo Polskie Sp. z o. o., ul. Filtrowa 63/43, 02-056 Warszawa